

MARY I CAROL
HIGGINS
CLARK



Świąteczny
rejs



Prószyński i S-ka

MARY I CAROL
HIGGINS
CLARK

Świąteczny
rejs

Prószyński i S-ka



Cena 22 zł
ISBN 978-83-7469-613-5
9 788374 696135
www.proszynski.pl

MARY I CAROL
HIGGINS
CLARK

Świąteczny rejs

Przełożyła Magdalena Rychlik

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału SANTA CRUISE

Copyright © 2006 by Mary Higgins Clark and Carol Higgins Clark

All Rights Reserved

Projekt okładki Ewa Wójcik

Ilustracja na okładce Debra Lill

Redakcja Ewa Witan

Redakcja techniczna Elżbieta Urbańska

Korekta Grażyna Nawrocka

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-613-5

Wydawca
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
ABEDIK S.A.
61-311 Poznań, ul. Ługańska 1

Pamięci Thomasa E. Newtona
dżentelmena i ukochanego przyjaciela

Podziękowania

Statek przybił do brzegu. Składamy gorące podziękowania współpasażerom rejsu.

Naszym wydawcom: Michaelowi Kordzie, Roz Lirpel, Lisi Cade oraz Gypsy da Silva.

Naszym agentom: Samowi Pinkusowi i EstherNewberg.

A także Sigalowi Millerowi z Mahwah w New Jersey, pomysłodawcy tytułu.

Dzięki, Sigal!

Oraz, rzecz jasna, bliskim i przyjaciółom, którzy nas pożegnali przed wyprawą i powitali w domu po powrocie.

Szczególne marynarskie pozdrowienia dla Johna Conheeneya, wspaniałego towarzysza każdej podróży.

I wreszcie, wszystkim naszym czytelnikom... do następnego razu... Kotwice w górę!

1

Poniedziałek, 19 grudnia

Randolph Weed lubił, gdy zwracano się do niego: „komandorze”. Wymyślił sobie taki tytuł, po tym jak kupił stary rejsowy statek i wydał fortunę na jego kompletną renowację. „Royal Mermaid” była teraz jego dumą i radością, zamierzał spędzić resztę życia w roli gospodarza, organizując rejsy dla przyjaciół oraz płatne wycieczki. Komandor Weed stał na pokładzie swojego statku, obserwując przygotowania do pierwszego po remoncie, a więc w pewnym sensie dziewiczego rejsu. Wycieczka miała być jednocześnie kampanią promocyjną pod hasłem „Rejs ze Świętym Mikołajem”; cztery dni na wodach karaibskich z przystankiem na wyspie Fishbowl.

Do komandora podszedł czterdziestoletni Dudley Loomis, który pracował u niego jako specjalista do spraw promocji i reklamy, miał także wziąć na siebie rolę kierownika rejsu. Loomis zaczerpnął głęboki oddech, delektując się świeżą oceaniczną bryzą znad Atlantyku. Westchnął z zadowoleniem.

- Rozesłałem pocztą elektroniczną do wszystkich najważniejszych agencji prasowych ponowne powiadomienie o tej wyjątkowej i wspaniałej wycieczce. Tekst brzmi mniej więcej tak: „Dwudziestego szóstego grudnia Święty Mikołaj odstawia swoje sanie, daje wolne Rudolfowi i reszcie, a sam wyrusza w rejs. Jest to specjalny rejs poświęcony organizowany przez komandora Randolpha Reeda jako dar dla wyjątkowej grupy ludzi. Ludzi, którzy w specjalny, niepowtarzalny sposób sprawili, że w mijającym roku świat wokół nich stał się lepszy”.

- Zawsze lubiłem sprawiać ludziom przyjemność, dawać prezenty... - uśmiechnął się komandor. Mimo swoich sześćdziesięciu trzech lat i sieci zmarszczek na opalonej twarzy wciąż był przystojnym mężczyzną. - Ludzie nie zawsze to doceniali. Moje trzy ekszóny na przykład nigdy nie zauważyły, jaki ze mnie czuły i troskliwy mężczyzna. Ostatniej podarowałem swoje akcje Google'a, jeszcze zanim stały się dostępne na giełdzie, na litość boską.

- To straszny błąd. - Dudley pokręcił smutno głową. - Straszny błąd.

- Nie żałuję tych pieniędzy. Zarabiałem i traciłem miliony. Teraz chciałbym dać światu coś w zamian. Jak wiesz, ten rejs to przedsięwzięcie dobroczynne. Organizujemy go, żeby zebrać pieniądze na cele charytatywne oraz uhonorować tych, którzy poświęcają się dla innych.

- To był mój pomysł - przypomniał Dudley.

- To prawda. Natomiast pieniądze na sfinansowanie tego pomysłu pochodzą z mojej kieszeni. Wydałem znacznie więcej, niż się spodziewałem, żeby przemienić „Royal Mermaid” w piękny statek, jakim jest dziś. Ale było warto. - Przerwał. - Taką mam przynajmniej nadzieję.

Dudley ugryźł się w język. Wszyscy ostrzegali komandora, że bardziej by się opłacało kupić nowy statek, niż topić fortunę w tej starej łajbie. Ale nawet Loomis musiał przyznać, że jacht prezentuje się całkiem nieźle. Do tej pory pracował na wielkich liniowcach, gdzie miał do czynienia z kilkoma tysiącami pasażerów, z których wielu bardzo go irytowało. „Royal Mermaid” mogła pomieścić czterystu gości, a większość z nich prawdopodobnie będzie wolała wygrzewać się na pokładzie i czytać, niż żądać rozrywek dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dudley wpadł na pomysł rejsu dobroczyńców, kiedy okazało się, że zainteresowanie rezerwacjami na wycieczkę statkiem „Royal Mermaid” jest praktycznie zerowe. A ponieważ był specjalistą do spraw promocji i reklamy od stóp obutych w żeglarskie obuwie do głowy - oraz do szpiku kości - zaproponował:

- Powinniśmy zorganizować darmowy rejs pierwszego dnia po świętach. Musimy dobrze poznać statek, zanim wpuścimy na pokład płacących pasażerów i ludzi z prasy. Podaruję pan bezpłatną wycieczkę jakiejś organizacji dobroczynnej i pojedynczym filantropom. Wycieczka potrwa tylko kilka dni, a na dłuższą metę zwróci się w dwójnasób. Nie kupi pan lepszej reklamy. Jeszcze zanim dobijemy do brzegu, kończąc nasz oficjalny dziewiczy rejs, bilety na dwudziestego stycznia będą wyprzedane. Sam pan zobaczy. Komandor potrzebował kilku minut, aby oswoić się z propozycją-

- Całkowicie bezpłatna wycieczka?

- Bezpłatna! - nalegał Dudley. - Wszystko za darmo.

- Nawet dostęp do baru? - wahał się jego pracodawca.

- Wszystko. Od zupy do orzeszków.

Ostatecznie Randolph Weed wyraził zgodę. Specjalny „Rejs ze Świętym Mikołajem” miał się rozpocząć za tydzień, pierwszego dnia po świętach, i zakończyć cztery dni później powrotem do Miami. Dwaj mężczyźni przemierzali świeżo wyszorowany pokład, omawiając ostatnie szczegóły.

- Wciąż mam nadzieję, że któraś ze stacji telewizyjnych pojawi się na przyjęciu inauguracyjnym na pokładzie tuż przed postawieniem żagli - mówił Dudley. - Wysłałem liściki do dziesięciu zaproszonych Mikołajów, żeby zjawili się wcześniej i przymierzili swoje specjalne tropikalno-mikołajowe kostiumy. Powinni być już przebrani, kiedy zjawią się goście. Okazało się, że stłuczka, którą miałem w zeszłym miesiącu z tym Mikołajem z Tallahassee, to prawdziwy dar niebios. Kiedy wymienialiśmy papiery ubezpieczeniowe, rozkleił się i zaczął narzekać, jak wyczerpujące jest słuchanie dziecięcego paplania przez cały dzień, pozowanie do zdjęć, trzymanie na kolanach zasmarkanych maluchów, które kichają ci w twarz. A po świętach znów bezrobocie. Wtedy wpadłem na pomysł, żeby zaprosić kilku Mikołajów...

- Ani na chwilę nie przestajesz myśleć o pracy - pochwalił go komandor. - Mam tylko nadzieję, że w ciągu następnych kilku miesięcy uda nam się przyciągnąć wystarczająco dużo klientów, żeby utrzymać ten statek na wodzie.

- Wszystko będzie dobrze, komandorze - zapewnił go Dudley swoim najbardziej entuzjastycznym tonem. Udawany entuzjazm był częścią jego zawodowego emploi.

- Wspominałeś, że nie wszyscy goście z tych, którzy wygrali wycieczkę na aukcjach charytatywnych, potwierdzili swój udział. Jak wygląda sytuacja?

- Wszystkie będą. Jeszcze tylko jedna z zaproszonych osób nie przysłała nam odpowiedzi. Zostawiła najwięcej pieniędzy na aukcji charytatywnej. Znacznie więcej niż ktokolwiek inny. Wysłałem do niej list fedexem. Jako dodatkową zachętę zaproponowałem dwie ostatnie wolne kajuty, żeby mogła zaprosić przyjaciół. Byłoby dobrze mieć ją na pokładzie. Wygrała na loterii czterdzieści milionów dolarów i ma swoją kolumnę w poczytnej gazecie. Elwira Meehan zdobyła zaproszenie na wycieczkę, biorąc udział w aukcji charytatywnej zorganizowanej przez swojego przyjaciela, Cala Sweeneya. Dudley jednak zgubił nazwisko i adres kobiety. Omal nie zemdlał, kiedy się dowiedział, że była

nie tylko osobą powszechnie znaną, ale także dziennikarką. Dopiero niedawno odzyskał dane pani Meehan i usilnie próbował naprawić i zatuszować swój błąd.

- Doskonale, Dudley, doskonale. Sam bym nie pogardził wygraną na loterii. Właściwie niewykluczone, że wkrótce będę jej potrzebował...

- Dzień dobry, wujku.

Eric, siostrzeniec komandora, stanął nagle za ich plecami. Nie usłyszeli, jak podchodził. Skrada się, oślizły typ, pomyślał Dudley, odwracając się, by powitać nowo przybyłego; ten facet zrobiłby karierę jako złodziej.

- Witaj, chłopcze - powiedział serdecznie komandor, promieniając na widok krewniaka.

Ciepły uśmiech na twarzy trzydziesto dwuletniego „młodzieńca” był zarezerwowany dla wujka. Czasem także dla innych ważnych ludzi, którzy mogli mu się na coś przydać - jak zaobserwował Loomis, nie zaliczający się do grupy owych uprzywilejowanych. Idealna opalenizna, musnięte słońcem włosy i muskularne ciało świadczyły o tym, że młody człowiek dzielił swój czas sprawiedliwie między plażę i siłownię. Eric Manchester, ubrany w hawajską koszulę, spodenki khaki i żeglarskie buty, jak zwykle przyprawił Dudleya o lekkie mdłości. Kiedy na statek wejdą pasażerowie, pupilek wujaszka wystąpi pewnie w mundurze oficera, chociaż Bóg jeden wie, jakie obowiązki miałby pełnić. Czemu ja nie urodziłem się przystojnym darmozjadem i nie mam bogatego wuja, rozmyślał melancholijnie Loomis.

- Biegnę do miasta, wujku - powiedział Eric, zupełnie ignorując obecność Dudleya. - Potrzebujesz czegoś ze sklepu?

- Nie będę przeszkadzał. - Kierownik skorzystał z okazji, aby uniknąć oglądania tej farsy: Eric próbował stwarzać pozory, że może być z niego jakikolwiek pożytek dla kogokolwiek podczas rozpoczynającego się rejsu. Ten pasożyt wcisnął się na listę płac natychmiast, jak tylko się dowiedział o kupnie statku. Komandor uśmiechnął się z rozczuleniem, patrząc na syna swojej siostry.

- Mam wszystko, czego potrzebuję - odpowiedział serdecznie.

- Jak się bawiłeś wczoraj na przyjęciu?

Eric przypomniał sobie o pliku banknotów, który przyjął i wsunął - do kieszeni wczoraj na tymże przyjęciu, zaliczce za „przysługę”. „Rejs ze Świętym Mikołajem” będzie ryzykowną i niebezpieczną wycieczką, ale także opłacalną dla Erica Manche-

stera...

- Było świetnie, wujku. Chwaliłem się wszystkim naszym rejssem i tym, jaki jesteś hojny, pomagając zbierać pieniądze na aukcjach charytatywnych. Wszyscy żalowali, że nie mogą z nami popłynąć.

Komandor poklepał go po plecach.

- Dobra robota, Ericu. Opowiadaj wszędzie o naszym przedsięwzięciu. Niech ludzie się nami interesują i wykupują bilety na kolejne wycieczki.

- Tak właśnie zrobiłem, pomyślał Manchester, ale nie dowiesz się o tych pasażerach ani nie zobaczysz pieniędzy za bilety... Wzdrygnął się, czując lekkie ukłucie wyrzutów sumienia, ale jednocześnie nie mógł powstrzymać drwiącego uśmiechu. Cóż za ironia... Goście Erica to jedyni uczestnicy „Rejsu ze Świętym Mikołajem”, którzy zapłacili za swoją podróż.

2

Piątek, 23 grudnia

O dziewiętnastej w przedwiglijny wieczór drobny śnieg padał na głowy przechodniów, chaotycznie i w pośpiechu przemierzających ulice Nowego Jorku. Niektórzy robili ostatnie zakupy, inni pędzili na przyjęcia. W świątecznie ozdobionej sali restauracyjnej „Four Seasons” przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy, u wylotu Park Avenue, Elwira Meehan, jej mąż Willy oraz ich serdeczni przyjaciele - autorka powieści sensacyjnych Nora Regan Reilly i jej mąż Luke, właściciel przedsiębiorstwa pogrzebowego - sączyli wino z wysokich kieliszków. Czekali na jedynaczkę Nory i Luke'a, Regan, oraz jej nowego męża, Jacka, który zabawnym zbiegiem okoliczności również nosił nazwisko Reilly.

Państwo Reilly i Meehanowie poznali się dokładnie dwa lata temu, kiedy Luke został uprowadzony przez rozżalonego spadkobiercę jednego ze swoich zmarłych klientów. Elwira, która wcześniej była sprzątaczką, po wygraniu na loterii czterdziestu milionów dolarów zajęła się amatorsko działalnością detektywistyczną. Zapropowała Regan swoją pomoc i uczestniczyła w gorączkowych poszukiwaniach, aby ocalić Luke'a. Wtedy też Regan poznała Jacka, stojącego na czele głównej brygady dochodzeniowej na Manhattanie. Zakochali się w sobie. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”, jak później kwaśno skomentował Luke.

Elwira siedziała jak na szpilkach, jej obfite kształty okrywał elegancki granatowy kostium. Nie mogła się doczekać, kiedy zaprosi Reillych, ale jednocześnie głowiła się nad tym, jak by tu przedstawić swoją propozycję, aby przyjaciele nie mogli jej odrzucić. Jej małżeństwo z Willym trwało od czterdziestu trzech lat. Ze swoimi białymi włosami, twarzą przypominającą mapę Irlandii i obfita tuszą pan Meehan podobny był do nieżyjącego już

legendarnego przewodniczącego Izby, Tipa O'Neilla. W tej sytuacji, niestety, okazał się niezbyt użyteczny. Elwira poprosiła go o radę, kiedy jechali na spotkanie taksówką ze swojego mieszkania w południowej części Central Park, ale Willy powiedział jedynie:

- Kochanie, po prostu ich zaproś. Albo się zgodzą, albo nie. Nic innego przecież nie możesz zrobić.

Elwira spojrzała ponad stolikiem na drobną sylwetkę jak zwykle eleganckiej Nory, która tym razem miała na sobie zwodniczo skromną i prostą czarną sukienkę. Obok pani Reilly siedział, górując nad nią, jej wysoki mąż. Oparł potężne ramię na oparciu krzesła żony. Zawsze tak wspaniale się bawimy, kiedy wyjeżdżamy gdzieś razem, pomyślała Elwira. Po chwili jednak przyznała, że to, co dla niej jest świetną rozrywką, innym może się wydawać odrobinę zbyt ekscytujące.

- Och, są nareszcie! - zawołała Nora.

Regan i Jack weszli po schodach, zauważyli rodziców i przyjaciół, pomachali i ruszyli w ich kierunku. Elwira westchnęła z zadowoleniem. Wprost przepadała za tymi dwojgiem. Regan miała błękitne oczy i jasną cerę matki, ale była od niej wyższa i odziedziczyła czarne włosy po rodzinie ze strony ojca. Jack był wysokim blondynem o orzechowych oczach i mocnym podbródku, emanował pewnością siebie i asertywnością. Elwira od początku wiedziała, że jest odpowiednim mężczyzną dla Regan. Przeprosił za spóźnienie.

- Kilka nieprzewidzianych spraw do załatwienia w biurze. Parę rzeczy trafiło do nas w ostatniej chwili, ale mogło być gorzej. Z przyjemnością ogłaszam, że od tej chwili przez kolejne dwa tygodnie Regan Reilly Reilly i ja jesteśmy wolni.

To była okazja, na jaką czyhała Elwira. Zaczekała, aż kelner naleje wino nowo przybyłym, i uniosła kieliszek do toastu.

- Za wspaniałe ferie świąteczne spędzone wspólnie. Mam fantastyczną niespodziankę dla całej waszej czwórki, ale najpierw musicie obiecać, że powiecie tak.

Luke wyglądał na zaniepokojonego.

- Znam cię, Elwiro, i nie mogę złożyć takiej obietnicy, nie wiedząc, o co chodzi.

- Świetnie cię rozumiem - poparł go Willy. - Chodzi o to, że zostaliśmy wrobieni w uczestnictwo w aukcji charytatywnej.

Muszę wam tłumaczyć? Sami byliście na wielu takich imprezach. Kiedy tylko zaczęli licytację, zaraz po kolacji, wiedziałem, że będą kłopoty. Moja żona miała taki wyraz twarzy...

- Willy, to była zbiórka na szczytny cel - zaprotestowała Elwira.

- Zawsze są jakieś szczytne cele. Odkąd wygraliśmy na loterii, jesteśmy na liście uczestników każdej imprezy na wszystkie szczytne cele znane ludzkości.

- To prawda - przyznała ze śmiechem. - Ale na tamtą chciałam pójść, bo organizował ją syn pani Sweeney, Cal. Sprzątałam u niej we wtorki. Cal jest członkiem zarządu lokalnego szpitala, który ma kłopoty finansowe. W każdym razie, poniosło mnie, przyznaję i wygrałam karaibski rejs dla dwojga. Od tamtej pory nie słyszałam ani słowa na ten temat i nie zdawałam sobie sprawy, że chodzi o rejs świąteczny. To był taki zwariowany rok, szczerze mówiąc, w ogóle zapomniałam o tej wygranej, aż do dzisiejszego popołudnia, kiedy dostałam list od organizatora wycieczki. Zaszła jakaś pomyłka czy nieporozumienie i rejs, który wygrałam na aukcji, jest zaplanowany na przyszły tydzień. Statek wypływa dwudziestego szóstego grudnia, a wraca trzydziestego.

- To za trzy dni! Bardzo późno cię powiadomili - powiedział Jack. - Popłyniesz? Jeśli nie, prawdopodobnie mogłabyś ich zmusić, żeby ci pozwolili wybrać inny termin. W końcu to ich wina, że nie poinformowali cię na czas.

- Ale to bardzo szczególna podróż - wyjaśniła z zapałem Elwira. - Nazwali ją „Rejsem ze Świętym Mikołajem”. Każda z zaproszonych osób albo wygrała aukcję charytatywną, przekazując na coś najwięcej pieniędzy; albo jest członkiem organizacji, która w mijającym roku zrobiła wiele dobrego, pomagając innym; lub też przedstawiła dowód wpłaty znacznej kwoty na ważny cel charytatywny i zwyciężyła w losowaniu.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nie płaci? - spytał Luke z niedowierzaniem, biorąc od kelnera kartę dań. - Ta linia oceaniczna musi cierpieć na nadmiar gotówki.

- Mam tu folder z mnóstwem zdjęć i wszystkimi szczegółami. - Elwira pochyliła się, aby wyciągnąć ulotkę z torebki. - Statek wygląda zachwycająco. Jest całkiem nowy, prawie całkiem. Gruntownie odrestaurowany. Każda najmniejsza część została albo całkowicie odnowiona, albo wymieniona. Nie uwierzycie, ale mają tam nawet lądowisko dla helikoptera i ściankę wspi-

naczkową, jak na wszystkich nowoczesnych liniowcach. Nie wiecie jeszcze najważniejszego: kierownikowi rejsu jest bardzo głupio z powodu nieporozumienia z zaproszeniem i proponuje, żebyśmy zabrali ze sobą czwórkę przyjaciół. W ramach rekompensaty udostępni dwa dodatkowe luksusowe pokoje z balkonami - takie same jak nasz. Chcę więc was zaprosić na „Rejs ze Świętym Mikołajem” uśmiechnęła się promiennie do czwórki Reillych.

- Och, to niemożliwe - odparła szybko Nora, potrząsając głową i patrząc porozumiewawczo na męża z prośbą o wsparcie.

- Eeeee, mieliśmy zamiar odpocząć w przyszłym tygodniu... Luke odchrząknął, próbując zyskać na czasie, nim wymyśli lepszą wymówkę-

- A gdzie można lepiej wypocząć niż na statku podczas ekskluzywnego rejsu? - nalegała Elwira. - Zastanówcie się przez chwilę. Wy dwoje lecicie na południe Francji po pierwszym. Regan, wiem, że na sylwestra jedziecie z Jackiem spotkać się z przyjaciółmi i pojeździć na nartach nad Tahoe. A co takiego macie w planach na te cztery dni po świętach, co byłoby ciekawsze niż podróż na Karaiby?

To było pytanie retoryczne.

- Regan - kontynuowała Elwira - sama słyszałam, jak twój mąż przed chwilą powiedział, że wziął urlop na najbliższe dwa tygodnie. Jakie macie zobowiązania na cztery dni po świętach?

Absolutnie żadnych - odparła natychmiast Regan. - Jack, nigdy nie płynęliśmy razem statkiem, może być fajnie.

- Prognozy meteorologiczne dla stanu Nowy Jork to: od lodowato do mroźno. Albo odwrotnie, zależy które sięga bardziej poniżej zera - zachęcał Willy Wiedział, że jego żona marzy, aby państwo Reilly z nimi popłynęli, od chwili, gdy przeczytała ten list kilka godzin temu. - Wynajęliśmy prywatny helikopter, który zabierze nas do Miami dwudziestego szóstego - dodał. Miał nadzieję, że Elwira przemilczy fakt, iż pierwszy raz o tym słyszy. Pomyślcie tylko. Piękny statek. Zacni, szlachetni ludzie jako współpasażerowie. Pływanie w otwartym basenie w grudniu. Czytanie książek na pokładzie. Założę się, że wielu ludzi będzie czytało twoje, Noro. No, co wy na to?

- Brzmi zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe - odparła Nora rzeczowo. Zamilkła na moment i dodała: - Z całą pewnością jednak mogę powiedzieć, że zawsze dobrze się z wami bawimy i

zdecydowanie sprawiłoby mi przyjemność spędzenie trochę czasu z moim dzieckiem i nowiutkim zięciem.

Elwira uśmiechnęła się triumfująco. Wiedziała już, że przyjaciele popłyną z nimi w ten rejs. Nora i Regan już były podekscytowane, a Jack i Luke też poddali się emocjom, aczkolwiek niechętnie. Wzniesli toast za wspólną wycieczkę, a pani Meehan pogratulowała sobie w duchu, że nie wspomniała o wczorajszym incydencie na kolejnej imprezie charytatywnej, pozwoliła sobie powrócić wróżce, sprowadzonej na przyjęcie jako atrakcja dla gości i pretekst, aby wyciągnąć od nich dodatkowe pieniądze.

Natychmiast po rozłożeniu kart oczy wróżki zrobiły się tak ogromne, że powieki stały się niewidoczne. - Widzę wannę - wyszeptła. - Olbrzymią wannę - Nie jesteś w niej bezpieczna. Posłuchaj mnie. Twoje ciało nie może znaleźć się w otoczeniu wody. Od teraz do Nowego Roku kąp się tylko pod prysznicem.

3

Niedziela, 25 grudnia

Pod osłoną ciemności, w noc Bożego Narodzenia w porcie w Miami do „Royal Mermaid” cicho podpłynął kajak. Z najniższego pokładu ktoś spuścił sznurkową drabinę.

- Ty pierwszy - warknął Tony Pinto Dziesiątka, łapiąc ją i podając swojemu towarzyszowi, również zbiegłemu więźniowi,

- Pewnie chcesz wiedzieć, czy jest dość mocna, nim sam na nią wleziesz - wycedził lodowato Barron Highbridge. Wstał chwiejnie, chwycił drabinę i najpierw postawił na niej jedną stopę, sprawdzając wytrzymałość sznurów. Zaczął się wspinać.

- Pospiesz się! - Usłyszał głos z góry.

Lizus Larry wyciągnął swoją tustą dłoń do Dziesiątka:

- Nie martw się, szefie. Będziemy czekać u wybrzeży wyspy Fishbowl. Przemycimy was na ląd i załatwione. Wolność i swoboda. A teraz niech pan spróbuje wypocząć podczas tego rejsu.

- Wypocząć? Ukrywając się w jednej kajucie z tym idiotą Highbridge'em przez trzy dni? Powiedziałem, że chcę uciekać w pojedynkę.

- Mieliśmy szczęście, że udało nam się cokolwiek załatwić zaprotestował Larry. - Ten nieszczęsny głupek komandor Reed powinien wiedzieć, jaką wesz ma za siostrzeńca! Ale dla nas to dobrze: Gdy tylko gliny się zorientują, że pańską bransoletkę nosi żona, zaczną pana szukać po całym kraju.

- Zgadzam się, że siostrzeniec Reeda to wesz, miał chelność zażądać miliona dolców za trzydniowy pobyt na statku!

- Chciał więcej - przypomniał Larry. - Wytargowałem spory upust.

Dziesiątka popatrzył w górę. W półmroku widział, jak Highbridge bez wysiłku wspina się i wchodzi na pokład, chwytając

wyciągniętą ku sobie dłoń. Pinto wstał, a serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, gdy chwycił linę i postawił stopę na pierwszym stopniu.

- Wesołych świąt - mruknął gorzko i odwrócił się do Larry'ego. - Jeśli chcesz sprawić mi świąteczny prezent, znajdź szczura, który mnie podkablował, i rozwal go.

Larry skinął głową.

- To byłby naprawdę miły prezent - podkreślił Pinto.

Eric służył potem, obserwując z góry początek wspinaczki Dziesiątki. Lizus Larry ostrzegł go, że jeśli cokolwiek pójdzie źle i Tony wyląduje za kratkami, to on, Eric, dostanie betonowe buty. Patrzył z przerażeniem, jak gangsterowi wysuwa się broń z kieszeni i wpada do wody.

Przynajmniej to nie moja wina, pomyślał. Za dwa miliony dolarów - po milionie od każdego z uciekinierów - Eric chętnie podjął się tego, bądź co bądź, ogromnego ryzyka. Ale w tej chwili, kiedy czerwony na twarzy Dziesiątka, klnąc, na czym świat stoi, złapał się barierki i przeniósł ciężar grubego ciała na drugą stronę, lądując na pokładzie, Eric pomyślał, że teraz chyba się przeliczył. Wiedział, że z tym drugim sobie poradzi.

Powinienem być zostać przy kryminalistach z wyższych sfer, pomyślał. Spróbował nadać głosowi autorytarny ton:

- Za mną - polecił szeptem. Nie musiał im mówić, żeby byli cicho.

Większość załogi już dotarła na statek, ale z powodu późnej pory wokół panowały spokój i cisza.

Dwaj złoczyńcy, w bluzach z kapturami i ciemnych okularach, podążyli za Erikiem schodami służbowymi na najwyższy pokład.

Eric zerknął ukradkiem w głąb pokrytego wykładziną korytarza. Droga wolna. Dał im znak. Kiedy przechodzili obok kajuty komandora, spod bluzy Highbridge'a coś się wyślizgnęło i upadło na podłogę. Mimo wykładziny rozległ się dość głośny stukot.

- O kurczę, moje przybory toaletowe - szepnęła Barron, schylając się, by podnieść skórzaną saszetkę. Próbował szybko wstać i niechcący uderzył w drzwi komandora, niemal dotykając dzwonnika w kształcie syreny.

Serce Erica prawie się zatrzymało. Wujek miał lekki sen, a większą część nocy spędzał, czytając. Manchester rzucił się w

głęb korytarza, a tamci pospieszyli za nim. Zatrzymał się pod drzwiami swojej kajuty i drżącymi rękoma włożył klucz do zamka. Zapaliła się zielona lampka, elektroniczny zamek pisnął radośnie. Uciekinierzy weszli za gospodarzem do środka. Eric zamknął drzwi na klucz.

Zasłony były zaciągnięte. Na poduszce Erica steward zostawił miętówkę. Tony Dziesiątka ułożył się na kanapie, a Barron Highbridge rzucił swoją szaszetkę z przyborami toaletowymi na łóżko i westchnął.

Nieźli współlokatorzy, pomyślał Eric. Tony, niebezpieczny szef gangu, i Highbridge, pochodzący z dobrej rodziny oszust, który łamał prawo dla przyjemności. Obaj byli po czterdziestce.

Tony - niski, potężnie zbudowany, tysięcący, o twarzy wyglądającej, jakby ucierpiała w walkach bokserskich, oraz wysoki szczupły Highbridge o ciemnobrązowych włosach, szlachetnych arystokratycznych rysach i pogardliwym wyrazie twarzy, z którym prawdopodobnie się urodził.

Pukanie do drzwi wywołało panikę w pomieszczeniu. Eric wskazał na szafę. Tony i Highbridge podbiegli do niej i zniknęli w środku.

- Eric, jesteś tam? - krzyknął komandor Weed z korytarza. Eric włączył światło w łazience i zdjął szlafrok z wieszaka. Chciał stworzyć wrażenie, iż właśnie miał zamiar się przebierać. Ze szlafrokiem przewieszonym przez ramię otworzył drzwi. Wuj Randolph w swojej szyciej na zamówienie niebiesko-białej pizamie ze statkiem wyhaftowanym na klapie stanowił niezapomniany widok.

- Witaj, wujku - pozdrowił go Eric z udawaną sennością w głosie.

- Mogę wejść? - spytał komandor z nadzieją - Eric nie miał wyboru, musiał go wpuścić. - Usłyszałem łoskot i wyszedłem sprawdzić, co się stało, akurat kiedy zamykałeś drzwi do swojej kajuty. Zdaje się, że ty również masz kłopot z zaśnięciem, co?

Jego siostrzeniec miał już duże doświadczenie w ciemnych interesach i zdążył się nauczyć, że zawsze lepiej trzymać się prawdy najbliżej, jak to możliwe.

- Wyszedłem na pokład. Jestem ogromnie podekscytowany naszym rejsem. Ale podczas spaceru zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Pewnie dlatego niechcący wpadłem na twoje drzwi. - Ziewnął.

Komandor podniósł z łóżka przybory toaletowe Highbridge'a, po czym usiadł na kanapie, gdzie wciąż było widoczne wgłębienie po obfitym zadku Tony'ego. Eric obserwował wuja z przerażeniem. - Gustowna kosmetyczka. Chyba nie widziałem jej wcześniej. - Mam ją od jakiegoś czasu - odparł niemrawo Eric i jeszcze raz ziewnął demonstracyjnie.

Nie będę długo siedzieć - zapewnił go Randolph. Jego ton sugerował jednak coś odwrótnego. Eric przypomniał sobie nudne uroczystości szkolne, długie przemówienia zaczynające się od słów: „Zanim przejdę do rzeczy, chciałbym wspomnieć...”

- Możesz zostać, jak długo zechcesz - odrzekł słabym głosem.

- Bezsensowność - zaczął Randolph. - Jej główną zaletą jest to, że daje okazję nadrobić zaległości w lekturze. Wadą natomiast, że masz za dużo czasu na myślenie. Dziś wspominałem dawno minione święta, kiedy byłeś jeszcze małym chłopcem. - Roześmiał się. - Byłeś nieznośny. Twoja matka omal nie umarła, gdy wyszło na jaw, że ukradłeś wszystkie drobne z kieszeni płaszczy gości na jej dorocznym przyjęciu bożonarodzeniowym - mówił ze śmiechem. Ale to było dawno temu. - Rozejrzał się po kajucie. - Cieszę się, że te kajuty dla VIP-ów tak dobrze wyszły. Miło mieć kanapę i fotele, nie wspominając o balkonie. Szafy też są spore, prawda? Marzenie każdej kobiety. - Wstał. - Jutro wielki dzień. Lepiej spróbujmy jednak zasnąć.

- Wujku Randolphie, chciałbym ci podziękować za to, że pozwoliłeś mi wziąć udział w twoim wspianym nowym przedsięwzięciu.

- Więzy krwi są nierozdzielne, synu. - Komandor poklepał Erica po plecach, po czym skierował się do wyjścia. Drzwi szafy znajdowały się niedaleko wyjściowych. Przez pomyłkę chwycił nie tę klamkę i zaczął ją przekrecać.

Eric dał susa do przodu i zarzucił wujowi ramiona na szyję.

Weed puścił klamkę, odwrócił się i zamknął siostrzeńca w niedźwiedzim uścisku.

- Nigdy nie podejrzewałem, że taki z ciebie uczuciowy chłopiec - wyznał wzruszony. - Szczerze powiedziawszy, uważałem cię raczej za zimnego.

- Kocham cię, wujaszku. - Głos Erica drżał z emocji. Komandor miał wrażenie, że jego siostrzeniec z trudem hamuje łzy.

- Ja też cię kocham, Ericu - powiedział łagodnie. - Bardziej niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. Ta podróż przyniesie nam

wiele dobrego. Umocni rodzinną więź. A teraz idź spać.

Eric skinął głową i szybko otworzył drzwi, wypuszczając wuja. Wyrzwał za nim na korytarz i obserwował, jak komandor znika we własnym pokoju. Wszedł z powrotem do kajuty i omal nie osunął się na podłogę pod wpływem obezwładniającej ulgi. Zarygłował drzwi i otworzył szafę.

- Potrzebuję chusteczki - szepnął Pinto. - „Kocham cię, wujaszku” - przedrzeźniał.

- Zrobiłem, co musiałem - odparł niecierpliwie Eric. - Mamy do dyspozycji podwójne łóżko i rozkładaną kanapę. Jak chcecie spać? - Ja biorę łóżko - zarządził Dziesiątka. - Wy podzielcie się kanapą.

Barron chciał zaprotestować, ale na widok groźnego wyrazu twarzy kompana natychmiast zmienił zdanie. Eric spędził tę noc na balkonie, próbując bezskutecznie znaleźć wygodną pozycję na leżaku.

4

Poniedziałek, 26 grudnia

Dzień był wyjątkowo zimny. Meehanowie, Regan, Jack, Nora i Luke spotkali się na lotnisku Teterboro, gdzie czekał na nich wynajęty przez Willy'ego prywatny helikopter, który miał ich zabrać do Miami, podczas lotu gawędzili o tym, jak kto spędził pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Czwórka Reillych pojechała do rodziców Jacka do Bedford. Było tam również sześcioro rodzeństwa Jacka z rodzinami.

- I my, dwoje jedyneków z córką jedynaczką - opowiadała z zachwytem Nora. - Wspaniale jest spędzać święta wśród tylu bliskich. Rodzina Jacka to tacy mili ludzie. Co do jednego. Jack uniósł brew z uśmiechem.

- Zapewniam was, że to ich pokazowe zachowanie. A co wy robiliście, Elwiro?

- Spędziliśmy cudowny dzień - odparła z emfazą. - W Wigilię poszliśmy na pasterkę, spaliśmy do późna, a potem wybraliśmy się na kolację do świetnej restauracji na Upper West Side, z siostrą Kordelią. To jedyna z siostr Willy'ego, która mieszka w pobliżu. Zaprosiliśmy ją, sześć innych zakonnic, a także kilkoro znajomych siostry Kordelii, którzy nie mają rodzin. W sumie było nas trzydzieści osiem osób. - Trzydzieści osiem! - wykrzyknął Jack. - To więcej niż u mojej matki.

- Cóż, mieliby pecha, gdyby musieli skosztować mojej kuchni - powiedziała Elwira. - Dostaliśmy całą salę dla siebie i zakończyliśmy wieczór śpiewaniem kolęd

- Całe szczęście, że mieliśmy salę dla siebie - wtrącił Willy. W przyszłym roku Kordelia chce przynieść aparaturę do karaoke. Elwira pochyliła się w stronę Regan.

- Jaki piękny naszyjnik - pochwaliła z podziwem. - Założę się, że to prezent gwiazdkowy od męża.

- Elwiro, masz robotę w moim biurze, kiedy tylko zechcesz zażartował Jack. - Ten naszyjnik to w zasadzie miniaturowy herb Reillych.

- Wysadzany diamentami i na złotym łańcuszku. Przepiękny - zachwycała się pani Meehan.
- Nic nie jest za dobre dla mojej żony - odparł Jack.

W Miami powitały ich piękne słońce i wysoka temperatura.

- Cudownie! - oświadczył Luke, wychodząc z samolotu. - To rozumiem. Przez ostatnich kilka dni omal nie zamieniłem się w sople lodu.

Przy wyjściu z lotniska czekała na nich limuzyna zamówiona przez Elwirę.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu. Może byśmy poszli na pyszny obiad do „Joe's Stone Crab”? W zupełności wystarczy, jeśli będziemy na miejscu przed trzecią.

- Elwiro, na statek wpuszczają od pierwszej - zaprotestował Willy. Do czwartej. Pozwólmy nadgorliwcom wejść przed nami i się zadomowić, unikniemy kolejki.

Wszystko idzie dokładnie zgodnie z planem, pomyślała z zadowoleniem Elwira, kiedy limuzyna zaparkowała niedaleko wybrzeża, gdzie „Royal Mermaid” zapełniała się dobroczyńcami roku. Wyszli z samochodu i podziwiali statek, podczas gdy kierowca zajmował się ich bagażami. Z masztu zwisała wielka świąteczna szarfa z napisem „Rejs ze Świętym Mikołajem”.

- Chyba spodziewałem się, że będzie nieco większy - zauważył Willy. - Zdaje się, że wyobraziłem sobie jeden z tych olbrzymich liniowców oceanicznych, które mogą pomieścić tysiące pasażerów.

- Wygląda idealnie - zapewniła pospiesznie Nora.

- W ulotce piszą, że „Royal Mermaid” zabiera czterystu pasażerów - przypomniała Elwira i machnęła lekceważąco ręką. - To aż nadto.

Podszedł do nich bagażowy z wózkiem.

- Proszę iść prosto do odprawy - powiedział. - Zajmę się państwa bagażami.

Wszyscy trzej mężczyźni sięgnęli po portfele.

- Ja się tym zajmę - powstrzymał stanowczo pozostałych Luke.

Poszli w stronę dwóch stanowisk, gdzie odbywała się odprawa pasażerów.

- Mam nadzieję, że nie każą mi wyjmować spinek z włosów - mruknęła Nora. - Przydarzyło mi się coś takiego na lotnisku Kennedy'ego przed odlotem do Londynu. Kiedy weszłam do samolotu, wyglądałam jak Violetta Villas.

Jednak cała grupa przeszła przez odprawę błyskawicznie i bezproblemowo. Ruszyli w kierunku trapu, gdzie grupka pracowników zajmowała się meldowaniem gości. Okazało się, że większość pasażerów jest już na pokładzie. Przy żadnym ze stolików nie było kolejki. Trzech mężczyzn ubranych w granatowe blezery, białe spodnie i czapki ze złotymi lamówkami pospieszyło w ich kierunku od strony rufy.

- Witamy! Witamy! Która z pań to Elwira Meehan? - spytał najstarszy z grupki. On pierwszy ich zauważył. - Tak się niepokoił, że zmieniła pani zdanie i nie popłynie z nami. Bylibyśmy bardzo rozczarowani.

- Naprawdę bardzo rozczarowani - poparł go jeden z pozostałych mężczyzn.

- Jestem Elwira, a to mój mąż Willy oraz nasi przyjaciele... - Szybko wszystkich przedstawiła.

- Nazywam się Randolph Weed, będę państwa gospodarzem. Przyjaciele nazywają mnie komandorem, a ja bardzo to lubię. Mój siostrzeniec, Eric Manchester oraz nasz kierownik rejsu, Dudley Loomis. Zameldujmy was i chodźmy na pokład. Przyjęcie powitalne kończy się za dwadzieścia minut. Wyruszamy o szesnastej.

- O szesnastej? - zdziwiła się Elwira. - Według moich informacji o osiemnastej. Mam tu gdzieś list.

Dudley przejął inicjatywę. Nie miał ochoty patrzeć na swoje nazwisko pod zaproszeniem, które zamierzała im pokazać. Był półprzytomny, kiedy to pisał.

- Chodźmy się zameldować - ponaglił, prowadząc ich do stolika, gdzie czekało już wszystkich sześciu pracowników.

Luke i Nora podeszli do jednego, Jack i Regan do drugiego.

Komandor i jego siostrzeniec nie wypuszczali Elwiry i Willy'ego spod opiekuńczych skrzydeł.

- Będziemy mieli mnóstwo atrakcji - zapewniał Randolph Weed. - Grupa fascynujących szlachetnych ludzi na bezkresnych falach oceanu przez cztery dni. Obiecuję, że będziecie się delectować każdą minutą...

Dziewczyna przy stoliku wpisała do komputera nazwiska El-

wiry i Willy'ego. Zmarszczyła brwi i zaczęła nerwowo stukać paznokciami w klawiaturę.

- Ojej - powiedziała.

Nie może być problemu, pomyślał Dudley. Po prostu nie może.

- Nie rozumiem, jak to się mogło stać powiedziała dziewczyna.

- Co takiego? - spytał Dudley, próbując zatrzymać uśmiech na twarzy, podczas gdy oblicze jego szefa przybrało surowy wyraz.

- Kabina przeznaczona dla państwa Meehan jest już zajęta.

Podobnie jak wszystkie pozostałe na statku. - Popatrzyła na komandora, Erica i Dudleya. - Co zrobimy?

- Zabrakło kajut? - Randolph zerknął na Loomisa. - Jak mogło do tego dojść?

Musiałem źle policzyć, pomyślał Dudley. Powinienem być zaproponować Meehanom zaproszenie jeszcze tylko jednej pary.

- Elwiro - odezwała się Regan - Jack i ja spędzimy kilka dni w Miami i polecimy stąd nad Tahoe. To żaden problem.

- Wykluczone! - warknął komandor. - Nie ma mowy. Możemy udostępnić jedną z najbardziej luksusowych kajut na statku. Państwu Meehan z pewnością będzie w niej wygodnie. Jest zaraz obok mojej kwatery. - Popatrzył na Manchestera. - Mój siostrzeniec z przyjemnością przeniesie się do gościnnej sypialni w moim apartamencie. Prawda, Ericu?

Ten poczuł, jak cała krew odpływa mu z twarzy. Mógł odpowiedzieć tylko jedno. I zrobił to:

- Oczywiście.

- Migiem przeniesiemy twoje rzeczy - odezwał się pogodnie Dudley. Niedogodność, która spotkała Manchestera, znacznie osłodziła mu gorzyc własnej pomyłki.

- Ericu, bardzo mi przykro, że wyganiam cię z twojej kabiny - powiedziała Elwira. - Nie spiesz się z pakowaniem. Wstąpimy teraz na przyjęcie i zamówimy po drinku. Z przyjemnością wprowadzimy się już po odbiciu od brzegu.

Eric zdołał się uśmiechnąć.

- Lepiej zacznę się pakować od razu, stewardzi będą mieli więcej czasu na przygotowanie pokoju. Do zobaczenia później.

Odwrócił się na pięcie i jak strzała pomknął w stronę swojej kajuty.

- Cóż za przemily młody człowiek z tego pańskiego siostrzeń-

ca - powiedziała Elwira do komandora.

5

Przyjęcie pod hasłem „Witajcie na pokładzie” trwało w najlepszym razie ponad godzinę. Większość spośród czterystu gości piła już drugi kieliszek szampana, niektórzy trzeci, a kilku nawet więcej. Od razu widać, kto jest kim, pomyślał Ted Cannon, odstawiając nietknięty kieliszek. Orkiestra nieprzerwanie grała świąteczne piosenki. Po raz czwarty już chyba zaczęli grać „Santa Claus is Comin to Town”. Jestem tu całkiem sam, pomyślał rzewnie. Ted od piętnastu lat bywał jako Święty Mikołaj w szpitalach i domach opieki w Cleveland. Namawiała go do tego Joan. Jego żona zmarła już ponad dwa lata temu, ale kontynuował tę tradycję, aby oddać hołd jej pamięci. Ni z tego, ni z owego ktoś umieścił jego nazwisko w Loterii Mikołajowej i w ten sposób Ted wygrał wycieczkę statkiem. Wciąż trudno mu było w to uwierzyć.

Co roku tydzień po świętach zamykał swoje biuro księgowo w Cleveland, jak za dawnych czasów, kiedy wyjeżdżali gdzieś z Joan. Święta zawsze spędzali ze swoim synem, Billem, i jego rodziną. Ostatnie kilka dni Ted spędził właśnie u nich. To właśnie Bill namówił go do wzięcia udziału w rejsie.

- Tato, mama chciałaby, żebyś popłynął i spędził miło czas. Na statku będzie dziewięciu innych Mikołajów, na pewno znajdziesz z nimi wspólne tematy. A jeśli na pokładzie będą jakieś atrakcyjne samotne panie, poproś którąś do tańca. Masz dopiero pięćdziesiąt osiem lat, a nie spojrzalesz na żadną kobietę od śmierci mamy.

Ale teraz, stojąc wśród tych wszystkich obcych ludzi, Ted poczuł się samotny i opuszczony. Zastanawiał się, czy zdąży jeszcze złapać swoje bagaże i zejść na ląd. Otrząsnął się z tej myśli. I co niby miałby zrobić potem...

Przestań, przykazał sobie i podniósł kieliszek do ust.

Ivy Pickering niedawno skończyła przeglądać listę pasażerów. Była zachwycona, znalazłszy na niej nazwiska Elwiry Meehan, Regan Reilly i Nory Regan Reilly. Dzierżyła w dłoni kieliszek

szampana, stojąc w pełnej gotowości w strategicznym punkcie sali, tak aby widzieć wszystkich wchodzących. Chciała się przedstawić, a potem, gdy już wszyscy się rozpakują i nieco zadomowią, być może uda jej się spędzić trochę czasu ze swoimi idolami. Podziwiała Elwirę, od kiedy ta zaczęła pisać felietony do nowojorskiego „Globe” niedługo po wygranej na loterii. Ivy zafascynowała relacja pani Meehan o tym, jak ona, Regan i Jack współpracowali, by odnaleźć i uratować uprowadzonego Luke'a.

Ivy niedawno wstąpiła do Klubu Czytelników i Pisarzy w Oklahomie. Organizacja powstała rok temu, jej członkowie poświęcali swój czas, ucząc ludzi czytać i pisać. Wielu z autorów należących do klubu zajmowało się pisaniem powieści sensacyjnych. Ivy należała do grupy czytelników. Mawiała, że byłaby świetnym detektywem, ale marną pisarką. Grupa liczyła pięćdziesiąt osób, przedstawiono ich nawet w pewnym czasopiśmie, wychwalając za to, że bezinteresownie poświęcali swój czas na walkę z analfabetyzmem. Dzięki temu dostali zaproszenie na ten rejs.

Dla zabawy zdecydowali się zaprosić „ducha honorowego”; zmarłego pisarza o pseudonimie Louie Lewy Sierpowy. Louie pisał kryminały, zajął się tym po zakończeniu kariery bokserkiej w wadze ciężkiej. Napisał około czterdziestu powieści, których bohaterem był emerytowany bokser-detektyw. Louie zmarł po sześćdziesiątce, a za dwa dni obchodziłby osiemdziesiąte urodziny. Klub Czytelników i Pisarzy postanowił uhonorować kolegę po piórze. Zamierzali porozwieszać na całym statku plakaty przedstawiające Louiego, siedzącego w rękawicach bokserkich przy maszynie do pisania, z uśmiechem na nieco zniekształconej od licznych ciosów twarzy.

Ivy nigdy wcześniej nie płynęła statkiem. Miała zamiar obejrzeć każdy centymetr kwadratowy „Royal Mermaid”. Jej osiemdziesięcioletnia matka rzadko już ruszała się z domu, ale uwielbiała słuchać relacji z przygód córki. Mieszkały razem w tym samym domu, w którym Ivy przysła na świat sześćdziesiąt jeden lat temu.

Komandor zaprowadził swoich ostatnich gości na pokład,

gdzie odbywało się przyjęcie. Elwira rozglądała się wokół z ciekawością; nie mogła się doczekać, by zobaczyć ściankę wspinaczkową, której zdjęcie w ulotce bardzo ją zaintrygowało. Podskoczyła gwałtownie, kiedy podbiegła do niej drobna kobieta o ptasim wyglądzie i położyła jej rękę na ramieniu.

- Nazywam się Ivy Pickering - przedstawiła się szybko nieznamym. - Jestem pani wielką fanką. Czytam pani felietony i wszystkie książki pani Nory. Zachowałam wycinki z pięknego ślubu Regan. Po prostu musiałam was wszystkich przywitać, kiedy tylko weszliście. - Uśmiechnęła się promiennie. - Nie będę państwa dłużej zatrzymywać.

Zatrzymujesz nas, pomyślał komandor Weed, ale nie mógł przecież urazić jednego ze swoich czyniących dobro gości.

- Chcę zająć miejsce przy relingu, żeby wszystko widzieć, kiedy statek będzie odbijał od brzegu. Ale może jutro albo pojutrze mogłabym sobie zrobić z wami kilka zdjęć? Pokażę je mamie po powrocie do domu.

- Oczywiście - odpowiedziała Nora w imieniu wszystkich.

Ivy skinęła radośnie głową i oddaliła się pospiesznie.

Podszedł do nich człowiek z kamerą na ramieniu przyprowadzony przez energiczną młodą damę z mikrofonem. Pierwsze pytanie dziennikarka skierowała do Nory: .

- Co pani sądzi o pomysśle komandora Weeda, aby uhonorować ludzi, którzy pomagają innym?

Regan mogłaby przysiąc, że usłyszała, jak ojciec mamrocze pod nosem: - Jest przeciw.

Wiedziała, że głupie pytania to coś, czego Luke nie znosi najbardziej na świecie. Nora została uratowana od odpowiedzi, bo właśnie weszło na pokład dwóch policjantów. Skierowali się prosto do kelnera, który z głupawym uśmiechem podchodził do Reillych i Meehanów, niosąc tacę zapelnioną kieliszkami szampana. Kelner zauważył zainteresowanie gości czymś za jego plecami i odwrócił głowę. Kiedy zobaczył policjantów, upuścił tacę, zrobił gwałtowny zwrot w tył i popędził w stronę najbliższych schodków na niższy pokład. Zanim ktokolwiek zdolał dogonić uciekiniera, wszyscy usłyszeli głośny plusk.

- Człowiek za burta! - krzyknęła Ivy Pickering.

Komandor spojrzął na bałagan na deskach pokładu. Po co wydawałem pieniądze na drogę trunki? - zastanawiał się ponuro. Wszyscy podbiegli do burty, żeby obserwować sytuację w wo-

dzie.

- Kurczę, ależ on szybko płynie - zauważył ktoś.

Kilka sekund później rozległ się sygnał policyjnej syreny dobiegający ze zbliżającej się łodzi. Oznaczał on, że nieważne jak szybko płynie zbieg, i tak za kilka chwil zostanie wyłowiony. Nie zdoła uciec.

Pozostali kelnerzy szybko uprzętnęli potłuczone kieliszki i wyczyścili pokład. Komandor podbiegł do Dudleya, który stał pod ścianką wspinaczkową, ubrany w uprzęż asekuracyjną i gotów do demonstracji.

- Nie mam pojęcia, o co może chodzić - wyjąkał Loomis. Tak bardzo mu zależało na tej pracy. Powiedział, że wcześniej pracował w „Waldorfie”.

- Z tego, co wiemy, może być nawet seryjnym mordercą - denrowował się Weed. - Kogo jeszcze zatrudniłeś na słowo honoru?

Pod ścianką leżał mikrofon, do którego Randolph wygłosił wcześniej swoją mowę powitalną. Podniósł go teraz:

- No, cóż, obiecałem wam podróż pełną wrażeń... - Minęło kilka minut, nim wszyscy zwrócili się w jego stronę. Byli pochłonięci obserwowaniem uciekiniera. Komandor powtórzył i dodał: - I zdecydowanie wygląda na to, że nasz rejs będzie pełen wrażeń... - Urwał. - Istotnie - zakończył niezgrabnie.

W tym momencie podszedł do niego młody marynarz i szepnął mu coś do ucha. Pochmurne oblicze Weeda zaczęło się rozjaśniać.

- Rozumiem. Całkowicie zrozumiałe. Niektóre kobiety nie mają za grosz cierpliwości. - Zwrócił się teraz do zebranych. Wygląda na to, że biedny chłopak zalega nieco z alimentami. Nie ma żadnego zagrożenia. Dał szansę miłości i... no cóż, lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie pokochać.

Reed starał się przywrócić nastrój zabawy.

- A teraz napełnijmy kieliszki i zwróćmy głowy w stronę ścianki wspinaczkowej tuż za mną. Organizator naszego rejsu, pan Dudley, zademonstruje nam, jak z niej korzystać. I świetnie się bawić, wyobrażając sobie, że to Mount Everest. - Zwrócił się z szerokim gestem w stronę Loomisa. - Ruszaj do gwiazd - polecił.

Dudley skłonił się tak nisko, jak pozwalała mu na to uprzęż.

Członek załogi wyznaczony do przytrzymywania liny zabezpieczającej podniósł ją z zauważalnym brakiem entuzjazmu.

Kierownik rejsu postawił prawą nogę na najniższym uchwycie przytwierdzonym do ściany i rozpoczął wspinaczkę. Sięgnął ręką ponad głowę, złapał następny uchwyt i zaczął się podciągać.

- Tylko ty tego nie próbuj - szepnęła Elwira do Willy'ego.

- Prawa, lewa - mrucał do siebie Dudley, oblewając się potem. Właśnie podniósł prawą nogę w poszukiwaniu kolejnego uchwytu, kiedy poczuł, że ten, który powinien był podtrzymywać lewą, rusza się jak mleczny ząb sześciolatka.

- To się nie może stać - jęknął.

A jednak się stało.

Kiedy próbował przerzucić ciężar ciała na prawą stronę, lewy uchwyt urwał się i spadł na pokład. Obie stopy Dudleya straciły kontakt ze ścianką, zaczął się huśtać na linie jak parodia Tarzana. Towarzystwo na dole dodawało mu otuchy okrzykami. Spróbował się uśmiechnąć, spojrzął ponad ramieniem... i wylądował z hukiem na deskach pokładu, ponieważ pomocnik trzymający linę zbyt szybko ją puścił.

Nora i Regan nie odważyły się spojrzeć na mężów.

6

Dowiedziawszy się o konieczności zwolnienia kajuty, Eric wbiegł na pokład w takim tempie, że jego stopy niemal nie dotykały stopni. Chętnie uduśliłby Elwirę Meehan gołymi rękoma!

„Proszę się nie spieszyć z pakowaniem”.

Jasne, paniusiu. Nie miał ani chwili do stracenia! Był przekonany, że ten dupek Loomis jest wniebowzięty z powodu niedo-
godności, jaka go spotkała. A wszystko to wina tego idioty. To on źle policzył pokoje. A teraz wielki pan Dudley przyśle armię stewardów, aby usprawnić eksmisję Erica. Wiem, że mnie nie znosi, myślał Manchester, tym bardziej po tym, jak przydzielono mi lepszą kabinę. Kierownik dostał małą klitkę bez balkonu, ale cóż by Eric dał teraz za tę jego dziuplę. Zdał sobie sprawę, że umiera ze strachu na myśl o spojrzeniu w twarz Dziesiątce i przekazaniu mu złych wieści. Nie chcąc czekać na windę, ruszył w stronę schodów.

Jak ich ukryć? Gdzie ich ukryć? Jak mógłby trzymać dwóch bandziorów przez trzy dni w apartamencie wuja? Ta sypialnia gościnną jest taka mała. Szafa też.

Wiedział jedynie, że musi usunąć zbiegów ze swojego pokoju. I to szybko.

- Ho! Ho! Ho! Eric! - zawołał go jeden z pasażerów. - Kiedy dostanę swój kostium Świętego Mikołaja?

- Spytaj Dudleya - warknął nieuprzejmie i popędził dalej. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Mógłby zwinąć dwa kostiumy. Gdyby Dziesiątka i Highbridge je włożyli, nikt nie zwróciłby na nich uwagi, mijając obu na korytarzu.

Gdzie są kostiumy? Muszą je przechowywać w schowku na trzecim pokładzie, uznał Eric. Wszystkie kajuty Mikołajów mieściły się na pokładzie trzecim. Ludzie, którzy ofiarowali siebie, dostali gorsze pokoje niż ci, którzy ofiarowali pieniądze. Tak już jest urządzony ten świat.

Zdążyć tam pójść? Zanim podjął przemyślaną decyzję, był już na pokładzie trzecim. W swoim komplecie miał klucze do wszystkich pomieszczeń łącznie ze schowkiem. Proszę, niech te kostiumy tam będą, modlił się Eric.

Słyszał głosy dochodzące zza drzwi niektórych mijanych kajut.

Nikt nie powinien go widzieć w pobliżu magazynku. Mijając bagaże pozostawione pod drzwiami niektórych kajut, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i skręcił za róg. Na końcu korytarza zobaczył dwoje pasażerów, na szczęście stali do niego plecami. Dał susa w stronę magazynu, włożył klucz do zamka, przekręcił i otworzył drzwi. Ku jego zachwytowi kostiumy wisały na wieszakach. Szybko wybrał dwa, które powinny pasować na niskiego przysadzistego Tony'ego i wysokiego chudego Highbridge'a. Kostiumy Mikołajów dla dwóch ludzi, dających prezenty jedynie sobie samym. Tropikalni Mikołaje, pomyślał. W szafce znalazł paczkę czarnych plastikowych worków na śmieci. Wrzucił mikołajowe akcesoria do jednego z nich. Czas uciekał. Eric spociał się jak mysz.

Wyszedł z magazynku i wbiegł na górny pokład. Zdołał dotrzeć do swojej kajuty bez konieczności tłumaczenia się komukolwiek, po co niesie torbę na śmieci. Tabliczka z napisem „Nie przeszkadzać” była na swoim miejscu. Otworzył drzwi i spróbował przygotować się psychicznie na reakcję kryminalistów.

Barron leżał na rozkładanej kanapie, oglądając telewizję, i jadł chipsy z torebki.

- Ciiii...- ostrzegł i szepnął: - Tony właśnie zasnął. Cały dzień był podenerwowany.

- Zaraz zdenerwuje się dużo bardziej - burknął Eric. - Muszę was przenieść.

Pinto gwałtownie otworzył oczy.

- Co?

- Coś się spieprzyło. Mają o jedną kabinę za mało. Wprowadza się tu para pasażerów.

- Cudownie! - wrzasnął Dziesiątka. - Masz jakiś genialny pomysł, gdzie nas umieścić?

Barron usiadł. Na jego twarzy malowało się przerażenie. Torebka z chipsami przewróciła się, a jej zawartość rozsypała po kanapie i podłodze.

- Mówiłeś, że to będzie łatwe. Że będziemy po prostu mieszkać w twoim pokoju.

- Będziecie mieszkać w moim pokoju. Nowa kabina jest na końcu korytarza.

- Na końcu korytarza?

- W apartamencie mojego wuja.

- Tego, którego tak kochasz? - zagruchał Tony.

- Tego samego. - Eric wysypał zawartość plastikowej torby na łóżko. - Włóżcie to - powiedział z desperacją. - Potem przejdziemy do apartamentu. Wuja tam nie ma. Jeśli ktoś nas zobaczy, niczego się nie domyśli, bo na statku jest dziesięciu Świętych Mikołajów.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Mogę panu pomóc w pakowaniu, panie Manchester?

Eric rozpoznał głos Winstona, nadętego lokaja, który zdaniem komandora miał dodać temu przedsięwzięciu nieco klasy.

- Nie, dziękuję! - odkrzyknął. - Potrzebuję jeszcze jakichś piętnastu minut, potem możesz zacząć przygotowywać kajutę.

- Doskonale. Proszę mnie wezwać, kiedy będzie pan gotowy. Tymczasem.

- Czy jemu się zdaje, że jest w pałacu Buckingham? - syknął Tony.

Prawdopodobieństwo, że ktoś może odkryć ich obecność, zmobilizowało przestępców do działania. Błyskawicznie przebrali się w kostiumy. Eric podał im brody i czapki. Sandały miały uniwersalny rozmiar i regulowane paski. Obaj przestępcy wyglądali groteskowo.

Oczy Tony'ego spoglądały złowieszczo spod opadających powiek. Fala bieli zakrywała mu pół twarzy. Broda Barrona zwiślała luźno, wchodząc mu w usta. Ale przynajmniej jest szansa, że nie wzbudzą podejrzeń, jeśli kogoś spotkają.

- Sprawdź, czy droga wolna - powiedział Eric.

Serce waliło mu jak oszałałe. Otworzył drzwi i rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było.

- Zajrzeć jeszcze do środka, upewnić się, że jest pusto.

Poszedł na koniec korytarza, otworzył drzwi do apartamentu wuja i szybko sprawdził pomieszczenia. Potem pospieszył z powrotem do siebie i skinął na dwóch mężczyzn.

Podążyli za nim przez korytarz do kwatery komandora. Eric zamknął drzwi, oddychając z ulgą. .

- Sypialnia gościnnie jest tam - wskazał.

- Chyba sobie żartujesz - warknął Tony, kiedy zobaczył po-

mieszczanie. Skromne umeblowanie stanowiły: podwójne łóżko, szafki wnękowe, nocny stolik i jedno krzesło przy wbudowanym w ścianę biurku.

Barron otworzył szafę.

- Chyba nie oczekujesz, że będziemy się tu chować? - spytał.

- Nie - odparł zniecierpliwiony Eric. - Idźcie do łazienki.

Podobnie jak szafa, łazienka w kabinie dla gości była dużo mniejsza niż ta w jego kajucie. - Poczekaście tu, aż przeniosę wszystkie swoje rzeczy - polecił. - Zamknijcie się od środka.

Tony, z wyrazem morderczej furii na twarzy, skinął głową. - Ostrzegam cię, Eric. Lepiej dla ciebie, żeby nas nie złapali.

„Royal Mermaid” opuściła port w Miami punktualnie o szesnastej. Roztrzęsiony komandor poczuł się odrobinę lepiej, kiedy już nakrzyczał na Dudleya. Właśnie kierownik rejsu odpowiadał za to, że tak wiele rzeczy poszło źle i to jeszcze zanim odbili od brzegu. Nie otrzymawszy satysfakcjonującego usprawiedliwienia od równie roztrzęsionego Loomisa, udał się na mostek kapitański. Stał obok kapitana Horatio Smitha, kiedy ten kazał włączyć silniki. Obecność Smitha dodawała mu otuchy. Po przejściu na obowiązkową emeryturę w małej lecz cieszącej się bardzo dobrą opinią rejsowej linii oceanicznej siedemdziesięcioletni Horatio z radością przyjął stanowisko kapitana na „Royal Mermaid”.

- Wszyscy na pokładzie, komandorze? - upewnił się.

- Minus jeden - odparł ponuro Weed, nie mając pojęcia, że tak naprawdę jest plus jeden. - Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał go zastąpić i sam obsługiwać gości.

Stojąc obok kapitana Smitha, który dotąd nie zrobił jeszcze nic głupiego, komandor powoli zaczął odzyskiwać dobry humor. Każdy dziewiczy rejs ma swoje złe i dobre chwile, tłumaczył sobie. Rozczarowała go reakcja Erica na wiadomość, że musi się przenieść do jego apartamentu. Siostrzeniec miał bardzo niewyrażną minę.

A wczoraj wydawał się taki spragniony mojego towarzystwa, rozmyślał Randolph. Powinien się cieszyć, że będzie bliżej mnie. Spędzimy razem więcej czasu. No cóż...

Odwrocił się z ciekawością, by sprawdzić, ile osób obserwuje kapitana u steru przez okrągłe okienko. Kolejne rozczarowanie był tylko jeden obserwator; sprawiający wrażenie bardzo schorowanego, pan Harry Crater. Wygląda, jakby miał za chwilę się przewrócić, pomyślał komandor. Ulżyło mu, kiedy podczas pogawędki na przyjęciu Harry wspomniał, że ma prywatny helikopter i w razie nagłego pogorszenia stanu zdrowia natychmiast po niego zadzwoni. Nie życzył źle swojemu gościowi, ale przejściowy medyczny problem wymagający transportu pasażera helikopterem dobrze wyglądałby w gazetach. Podkreślilibyśmy nasze

przygotowanie do szybkiej reakcji na nagłe wypadki, jako że mamy lądowisko. Muszę wspomnieć o tym Dudleyowi, uznał.

Komandor pomachał Craterowi i zasalutował.

Harry również pomachał. Był to słaby gest potężnego ramienia ukrywanego pod dwa numery za dużą marynarką. Nie interesowało go nic prócz lądowiska, które stanowiło część jego planu.

Odszedł, pamiętając, by podpierać się laską.

Komandor patrzył w ślad za Craterem. Jego ciało podupada, ale duch pozostał silny, myślał. Mam nadzieję, że ten rejs dobrze mu zrobi. Ciekawe, jak przysłużył się ludzkości w tym roku. Trzeba spytać Dudleya.

- Chce pan nacisnąć guzik? - zaproponował kapitan z iskierką w oku.

- Owszem - odparł Weed. Jak dziecko, które dorwało się do zabawkowego steru, uderzył dłonią w guzik uruchamiający syrenę okrętową.

Zawyła.

- Cała naprzód! - wykrzyknął radośnie. - I nie ma odwrotu.

8

Kajuta Regan i Jacka mieściła się po przeciwległej stronie tego samego korytarza co kabina Nory i Luke'a. Elwira i Willy mieszkali na wyższym pokładzie. Najpierw całą szóstką obejrzelili pokoje Reillych, a potem razem poszli obejrzeć była kajutę Erica. Umierali z ciekawości. Apartament znajdował się w osobnej sekcji statku, tuż obok kwatery komandora. Zwykle pasażerowie nie mieli tam wstępu.

Drzwi wejściowe zastali otwarte.

Ahoj! - zawołała Elwira od progu.

Wyprostowany jak struna łysiejący mężczyzna w uniformie stewarda przecierał szafkę nocną.

- Dzień dobry - odpowiedział z lekkim ukłonem. - Czy pani Meehan?

- Tak, to ja.

- Mam na imię Winston. Jestem lokajem. Z przyjemnością zadbam o państwa całkowity komfort. W razie życzenia podam śniadanie do łóżka, gorącą czekoladę przed snem i o cokolwiek państwo poprosicie. Proszę przyjąć moje głębokie wyrazy ubolewania z powodu tej nieszczęsnej pomyłki z kajutami.

- Nic się nie stało - powiedziała szczerze Elwira i rozejrzała się z zachwytem po pomieszczeniu. - Wy macie bardzo ładne pokoje - zwróciła się do Reillych. - Ale ten tu jest naprawdę poza konkurencją.

- Wspaniały - przyznała Regan.

Nie umknął jej uwagi wyraz twarzy Erica, kiedy musiał zgodzić się na opuszczenie swojego lokum. Teraz wiedziała, czemu nie był zadowolony. Jednak było coś jeszcze. Siostrzeniec komandora wydawał się przerażony.

Nora zajrzała do otwartej szafy.

- To właściwie drugi pokój - zauważyła.

- Elwira zabrała tak dużo rzeczy, że potrzebuje tyle miejsca, ile może dostać - rzucił Willy. - O, są już nasze walizki.

W drzwiach stanął zdyszany bagażowy.

- Pójdziemy już. Damy wam czas, żebyście mogli się spokojnie rozpakować - zaproponował Luke. - Pamiętajcie o obowiązk-

kowym szkoleniu alarmowym o piątej.

Winston po raz ostatni omiół wewnątrz uważnym spojrzeniem i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Jak mogłem to przegapić? - mruknął pod nosem, schylając się, by podnieść pokruszone chipsy ziemniaczane z podłogi pod kanapą. - A myślałem, że Eric ma fioła na punkcie zdrowego odżywiania... - Wyprostował się. - Myślę, że wszystko jest już w najlepszym porządku. Gdyby coś było potrzebne, proszę tylko podnieść słuchawkę.

- Spojrzała na Reillych i pociągnął nosem. Może zostawimy teraz państwa Meehan i pozwolimy im się rozpakować w spokoju? - powiedział swoim najbardziej snobistycznym tonem z brytyjskim akcentem.

- Naturalnie - sucho odparł Jack. Też mi lokaj, pomyślał urażony. Dajcie spokój. Nikt nas nie musi wypraszać.

Luke wymamrotał coś pod nosem.

- Spotkamy się na dole po apelu. - Elwira starała się zatuszować aroganckie zachowanie Winstona. - Czyż to nie cudowne, że już wyłynęliśmy?

Podążyli za lokajem do drzwi, podczas gdy bagażowy szarpał się z walizkami Elwiry, układając je na łóżku. Torba Willy'ego stanowiła wzór optymalnego wykorzystania przestrzeni. Mieściła niemal wszystko, czego potrzebował. Oprócz niej miał jeszcze tylko jeden mniejszy sakwojaż. Elwira wysunęła szufladę nocnej szafki i umieściła w niej tabletki z magnezem. Słyszała, że organizm lepiej przyswaja leki, kiedy się je łyka na noc. Zauważyła talię kart.

- O, patrz, Willy. Pamiętasz, jak kiedyś lubiliśmy grać w karty? Dawno tego nie robiliśmy.

- To dlatego, że jesteś zbyt zajęta rozwiązywaniem zagadek kryminalnych - wypomniał jej mąż.

Karty były spięte gumową opaską. Podniosła je. Willy spojrział.

- Spytam Erica, czy przypadkiem nie są jego. Wystarczy, że zabraliśmy mu pokój. - Wsunął talię do kieszeni. - Jeśli na szkoleniu będzie nudno, zagramy w wojnę.

9

Podczas gdy Regan kończyła się rozpakowywać, Jack podłączył laptop. Przed wyjazdem uzgodnili, że żadne z nich nie ma ochoty być odcięte od świata zbyt długo. Chociaż wyjechali z Nowego Jorku ledwie kilka godzin wcześniej, już czuli się, jakby ich prawdziwe życie zostało miliony kilometrów stąd.

Na ekranie błysnęły nagłówki wiadomości z ostatniej chwili. UCIECZKA SŁYNNYCH PRZESTĘPCÓW! - przeczytał Jack. Gwizdnął, zapoznając się z treścią artykułu.

Boss mafijny Tony Pinto Dziesiątka oraz oszust z wyższych sfer Barron Highbridge zniknęli. Dwaj pochodzący z różnych światów złoczyńcy mieli się stawić w sądzie dziś rano. Otrzymali przepustki z więzienia, by móc spędzić Boże Narodzenie z rodzinami, ale najwyraźniej nie interesowały ich resztki świątecznej kolacji. W rezydencji Tony'ego Pinto w Miami organy ścigania znalazły tylko jego żonę. Jeszcze spała. Miała na kostce bransoletkę męża z nadajnikiem, którą dostał razem z przepustką. „Nie wiem, w jaki sposób znalazła się na mojej nodze - tłumaczyła kobieta. - Mam twardy sen. Gdzie mój mąż?”

W posiadłości Highbridge'a w Greenwich w Connecticut wciąż paliły się lampki na choince, jednak nie było nikogo. Jego osiemdziesięciosześcioletnia matka, która według słów Barrona miała być śmiertelnie chora, spędzała wakacje z koleżankami na francuskiej Riwierze. „Świetnie się bawimy. Nazwałyśmy się Złotymi Dziewczynami - wyszczebiotała do słuchawki. - To straszna pomyłka, że ława przysięgłych uznała mojego syna za winnego. On ma takie dobre serce. Zarobił dla ludzi mnóstwo pieniędzy przez te lata... Czuję się świetnie. Czemu?”

Dziewczyna Highbridge'a, z którą spotykał się od dawna, była w Aspen z drugorzędnym aktorem Wilkiem Wintersem. „Nie życzę sobie, aby łączono moje nazwisko ze skazanym - powiedziała z moralną wyższością, błyskając reporterom w oczy kosztowną biżuterią, podarowaną przez Highbridge'a”.

Regan zaglądała Jackowi przez ramię, bawiąc się naszyjnikiem, swoim prezentem gwiazdkowym od męża.

- Mam nadzieję, że ja nigdy nie będę musiała powiedzieć tego

samego o tobie - zażartowała.

Jack posłał jej wymowne spojrzenie i oboje wrócili do czytania. Wykorzystując nieposzlakowaną opinię swojej rodziny, czterdziestoczteroletni Barron Highbridge zdołał przyciągnąć wielu łatwowiernych inwestorów i oszukać ich na duże sumy. Został skazany za kradzież milionów dolarów. Dziś miał usłyszeć wyrok; minimum piętnaście lat pozbawienia wolności. Proces Tony'ego Pinto w sprawie zamordowania właścicieli konkurencyjnej firmy budowlanej miał się rozpocząć trzeciego stycznia.

Jack pokręcił głową.

- Ci faceci wiedzieli, że już po nich. Miałem do czynienia z Tonym, kiedy był w Nowym Jorku. Nie mogliśmy zebrać dość dowodów, by postawić go przed sądem. Z przyjemnością usłyszałem, że podkablował go jeden z podwładnych.

Regan usiadła na łóżku.

- Pewnie chcą się dostać gdzieś, gdzie nie ma ekstradycji. Ale żeby wyjść na przepustkę, musieli zostawić paszporty.

- Przy takiej obławie nie wyjadą z kraju na fałszywych papierach - zauważył Jack. - Sprawdzę, co na ten temat wiadomo w biurze.

Wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer. Keith, jego prawa ręka, odebrał po pierwszym sygnale.

- Jack, miałeś odpoczywać - powiedział, słysząc głos szefa.

- Odpoczywam. Ale przeglądam też sieć. Widzę, że Tony Dziesiątka uciekł. Nigdy nie zrozumiem, czemu wypuszczono go za kaucją. Było oczywiste, że zwieje. Słyszałeś coś o nim albo o Barronie Highbridge'u?

- Informator twierdzi, że Pinto próbował nawiązać kontakt z kimś, kto mógłby wydostać go z kraju. Federalni obstawili lotniska. Możliwe, że jeden z nich albo i obaj próbują dostać się na którąś z tych karaibskich wysp, nie mających umów o ekstradycję ze Stanami Zjednoczonymi.

- Czy Fishbowl jest jedną z nich? To nasz jedyny przystanek.

- Mam tu listę - odparł Keith. - Zaraz sprawdzę. - Roześmiał się. - No, zgadnij? Fishbowl jest na liście. Wypatrujcie Tony'ego.

- Na pewno będziemy. Jeszcze jakieś wiadomości?

- Nie, szefie. Odpręż się i bawcie się dobrze, ty i twoja żona.

- A jak ten statek?

- Lepiej nie pytaj - powiedział ze śmiechem Jack. - Zanim jeszcze odbiliśmy od brzegu, jeden z kelnerów wyskoczył do

wody. Został aresztowany za zaległości alimentacyjne. A kierownik rejsu spadł ze ścianki wspinaczkowej.

- Narty chyba są bezpieczniejsze.

- Może i tak. Informuj mnie o wszystkim, co chciałbym wiedzieć.

- To znaczy o wszystkim. Kropka - zaśmiał się Keith. - Jeszcze sporo usłyszymy na temat zbiegów, jestem pewien.

Jack zapatrzył się na fotografię Tony'ego, która właśnie pojawiła się na ekranie komputera.

- Nie chciałbym się dowiedzieć, że udało mu się uciec. To jeden z tych najgorszych. Kiedy zamykał klapkę telefonu, z głośników rozległ się komunikat:

- Uwaga, pasażerowie. Mówi komandor Weed. Za chwilę rozpocznie się obowiązkowe szkolenie ewakuacyjne. Wszyscy mają być obecni, żadnych wymówek. To szkolenie może ocalić wam życie. Zabierzcie, proszę, kamizelki ratunkowe i nie potknijcie się o pasy. Członkowie załogi wskażą drogę do jadalni, gdzie otrzymamy ogólne instrukcje. Stamtąd przejdziemy do łodzi ratunkowych. Proszę się nie denerwować, to tylko rutynowe wymogi bezpieczeństwa.

Regan wyjęła z szafy dwie kamizelki ratunkowe.

- Jak sądzisz, chyba to będzie jedyna okazja, żeby je włożyć? - zażartowała, podając jedną mężowi.

- Nie liczyłbym na to, biorąc pod uwagę dotychczasowy przebieg wydarzeń - odpowiedział Jack, pomagając żonie włożyć kamizelkę przez głowę. - Wyglądasz pięknie nawet we fluorescencyjnym pomarańczowym kolorze.

- Ty kłamczuchu. Chodźmy.

10

Przynajmniej szkolenie ewakuacyjne poszło dobrze, pomyślał z ulgą Dudley, no, jeśli nie liczyć tego głupka, któremu najwyraźniej się zdawało, że dmuchanie w gwizdek przyczepiony do kamizelki ratunkowej to świetny żart. Loomis czekał w magazynie, by wręczyć Mikołajom ich kostiumy.

Przepisy bezpieczeństwa zawierały nową instrukcję: jeśli nie można dostać się do łodzi ratunkowej, trzeba jedną dłonią zasłonić usta, przytrzymać się ramienia w kamizelce drugą i, udając, że po prostu schodzi się ze statku, spaść do wody. To niedorzeczne. Schodzisz czy zeskakujesz, rezultat jest taki sam, rozmyślał Dudley, uderzasz w taflę wody w bardzo nieprzyjemny sposób. Takie gadanie może tylko wystraszyć ludzi - jego na przykład przerażało. Mógł sobie wyobrazić, jak stoi przy relingu tonącego statku i próbuje sobie wmówić, że idzie na spacer.

Kierownik się wzdrygnął. Miał wystarczająco dużo problemów, nie musiał martwić się na zapas. Jeśli cokolwiek jeszcze pójdzie nie tak, sam wyskoczy za burtę. Nie mógł uwierzyć, że komandor był na niego taki wściekły dziś po południu. Czy to wina jego, Dudleya, że tamten kelner nie płacił alimentów? Nie. Czy to jego wina, że odpadł uchwyt ze ścianki wspinaczkowej? Nie. Komandor powinien być szczęśliwy, że wyszedłem z tego jedynie z kilkoma siniakami na pośladkach, uznał Loomis. Przydałaby mi się porządna kąpiel w wannie, pomyślał, ale oczywiście w mojej łazience nie ma wanny. Powinienem się cieszyć, że jest umywalka.

Jednak to ja zatrudniłem tego kelnera, przyznał się przed sobą. No i ta sprawa z pokojami to był też jego błąd. Dostał list od pielęgniarki pana Cartera, do którego załączyła wykaz tegorocznych dotacji na cele charytatywne swego pracodawcy. Pisała, że ostatnim życzeniem pacjenta jest ten rejs wśród ludzi równie ofiarnych jak on sam. Dudley nie mógł przecież odmówić. Żałował tylko, że nie zanotował sobie, kiedy podawał jego nazwisko pracownikom odpowiedzialnym za rezerwacje. Może i pomylił się w obliczeniach, ale to ich wina, że umieścili cztery osoby w jednym pokoju.

- Można?

Przyszedł pierwszy Mikołaj. - Jestem Ted Cannon. To jeden z tych małomównych i spokojnych typów, pomyślał Dudley. Nie wygląda na wesołka. Nie wyobrażam go sobie, jak woła: „Ho! Ho! Ho!”.

- Wspaniale, że jesteś, Ted - przywitał go swoim najbardziej entuzjastycznym tonem. Mikołajowie zostali uprzedzeni, że jednym z warunków zaproszenia jest ich obecność na powitalnej i pożegnalnej kolacji w kostiumach. Dudley zachodził w głowę, w jaki sposób powiedzieć im o najnowszym pomysle komandora - Weed uznał, że wspaniale byłoby, gdyby nosili swoje przebrania tak często, jak to możliwe. Komandor chciał, aby jego goście delektowali się świąteczną atmosferą, i nie zdawał sobie sprawy, że dziesięciu Mikołajów kręcących się bez przerwy po statku raczej doprowadzi uczestników rejsu do utraty zdrowia psychicznego.

Po dwóch minutach w magazynie tłoczyła się już cała dziesiątka. Przez te dwie minuty Dudley ułożył przemówienie. Nie można dać im odczuć, że wyświadczają nam przysługę, powtarzał sobie w myślach.

Poczuł ulgę, zobaczywszy uśmiechy na twarzach mężczyzn, kiedy mówił, jak dumny jest komandor, mając ich wszystkich na pokładzie.

- Pan Weed pragnie podkreślić wasz udział w tworzeniu świątecznej atmosfery - ciągnął Dudley, myśląc, ilu z tych ludzi obiecało dzieciom prezenty, których nie dostały. - Zdaje sobie sprawę, jak wiele radości sprawiliście dzieciom, chodząc w kostiumach Mikołajów. Ile miłości roztaczaliście dookoła. I ma nadzieję, że będziecie roztaczać tę miłość również podczas naszego rejsu, nosząc mikołajowe stroje możliwie jak najczęściej. - Wskazał wieszak. - Tak często, jak to tylko możliwe - powtórzył głośniej. - Rano, w południe i wieczorem.

Uśmiechy pogasły.

Bobby Grimes, pękaty facet z Montany, wyglądający na najbardziej jowialnego z całej dziesiątki, powiedział:

- Myślałem, że to ma być darmowa podróż, podziękowanie za pracę, którą już wykonaliśmy. Też mi podziękowanie. Kiedy pracuję jako Święty Mikołaj, dostaję za to pieniądze. To złodziejstwo. Pogwałcenie umowy.

W każdej grupie jest jakiś „Pan Kłopotliwy”, nasz właśnie się

ujawnił, pomyślał Dudley. Jeszcze zadzwoni do któregoś z tych adwokatów, co się reklamują w telewizji: „Upadłeś? A może prawie upadłeś? Poniosłeś straty moralne z powodu czyjogoś złego spojrzenia? Będziemy cię reprezentować w sądzie. Zasługujesz na odszkodowanie”.

Część zebranych kiwała głowami, zgadzając się z Grimesem.

- Noszę ten kostium od Wszystkich Świętych - narzekał jeden z nich. - Mam tego serdecznie dosyć. Chciałem się powyrzewać na pokładzie w szortach, a nie spędzać całe dnie, drapiąc się i pocąc w jakimś niewygodnym przebraniu. .

- Żaden dobry uczynek nie ujdzie bezkarnie - włączył się kolejny. - Nie dostałem ani grosza za potykanie się pod ciężarem wora z zabawkami. Zgłosiłem się jako wolontariusz.

Tedowi Cannonowi żal było Dudleya, ale noszenie kostiumu każdego dnia do kolacji to ostatnia rzecz, o jakiej marzył. Od śmierci Joan każdy z występów w stroju Mikołaja boleśnie przypominał mu o stracie żony. Zawsze towarzyszyła mu podczas wizyt w szpitalach i domach opieki. Później szli razem na kolację. Joan zawsze nalegała ze śmiechem, że ona zapłaci, wspominał. Mikołaj zasługuje na porządny posiłek, po tym jak już przecisnie się przez te wszystkie kominy, mówiła.

- Zgadzam się z Bobbym - przyłączył się Nick Tracy z Georgii. - Włożę kostium dziś wieczorem i na ostatnią kolację. Ani razu Więcej.

Ted zauważył wyraz paniki na twarzy Dudleya i zdecydował się jednak mu pomóc.

- Dajcie spokój - uspokajał pozostałych. - Korzystamy z darmowej wycieczki. Jaki to problem włożyć kostium na godzinke albo dwie dziennie. To wersja letnia.

Loomis miał ochotę go pocałować.

- Ale spójrz na te brody - zwrócił uwagę Rudy Miller z Albany w stanie Nowy Jork. - Mamy w nich jeść? Czyżbyśmy byli na płynnej diecie?

- Możecie je zdejmować do posiłków - wtrącił Dudley - Tak naprawdę zależy nam na tym, żeby pasażerowie mogli sobie robić z wami zdjęcia.

Ted Cannon podszedł do wieszaka i zaczął sprawdzać rozmiary kostiumów.

- Wyglądają na dosyć duże - zauważył. - Ten chyba będzie pasował.

Zdjął jeden z kompletów, złożył i schował pod pachę, po czym wybrał brodę, czapkę oraz sandały z pudeł stojących pod wieszakiem.

- Lubię się przebierać za Mikołaja - wyznał Pete Nelson z Filadelfii. - Zawsze byłem trochę nieśmiały. W kostiumie łatwiej mi się rozmawia z ludźmi. Mój terapeuta mówi, że to trochę jak bycie aktorem. Wielu z nich to naprawdę bardzo nieśmiali ludzie, kiedy nie grają żadnej roli.

- Co za geniusz! - zadrwił Grimes. - Kogo obchodzi, czy aktorzy są nieśmiali? Większość z nich to przepłacane palanty.

- Jest mi szalenie przykro to słyszeć - odparł Nelson. - Chciałem się tylko podzielić wiedzą uzyskaną od terapeuty.

- Cóż, terapeuci to też przepłacane palanty! - Grimes nie dawał za wygraną.

- Nie sądzę, byś się nadawał na Mikołaja. - Nelson zmarszczył czoło.

- Masz rację. To mój ostatni sezon.

Może w przyszłym roku przebierze się za wujka Sknerusa, pomyślał Dudley. Fantastycznie się zaczęło. Po kiego czorta w ogóle wymyśliłem ten rejs? Przez niego pójdziemy z torbami. Zaczął rozdawać kostiumy. Rozdał trzy, a na wieszaku zostały już tylko cztery.

- Nic nie rozumiem - powiedział zdenerwowany. - Brakuje dwóch kompletów. Panie Grimes, jeśli nie uda mi się ich znaleźć, zostanie pan zwolniony z obowiązku niesienia radości podczas tego rejsu.

- Co takiego? - Tego Grimes się nie spodziewał. Prawdę mówiąc, uwielbiał się przebierać za Świętego Mikołaja.

Ted ocenił, że Grimes należy do kategorii osób, które narzekają zawsze, niezależnie od sytuacji.

- Chyba moglibyśmy się wymieniać kostiumami. Mam kabinę obok Pete'a. Nosimy mniej więcej ten sam rozmiar. Będziemy sobie pożyczać.

- Mój terapeuta byłby z ciebie dumny - uśmiechnął się Pete Nelson.

- Panie Grimes, jeśli pan chce, może pan wymieniać się kostiumem z Rudym. Lub, jeśli pan woli, proszę w ogóle go nie nosić zaproponował jadowicie Dudley.

- Nieważne. Ustalimy to z Rudym - powiedział z urazą Grimes.

Kiedy Mikołajowie wyszli z ośmioma kostiumami, Dudley przeszukał magazynek. Zniknęły nie tylko ubrania, ale również dodatki: sandały, brody i czapki. Po co ktoś miałby je ukraść i jak wytłumaczy komandorowi fakt, że na statku jest ośmiu Mikołajów?

Kto mógł mieć dostęp do tego schowka? Zawsze był zamknięty, więc ów ktoś musiał mieć klucz.

Dudley poważnie się zaniepokoił. Nie sprawdziłem tego kelnera, pomyślał. Tak naprawdę nie sprawdziłem niczyich referencji. Powszechnie wiadomo, że referencje wydają ludzie, których proszą o tę przysługę bezrobotni znajomi i że większość życiorysów to stek kłamstw.

Ktoś na statku nie był godny zaufania. Coś knuł. Dudley nie wiedział, czy to któryś z pasażerów czy członków załogi. Wiedział jedno: jeśli wydarzy się coś złego, to będzie jego wina. Nagle zejście ze statku prosto do wody przestało mu się wydawać takim złym pomysłem.

11

A boosman tylko zapiął płaszcz i zaklął: Ech, do czorta... śpiewał komandor, przeglądając się z uśmiechem w lustrze nad kanapą w swoim apartamencie. Jego nowy uniform, wspaniały granatowy frak z obszytymi złotą nicią epoletami pasującymi do złotych guzików, sprawiał dokładnie takie wrażenie, jakie komandor miał nadzieję uzyskać. Chciał, żeby goście postrzegali go zarówno jako dowódcę, jak i serdecznego gospodarza. Jednak miło byłoby zasięgnąć opinii kogoś jeszcze, zdecydował.

- Eric! - krzyknął.

Siostrzeniec zamknął się na klucz w swojej kabinie, co Randolph uznał za odrobinę niegrzeczne zachowanie. W końcu, rozumował, jest wielki salon między naszymi sypialniami, nie ma więc obawy, że będziemy sobie przeszkadzać. Przymknięcie drzwi to jedno, a zamknięcie się na klucz to co innego. Chyba Eric nie obawia się, że będę go nękał czy też wtargnę do jego pokoju bez pukania? Kiedy zapukałem kilka minut temu i nie dostałem odpowiedzi, chciałem tylko zajrzeć i sprawdzić, czy uciał sobie drzemkę. Zamierzałem mu po prostu przypomnieć, że już późno. Ale drzwi były zamknięte, a Eric zawołał rozdrażnionym głosem, że właśnie bierze prysznic i o co chodzi.

Może powinien był się zdrzemnąć, pomyślał komandor. Wyglądał dziś na potwornie zmęczonego i rozdrażnionego. Cóż, z pewnością podziela moją troskę, by od tej pory nasza wycieczka przebiegała pomyślnie, mimo tych kilku potknięć na początku...

Ktoś zapukał do drzwi. To zapewne Winston z tacą tych wykwintnych przystawek. Komandor zdecydowanie wolał delektować się nimi tutaj, w swoim apartamencie, z kieliszkiem szampa, niż połykać je w pośpiechu między uściskami rąk i pozowaniem do zdjęć z pasażerami. Nie ma nic gorszego od okrucichów na brodzie albo plamy z musztardy na policzku, kiedy pozuje się do fotografii. Ludzie powinni bez skrupułów wskazywać kompromitujące pozostałości jedzenia na czyjejs twarży, niezależnie od pozycji społecznej umorusanego nieszczęśnika, pomyślał.

- Wejdz, Winston - zawołał.

Lokaj zaprezentował swoje wielkie wejście. Nad głową trzy-

mał tacę z otwartą butelką szampana, dwoma kieliszkami i dwoma talerzami przystawek. Na jego twarzy igrał lekki uśmieszek świadczący o dumie i samozadowoleniu. Postawił tacę na stoliku do kawy i ceremonialnie nalał szampana do kieliszka komandora.

Weed zlustrował wzrokiem zawartość talerzy - maleńkie ziemniaczki faszerowane kawiozem, wędzony łosoś, pieczone grzyby w cieście i sushi z sosem. Zachmurzył się.

- Jest pan niezadowolony? - zaniepokoił się Winston.

- Nie ma kiełbasek w cieście?

Na twarzy Winstona odmalował się wyraz przerażenia.

- Ależ, panie komandorze – zaprotestował.

Randolph poklepał go po plecach i roześmiał się serdecznie, siadając na kanapie.

- Żartowałem, Winston. Wiem, że prędzej padłbyś trupem, niż podaś takie proletariackie jedzenie. Ale smaczne.

Lokaj nie odpowiedział, aczkolwiek cała jego postawa wyrażała protest. Identyczny zestaw przystawek trafił do kajut gości; niestety, zdaniem Winstona, większość pasażerów nie umiała docenić tego jedzenia. Pewnie woleliby popcorn, myślał. Postawił jeden talerz na stoliku i zabrał tacę. Ruszył przez salon w stronę sypialni Erica, której drzwi właśnie się otworzyły. Zamykając je za sobą, siostrzeniec posłał komandorowi oślepiający uśmiech i usiadł obok niego na kanapie.

- Wujku, mam nadzieję, że nie byłem nieprzyjemny, kiedy zawołałeś mnie kilka minut temu - roześmiał się nieszczerze. - Prawda jest taka, że uderzyłem się w palec pod prysznicem. Mamrotałem właśnie coś, czego nie powtórzę, i wtedy usłyszałem twój głos.

- Wszystko jest w najlepszym porządku, mój chłopcze - zapewnił komandor, zjadając grzybka w cieście.

- Przeszło mi przez myśl, że chyba jesteś rozdrażniony, ale słuczony paluch potrafi wyprowadzić człowieka z równowagi. - Zmarszczył lekko czoło. - Nie jesteś jeszcze gotowy. Zdasz?

Winston postawił przed Erikiem talerz z przystawkami. Pewnie wolałby jeszcze trochę swoich chipsów ziemniaczanych, pomyślał z pogardą. Muszę dokładnie sprawdzić jego pokój, kiedy będę ścielił łóżko. Jeszcze tego brakowało, żeby zaśmiecił gościnną sypialnię komandora zakamuflowanymi odpadkami po jakichś spożywczych śmieciach. Interesujące, zauważył w myślach, Eric wyszedł spod prysznica i włożył z powrotem to samo

ubranie.

- Panie Manchester - powiedział. - Czy jest jakiś problem z pańskim garniturem wieczorowym? Może trzeba go wyprasować? Chętnie to dla pana zrobię.

- Nie - odparł Eric z widocznym zniecierpliwieniem. - Jeszcze nie brałem prysznica.

- Ale mówiłeś, że uderzyłeś się w palec pod prysznicem - przypomniał komandor.

- Miałem zamiar wziąć prysznic, kiedy się uderzyłem - uściślił szybko Eric. - Wiedziałem, że czekasz na mnie z lampką szampana. Nie chciałem cię przetrzymywać.

- Bardzo dobrze - zwrócił się Randolph do Winstona. - To by było na tyle, mój dobry człowieku.

Winston skłonił się i wycelował palcem w komandora.

- Jestem na pana każde skinienie.

Weed uśmiechał się szeroko, patrząc w stronę oddalającej się sylwetki lokaja. Opróżnił swój kieliszek i wstał.

- Muszę lecieć - oznajmił. - Spróbuj się pospieszyć, młodzieńcze. Liczę na ciebie w kwestii czarowania gości. - Mrugnął. Zwłaszcza pań.

Uwagi Erica nie uszła nuta wymówki w głosie wuja. Wiedział, że powinien już być gotowy i wyjść do gości. Nie uszło jego uwagi również spojrzenie, którym zlustrował go Winston: pełne wścibskiej ciekawości.

- Będę za dziesięć minut, wujku - obiecał.

Wstał i ruszył w kierunku swojego pokoju. Jak tylko Randolph zamknął za sobą drzwi, przerzucił resztki z jego talerza na swój.

Dziesiątka narzekał na głód, może to go na jakiś czas zapcha, pomyślał Eric z rosnącą rozpaczą. Mogli sobie siedzieć bezpiecznie w kabinie podczas szkolenia, ale teraz koniecznie musiał ich gdzieś przenieść, przynajmniej dopóki Winston nie zaścieli łóżka i nie zmieni ręczników. Co za idiota ze mnie, że wymyśliłem tę historyjkę ze stłuczeniem palca pod prysznicem, wyrzucał sobie. Winston oczywiście zauważył, że jestem zdenerwowany. Na pewno będzie myszkował w mojej sypialni, a nie mogę zostawić Tony'ego i Barrona w łazience. Lokaj zorientuje się, że drzwi są zamknięte na klucz, i natychmiast zawoła naszą złotą rączkę.

Podobne myśli prześladowały Erica, kiedy w swojej kajucie spojrzął we wściekłe, zimne oczy zbiegłych więźniów. Obaj

wciąż mieli na sobie kostiumy, ale już bez bród i czapek. Siedzieli obok siebie na łóżku.

Eric podał Dziesiątce talerz.

- Jeśli chodzi o jedzenie, to wszystko, co mogę na razie zaproponować. Muszę was natychmiast stąd zabrać. - Jego ton był czymś pośrednim pomiędzy rozkazem a błaganiem o wyrozumiałość.

Obaj przestępcy tylko się w niego wpatrywali.

- Mam dla was bezpieczną kryjówkę - wyjąkał Eric. - Na tym pokładzie jest kaplica. Nikogo w niej teraz nie będzie. Po kolacji przemycę was z powrotem, nim wróci wuj.

- To ma być kolacja dla nas? - spytał Dziesiątka, sięgając po kawałek sushi.

- Nie, nie. Przyniosę wam więcej jedzenia. Obiecuję. Proszę, musimy iść. Winston ma telewizor w swojej kabinie. O ile go znam, wypija teraz resztki szampana i ogląda „Grę w ciemno”, ale zwykle o tej porze dnia w domu wuja. Ma fioła na punkcie teleturniejów. Prawie się do jednego dostał. Wypełnił jakiś test. Chodźcie!

- Twoja cena za wydostanie nas z kraju właśnie poszła w dół irytował się Highbridge. - Nie zobaczysz ani dolara więcej od żadnego z nas.

- A jeśli nie dotrzemy bezpiecznie na Fishbowl... Moi ludzie już dostali rozkaz, żeby cię sprzątnąć. - Dziesiątka był granitowo opanowany. Takim tonem równie dobrze mógłby mówić: „Podaj sól”.

Eric otworzył usta, gotów zaprotestować, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa. Czemu posłuchałem Bingo Mullensa? - wyrzucał sobie. W gardle mu zaschło, spocily się dłonie. Kumpel powiedział, że zna łatwy sposób na zarobienie dużych pieniędzy. Co on takiego dokładnie mówił? „Twój wujek ma statek. Ufa ci. Dodałem dwa do dwóch”.

Bingo został aresztowany w zeszłym roku za nielegalny hazard. Zanim wyszedł za kaucją poznał w celi Dziesiątkę. Miesiąc temu skontaktował się z nim i przedstawił niezawodny sposób wydostania się z kraju przed rozpoczęciem procesu. Pinto zgodził się na wszystko, łącznie z zaplaceniem miliona dolarów. Kuzyn Mullensa pracował dla Highbridge'a w Connecticut. Tak doszło do spotkania tej dwójki z Manchesterem. Teraz siedzieli w jego

pokoju i o ile Eric nie zdoła utrzymać zbiegów w ukryciu, wszyscy trafią za kratki. A to i tak wersja optymistyczna dla mnie, rozmyślał z sercem wściekle tłukącym się w klatce piersiowej. Trzeba ich gdzieś przechować jeszcze przez następne trzydzieści trzy godziny.

Zebrał całą swoją odwagę, wiedząc, że od tego zależy jego życie. - Załóżcie czapki i brody - rozkazał stanowczo.

- Chodźmy! Wyjrzał na korytarz. Droga wolna: Dał znak przestępcom, aby poszli za nim. Ostatnie polecenia wyszeptał z nerwowym drżeniem, które sprawiło, że jego głos zabrzmiał jak pisk.

- Pamiętajcie, jeśli ktoś was zobaczy, nie będzie zaskoczony. Ludzie spodziewają się widoku Mikołajów na statku. Nie próbujcie uciekać.

Highbridge zaklął pod nosem.

Zmienił się, pomyślał Eric. W jego głosie było teraz coś złowieszczonego i okrutnego. To spostrzeżenie potwierdziło się natychmiast, kiedy Barron powiedział:

- Jeśli ludzie Tony'ego zawałą robotę, dorwą cię moi. Możesz być tego pewien.

Dotarli do kaplicy w niecałą minutę, która jednak wlokła się jak godzina. Eric otworzył ciężkie drewniane drzwi, zapalił światło i rozejrzał się po wnętrzu będącym dumą i radością komandora. Łukowaty sufit rozjaśniały witraże w oknach. Posadzka była wyłożona dywanem ciągnącym się do podwyższenia. Z dwóch stron stały rzędy ławek. Ołtarz, długi stół pokryty aksamitnym obrusem dotykającym podłogi, stanowił najbardziej wyeksponowany punkt pomieszczenia. Z boku znajdowały się organy.

- Włączcie - rzucił Eric i zamknął za sobą drzwi. - Usiądźcie na podłodze pod ołtarzem. Jeśli drzwi się otworzą, wejdźcie pod obrus. Wróćcie najszybciej, jak się da, po kolacji.

- Tylko przynieś żarcie - zażądał Tony, zrywając brodę. - Przyniosę, przyniosę. - Starając się nie rzucić biegiem do ucieczki, Eric wyłączył światło, wyszedł z kaplicy i ruszył powoli na-

przód korytarzem.

Meehanowie czekali na winę.

- O, cieszę się, że cię widzę, Ericu - powitał go Willy. - Elwira znalazła talię kart w szufladzie nocnego stolika. Zastanawiamy się, czy nie są twoje.

- Nie, nie są - odpowiedział niegrzecznie. I natychmiast, próbując załagodzić złe wrażenie, rozciągnął usta w uśmiechu. - Od dziecka jestem raczej typem sportowca. Nigdy nie byłem w stanie usiedzieć na miejscu dość długo, by skończyć partię.

- Wobec tego zobaczę, czy uda mi się zebrać na statku innych partnerów do gry - powiedział Willy.

Pięć minut później, pod prysznicem Erica uderzyła jak grom z jasnego nieba pewna myśl. W jego łóżku spał Dziesiątka. Czy przypadkiem talia kart nie należała do niego? A jeśli tak, to czy Tony nie zażąda jej zwrotu?

12

Przed kolacją serwowano koktajle w sali przylegającej do jadalni. Przy wejściu czekał już fotograf z gotowym aparatem i dużą planszą przedstawiającą barierkę statku na tle rozgwieżdżonego nieba. Już za chwilę, o dwudziestej, komandor zacznie pozować do zdjęć z gośćmi udającymi się na posiłek.

Ściany pomieszczenia zdobiły oprawione fotografie i artykuły z gazet, wszystkie były świadectwem osiągnięć filantropijnych osób uhonorowanych zaproszeniem na rejs. Pewna kobieta, Eldona Dietz, została wybrana na podstawie listu, w którym opisała każdy najmniejszy szczegół z życia swoich córeczek w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Wygrała nim główną nagrodę w jednym z kobiecych czasopism. Oprawiona i powiększona kopia listu wisiała na widocznym miejscu na ścianie. Gdyby jednak ktoś jej nie zauważył, mniejsze kopie leżały na każdym stoliku.

Komandor powiedział coś cicho do wzburzonego Dudleya, a odpowiedź wyraźnie mu się nie spodobała.

- Jest tylko ośmiu Mikołajów, ponieważ zaginęły pozostałe dwa kostiumy, panie komandorze. - Kierownik miał zamiar poczekać z tą informacją na odpowiedni moment, ale jego szef zdążył już niestety policzyć brodate postaci uwijające się po sali z rubasznym: „Ho! Ho! Ho!” i polecił Dudleyowi, aby przekazał pozostałej dwójce, by się pospieszyła.

- Jak może brakować dwóch kostiumów? - zdenerwował się Weed. - Przecież drzwi do magazynku były zamknięte, prawda?

- Tak, panie komandorze.

- Czy zamek został wyłamany?

- Nie, panie komandorze.

- A więc albo jestem idiotą, albo ktoś, kto ma klucz, musiał wejść do schowka i zabrać kostiumy.

- Na to wygląda, panie komandorze.

Randolph z wyraźnym wysiłkiem powstrzymywał wybuch wściekłości; jego oczy rzucały gniewne iskry.

- Jestem głęboko rozczarowany, Dudley. Ktoś próbuje zepsuć nasz wspaniały rejs. Krew się we mnie gotuje. Powinieneś być to

zgłosić Ericowi, jeśli nie mogłeś znaleźć mnie.

- Panie komandorze, kiedy odkryłem, że brakuje tych kostiumów, pan już się szykował do kolacji, a Erica nie widziałem od szkolenia.

- Był w moim apartamencie, powinien już przyjść. Nie wiem, co go zatrzymuje. Ani słowa nikomu o tej sytuacji! Nie chcę, żeby goście się dowiedzieli, iż jest między nami złodziej. Wystarczy, że widzieli, jak jeden z naszych kelnerów uciekał przed policją. Skąd wytrzasnąłeś pracowników? Z kolonii karnej?

- Tak, panie komandorze, nie będę o tym mówił przy gościach, i nie, panie komandorze, nie wzięłem pracowników z kolonii karnej...

Naprzeciwno, po drugiej stronie sali, siedziała czwórka Reillych. Regan obserwowała rozgrywkę między komandorem a Dudleyem.

- Mam wrażenie, że pan Weed daje naszemu kierownikowi reprimendę - oświadczyła.

- To ten facet, który spadł ze ścianki, prawda? - upewnił się Luke.

- Tak, i podobno jest też odpowiedzialny za zatrudnienie tamtego kelnera, który wyskoczył za burtę.

- Jak zdołałaś się już tego dowiedzieć? - spytał Jack.

- Kiedy czekaliśmy w jadalni, aż zacznie się szkolenie, ty i tata debatowaliście nad tym, kto stanie do następnych wyborów prezydenckich, a ja podsłuchałam rozmowę dwóch młodych marynarzy o facecie za burtą...

- A ja myślałam, że spijasz każde słowo z mych ust - wtrącił Jack. Regan go zignorowała.

- Ci marynarze mówili, że kompletowanie załogi to była farsa. Dudley nie ma w tym żadnego doświadczenia. To zresztą nie należy do obowiązków kierownika rejsu. Podobno musiał się tym zająć, bo siostrzeniec komandora, Eric, facet, w którego pokój wylądowali Elwira z Willym, miał to zrobić, ale się nie wywiązał. Dudley był zajęty układaniem listy gości, a w ostatniej chwili został zmuszony do zatrudnienia pracowników.

Jack podniósł leżącą na stoliku kopię listu.

- Autorka tej epistoły musi być niezwykle interesującą osobą.

„Obserwowanie przez ostatnie dwanaście miesięcy, jak Fredericka i Gwendolyn rozkwitają na naszych oczach, przemieniając się w urocze młode damy, to niezwykle doznanie. Lekcje gry

na skrzypcach, gimnastyki, śpiewu, tańca, ornitologii, dobrych manier, pieczenia beztuszcowych ciast...”. I tak dalej, i tak dalej. „Wszystkie te zajęcia nie przeszkodziły im w dbaniu o innych. Mamy wśród sąsiadów wielu starszych ludzi. Nasze dziewczynki dzwonią do ich drzwi każdego ranka, aby się upewnić, że przetrwali noc... .”

- Dzięki Bogu, nie mieszkają w naszej dzielnicy - wycedził Luke. - Powiedzcie, że owych ideałów nie ma na tym statku.

- Nie patrz teraz! - mruknęła Regan. Dwie dziewczynki przebiegły koło ich stolika.

- Fredericka! Gwendolyn! - wołała podążająca za nimi kobieta o matczynym wyglądzie. - Oddajcie mamusi i tatusiowi kieliszki do szampana!

Jack odłożył list.

- Regan, obiecaj, że my nigdy nie napiszemy niczego podobnego.

- Załatwione - zgodziła się jego żona.

Nora wpatrywała się w plakat Louiego wiszący najbliżej ich stolika.

- To był czarujący człowiek.

- Kto? - spytał Luke.

- Louie Lewy Sierpowy - wyjaśniła, wskazując na fotografię. - Był bokserem, a potem został słynnym autorem kryminałów. Miałam kiedyś razem z nim spotkanie autorskie, ja byłam debiutantką, on dobrze już znanym pisarzem. Do niego czekała kilkumetrowa kolejka, przy moim stoliku stało tylko kilka osób. Wstał ze swojego miejsca i powiedział ludziom, że czytał moją książkę, że jest świetna i każdy, kto jej jeszcze nie kupił, powinien to natychmiast zrobić. - Nora się roześmiała. - Sprzedałam sto egzemplarzy.

Regan i Jack przyglądali się uważnie plakatowi. Oboje myśleli o tym samym: Louie Lewy Sierpowy był uderzająco podobny do Tony'ego Pinto, którego zdjęcie niedawno widzieli w Internecie.

- Nie wiesz, czy miał jakieś dzieci? - spytał Jack teściową.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekła. Zerknęła w stronę drzwi. - O, świetnie, są już Elwira i Willy Meehanowie.

Willy we fraku podobnie jak wszyscy inni mężczyźni, a jego żona w jedwabnym białym żakiecie i długiej czarnej spódnicy - zbliżali się do stolika.

- Przepraszam! - powiedziała Elwira. - Ale tym razem wyjątkowo to nie moja wina, że się spóźniliśmy. Willy zaczął stawiać pasjansa i był przekonany, że mu się uda. Kiedy się zorientował, że to beznadziejne, odkrył, iż zostało mu tylko kilka minut na przygotowanie się do kolacji. Dobrze mówię, Willy?

- Jak zwykle, kochanie - odparł pogodnie jej mąż. - Elwira znalazła karty w szufladzie nocnego stolika i zacząłem się nimi bawić. Nie są nowe, więc pomyśleliśmy, że należą do siostrzeńca komandora. Zapytaliśmy go o to, kiedy wpadliśmy na niego przy windzie. Nie znosi kart.

Komandor zaczął stukać palcem w mikrofon i dmuchnął do niego.

- Uwaga! Uwaga! Pora na wręczenie naszych specjalnych medali tym wszystkim, którzy tak wspaniałomyślnie poświęcali się dla innych w mijającym roku. Najpierw chciałbym poprosić członków Klubu Czytelników i Pisarzy. To zaszczyt dla mnie móc przebywać w ich obecności...

Dziesiątki rąk uniosło się do góry, machając pustymi kieliszkami, co było znakiem dla kelnerów, iż czas na dolewkę. Komandor dopiero się rozgrzewał, najwyraźniej wszyscy to zrozumieli. Jeden po drugim zawieszał medale na szyjach członków klubu. Potem nadeszła kolej na wszystkich tych, którzy przekazali datki na organizacje charytatywne, w tym Elwirę. Wreszcie do odznaczenia podeszła Eldona Dietz, towarzyszyli jej mąż i córki. Dziewczynki, dziesięcio- i ośmiolatka, podskakiwały, nie kryjąc podniecenia.

- Jesteście dumne z mamusi? - spytał komandor.

- To my wszystko zrobiliśmy - pochwaliła się bez tchu Fredericka. - Mamusia lubi długo spać. Tatuś musi jej codziennie zanosić kawę do łóżka, bo ona inaczej nie może otworzyć oczu.

Eldona ścisnęła córkę za ramię i uśmiechnęła się do komandora. - Fredericka to nasza mała żartownisia. Prawda, kochanie? Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - wymamrotała.

Na końcu komandor poprosił do siebie dziesięciu Świętych Mikołajów, w tym dwóch ubranych po cywilnemu.

- Małe zamieszanie z kostiumami - wyjaśnił zebranym. - Ale cała ta wspaniała dziesiątka będzie spacerować po statku w przebraniach Mikołaja przez następne cztery dni.

- Boże, dopomóż nam! - westchnął pod nosem Luke.

Kiedy komandor zawieszał medal na szyi Bobby'ego Grimesa, ten, wyraźnie wstawiony, przechwycił mikrofon:

- Powiniennem mieć teraz na sobie kostium - poskarżył się bełkotliwie. - Ale na statku jest złodziej! Pilnujcie swoich rzeczy. Ktokolwiek połakomił się na nasze stroje, będzie mieć używanie z waszą biżuterią i gotówką!

13

Harry Crater zaplanował rozmowę telefoniczną ze swoimi ludźmi na dziewiętnastą, ale łącze satelitarne w jego telefonie komórkowym nie działało. Z rosnącą irytacją czekał godzinę w swojej kajucie, próbując się połączyć co dziesięć minut. O dwudziestej ktoś zapukał do jego drzwi. Był to Gil Gephardt, lekarz okrętowy, który poczuł się w obowiązku sprawdzić, czy u chorego pasażera wszystko w porządku.

Harry odrobinę zbyt późno zdał sobie sprawę, że bez za dużej marynarki wcale nie wygląda mizernie. Zgarbił się, patrząc z góry na drobnego, przywodzącego na myśl sowę, gościa.

- O, panie Crater... Spotkaliśmy się w przelocie, kiedy wchodził pan na statek. Jestem doktor Gephardt. Nie było pana na przyjęciu, więc pomyślałem, że poczuł się pan gorzej.

Pilnuj własnego nosa, warknął w duchu Crater.

- Zdrzemnąłem się dłużej, niż planowałem - wyjaśnił. - Byłem tak podekscytowany przygotowaniem do rejsu... Wyczerpało mnie to.

Gephardt przyglądał mu się z zachłanną uwagą, prawie nie mrugając oczami.

- Panie Crater, jako lekarz muszę powiedzieć, że wygląda pan znacznie lepiej. Ledwie kilka godzin zbawionego działania morskowego powietrza, a różnica jest zdumiewająca. W ogóle nie zajdzie potrzeba wzywania helikoptera, jestem o tym przekonany. A teraz, czy mogę zasugerować, aby zszedł pan na dół i posilił się nieco?

- Będę za kilka minut - obiecał Crater, walcząc z przemożną chęcią zatrzęsnięcia intruzowi drzwi przed nosem. Zamiast tego zamknął je delikatnie i podszedł do lustra. Szara maź, którą wysmarował twarz przed wejściem na statek, prawie się starła. Nałożył więcej, ale nie tyle, ile by chciał. Bał się przesadzić. Ten doktorek był bystrzejszy, niż na to wyglądał.

Przed wyjściem Harry spróbował jeszcze raz skontaktować się ze współtowarzyszami. Tym razem udało mu się połączyć. Potwierdził wcześniejszy plan. Jutro o pierwszej w nocy uda, że

potrzebuje natychmiastowej interwencji medycznej. Gephardt poprosi komandora o wezwanie helikoptera. Najrozsądniej, jeśli śmigłowiec przyleci przed świtem. O tej porze większość pasażerów śpi. To będzie jak zabranie dziecku cukierka.

Odłożył telefon i wyszedł z kajuty. Idąc szybko pustym korytarzem, pomyślał z ponurą satysfakcją, że za trzydzieści trzy godziny misja będzie wykonana, a pokaźna zapłata w drodze.

Zjechał windą na dolny pokład. Pamiętając, by kuleć i podpierać się laską, przemierzał pustą przestrzeń nieświadom poruszenia na przyjęciu, wywołanego przez pijacki wybuch pewnego sfrustrowanego Mikołaja.

Kiedy dokuśtykał do drzwi jadalni, szef sali pospieszył, by go powitać.

- Na pewno pan Crater - powiedział, biorąc go pod ramię. Mamy dla pana cudowny stół. Kierownik rejsu posadził pana z wyjątkową rodziną. Dwie nadzwyczajne dziewczynki nie mogą się wprost doczekać, aby zostać pana małymi pomocnicami podczas rejsu.

Crater, który z trudem znosił towarzystwo ludzi poniżej trzydziestki, przeraził się. Podchodząc do stolika, zobaczył, że jego miejsce znajduje się między krzesłami dwóch małych „aniołków”, które na ceremonii powitalnej uznał za boleśnie irytujące.

Usiadł, a Fredericka aż podskoczyła. - Mogę panu pomóc krocić mięso?

Bojąc się zostać w tyle, Gwendolyn zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kocham cię, wujku Harry.

O mój Boże, pomyślał przerażony, zetrze mi mazidło z twarzy!

Ivy Pickering zajęła swoje miejsce przy jednym ze stolików dla członków Klubu Czytelników i Pisarzy. Wciąż drżała z podniecenia, po tym jak usłyszała, że na statku jest złodziej. Uwielbiała kryminały, a znalezienie się w centrum sensacyjnych wydarzeń to prawdziwe zrzędzenie losu. Umierała z chęci opisanie wszystkiego mamie w e-mailu przed pójściem spać.

Rozpoczęła się żywa dyskusja na temat skradzionych kostiumów. Kelner miał problemy ze zwróceniem na siebie uwagi i przyjęciem zamówień.

- To na pewno nie ty wszystko ukartowałaś, Ivy? - zażartowała jej współlokatorka, Maggie Quirk. - Chciałaś zaaranżować zagadkę z morderstwem, ale to było zbyt skomplikowane. Poza tym nie jesteśmy u siebie. Jesteśmy tu gośćmi.

W orzechowych oczach Maggie błyskały figlarne ogniki. Nośła wygodny rozmiar dwunasty, miała krótkie falujące kasztanowe włosy, które miękko okalały jej sympatyczną twarz. Usta zawsze były skore do uśmiechu. Jej głos zyskał nieco znużone brzmienie, po tym jak rozpadło się jej „idealne” małżeństwo. Trzy lata temu, w dniu pięćdziesiątych urodzin Maggie, mąż sprawił jej wielką niespodziankę, mówiąc, że chce rozwodu, ponieważ oczekuje od życia czegoś więcej. Kiedy już minął szok, Maggie zdała sobie sprawę, iż był to najlepszy prezent urodzinowy, jaki kiedykolwiek dostała.

- Ten niedorajda zanudzał mnie przez ostatnich dziesięć lat mówiła ze śmiechem przyjaciółom. - A na koniec to on mnie zostawił.

Maggie, zastępca kierownika w banku, postanowiła sobie, że będzie czerpać z życia pełnymi garściami. Nie chciała stracić ani chwili więcej. Zapisła się do Klubu Czytelników i Pisarzy, a teraz była zachwycona rejsem.

- Maggie, nie potrzebujemy morderstwa, żeby zabawić się w detektywów - odparła Ivy. - Czy nie byłoby ciekawie spróbować ustalić, kto zabrał te kostiumy i dlaczego?

- Biedny kierownik rejsu wygląda na nieco zdezorientowanego. Prawdopodobnie od początku było tylko osiem kostiumów zauważył wiceprzewodniczący klubu, Tommy Lawton, zając wędzonego łosia.

Aj a wierzę, że te kostiumy ktoś ukradł, pomyślała Ivy, i dołoży wszelkich starań, by ustalić, co naprawdę się stało. To dobry pretekst, aby spędzić więcej czasu z Reillymi i Meehanami

Wszyscy zgodnie przyznali, że przystawki, które zamówili, były przepyszne.

- To jedzenie jest zaskakująco dobre - zauważyła Maggie, kiedy kelner zabierał talerze. - Smakuje jeszcze lepiej, gdy się pomyśli, że jest darmowe.

Podano sałatki.

Lawton wyglądał na zakłopotanego.

- Zapomnieliście je podać przed głównym daniem?

- Nie, proszę pana - prychnął kelner. - Tak się podaje w Paryżu.

- Nigdy tam nie byłem - wyznał pogodnie Lawton. - Może wybiorę się kiedyś, kiedy wygram na loterii.

Ivy pomyślała, że jeśli zje teraz sałatkę, nie zmieści potem deseru. Odsunęła krzesło i szepnęła figlarnie:

- Nie mówcie nic ciekawego, póki nie wrócę.

Wychodząc z jadalni, pomachała Mikołajom, których mijala po drodze. Z jednym z nich będzie dzieliła stolik jutro wieczorem. Nie mogła się już doczekać. Byłoby wspaniale, gdyby posadzono ją z Bobbym Grimesem, tym, który kazał wszystkim uważać na złodziei. Pod warunkiem oczywiście, że komandor go nie zdegraduje, odbierając prawo do noszenia kostiumu. Grimes dostał upomnienie za swój wybryk.

Po wyjściu z toalety Ivy postanowiła wybrać się na krótkie zwiedzanie kaplicy. Miło będzie opisać ją w e-mailu, który zamierzała wysłać do mamy jeszcze dziś wieczorem. Teraz w kaplicy nikogo nie ma, więc będzie mogła w spokoju się rozejrzeć.

- Ten głupi kostium mnie uwiera - narzekał Tony. - Muszę go ściągnąć albo oszaleję. Siedzieli po ciemku za ołtarzem, głodni i

wściekli. - To ściągał - burknął Highbridge.

Dziesiątka wstał, zdjął bluzę i spodnie, rzucił je na podłogę.

Ubrany jedynie w bokserki, zaczął rozprostowywać ramiona i podskakiwać. Dokładnie w tym samym momencie otworzyły się drzwi do kaplicy i rozbłysło światło.

Przez sekundę Dziesiątka i Ivy gapili się na siebie.

- Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaal - wrzasnęła w końcu Ivy

Zanim Tony zdołał się poruszyć, Ivy była już na zewnątrz. Gnała na złamanie karku po schodach z powrotem do jadalni, do reszty towarzystwa, wciąż krzycząc.

- Teraz się doigrałeś - powiedział Highbridge z paniką w oczach, zakładając z powrotem brodę i czapkę. - Ubieraj się. Musimy stąd wiać.

Tymczasem w jadalni rejsowicze przeżywali drugi wstrząs tego wieczoru. Na dźwięk dziwnych piskliwych odgłosów wydawanych przez wpadającą do sali Ivy zwróciły się ku niej wszystkie głowy.

- Widziałam ducha Louiego Lewego Sierpowego! – wydusiła z siebie od progu. - Jest w kaplicy, przygotowuje się do kolejnej walki! On płynie z nami na tym statku!

Nastąpiła chwila ciszy, po czym goście siedzący przy stolikach Klubu Czytelników i Pisarzy wybuchnęli śmiechem.

- Cała nasza Ivy! - zawołał ktoś. Rozbawienie udzieliło się pozostałym. - Mówię poważnie - zaprotestowała Ivy. - Jest w kaplicy. Chodźcie zobaczyć!

Wszyscy obecni w jadalni nie przestawali chichotać. Z jednym wyjątkiem. Eric poderwał się z krzesła i zwrócił do komandora:

- Sprawdzę to!

Weed złapał siostrzeńca za rękaw i pociągnął z powrotem na krzesło. - Nie wygłupiaj się. Ta kobieta to wariatka. Jedz deser.

15

Dziesiątka i Highbridge wybiegli z kaplicy w kierunku najbliższych schodków w dół. Dzwoneczki przymocowane do czapek brzęczały, kiedy zbiegli na niższy poziom, ledwo dotykając stopni. Dwa piętra niżej trafili na drzwi prowadzące na zewnątrz. Otworzyli je i znaleźli się na wielkim wyludnionym pokładzie zastawionym leżakami plażowymi. Od razu było jasne, że tu się nie ukryją. Pognali w kierunku rufy, wbiegli po metalowych schodkach i trafili na pokład z basenem. Na jego końcu znajdował się bar. Po przeciwległej stronie zobaczyli szklaną ścianę kawiarni-restauracji o nazwie „Lido”. Kilku kelnerów nosiło talerze i ustawiało je na długim stole.

- To chyba nocny bufet - szepnęła Highbridge. - Ludzie jedzą na okrągło na takich rejsach.

- Tylko nie my - chrząknął Dziesiątka. - Chodźmy coś przekąsić.

- Chyba żartujesz - zaprotestował Highbridge.

- Pusty żołądek to nie temat do żartów. Po prostu zachowaj spokój. Wyglądaj na głodnego. Za mną. Minęli basen, przeszli przez oszklone drzwi i podeszli do stołu.

Na środku stała nieco ociekająca wodą dekoracja: lodowa rzeźba przedstawiała Marlona Brando w marynarskim mundurze.

- Przykro mi, nocny bufet otwieramy dopiero o dwudziestej trzeciej. - Zatrzymał się przy nich kelner zmierzający w kierunku kuchni.

- Tak... Właśnie wracamy z bieguna północnego, spóźnił się na kolację na dole - wyjaśnił Dziesiątka. Starł się nadać głosowi jowialne brzmienie. Odpowiedź zabrzmiała fałszywie nawet w jego własnych uszach, roześmiał się więc, aby to zatuszować. Śmiech też nie wyszedł zbyt przekonująco.

- Złapiemy tylko małe co nieco dla nas i reniferów - dodał Highbridge. - Rudolf staje się drażliwy, kiedy jest głodny.

Kelner wzruszył ramionami.

- Nie ma jeszcze dań na ciepło. Mam nadzieję, że Rudolf lubi sery.

Dziesiątka skinął głową i szepnął pod nosem:

- Koniec pogawędki. Później się tu zakradniemy. Łapmy teraz, co mają, i zabierajmy się stąd szybko.

16

- Czy nikt mi nie wierzy? - wrzeszczała Ivy.
- Nikt - odkrzyknęli jednym głosem członkowie klubu. Trzy pary przy stoliku Reilly-Meehan wymieniły zmartwione spojrzenia.
- Byłam na wielu inscenizacjach zagadek kryminalnych - powiedziała Nora. - Ale nigdy nie widziałam nikogo tak przekonującego jak ta kobieta. Nie sądzę, żeby udawała.
- Zdecydowanie wierzy, że naprawdę coś widziała - zgodziła się Regan.

Dudley siedział niedaleko. Poderwał się z miejsca i podbiegł do Ivy. - Panno Pickering, wiem, że próbuje pani wprowadzić element zabawy, ale...

Nie zwracając na niego uwagi, Ivy ruszyła do stolika Elwiry. - Oni wszyscy myślą, że żartuję, ale to nieprawda. Widziałam w kaplicy Louiego Lewego Sierpowego w bokserkach w kratkę. Rozgrzewał się przed walką. O tak... - Zaczęła podskakiwać i rozciągać ramiona.

Elwira uniosła się z krzesła, posyłając melancholijne spojrzenie nietkniętemu creme brulee. - Chodźmy tam rzucić okiem - powiedziała.

- Wszyscy pójdziemy z panią, panną Pickering - zaproponował z przekonaniem Jack.

- Dziękuję. Proszę do mnie mówić Ivy.

Nie czekając na windę, ruszyli schodkami na górny pokład.

Nora pokrzepiająco wzięła Ivy pod rękę, kiedy zbliżali się do kaplicy. Ona drży, zauważyła. Jest naprawdę przerażona.

- Chciałam zobaczyć kaplicę, bo mam zamiar napisać e-mail do mamy... Nie obchodzi mnie, co inni sądzą na temat sałatek, ja ich nie cierpię. Poza tym nie podali ich na czas. Pomyślałam sobie, że obejrzę kaplicę, podczas gdy reszta będzie chrupała karmę dla królików. Może zmówię modlitwę w intencji mamy. Ma już osiemdziesiąt pięć lat, ale wciąż jest w świetnej formie. Umysł ostry jak brzytwa. Niedawno zapisała się na lekcje jogi. Bardzo jej służą. Codziennie chodzi do kościoła. Byłaby bardzo zainteresowana tutejszą kaplicą

- To bardzo ważne dla komandora miejsce - powiedział szybko Dudley. Miał cichą nadzieję, że może ktoś zdecyduje się na ślub w trakcie rejsu. Kaplica nadaje się na każdą szczególną okazję...

Jack otworzył rzeźbione drewniane drzwi. Wnętrze było pograżone w ciemnościach, jeśli nie liczyć słabej poświaty wpadającej przez witrażowe okna.

- Ivy, czy kiedy tu weszłaś, światło było zapalone?

- Nie, zauważyłam kontakt zaraz po otwarciu drzwi. Jest fluorescencyjny. Przekreśliłam go... och. Ale nie wyłączyłam światła, zanim wybiegłam! - dodała z przekonaniem.

- Zamierzamy zachęcać gości, aby wyłączali światło. To takie marnotrawstwo zostawiać je zapalone w pokoju, kiedy się idzie na kolację. Komandor bardzo się martwi globalnym ociepleniem - wyjaśniał Dudley, póki nie zorientował się, że nikt go nie słucha.

Jack sięgnął do włącznika i zapalił światło. Rozbłysła górna żarówka i lampki rozmieszczone po bokach pomieszczenia. Ivy wskazała miejsce obok ołtarza.

- To tam podskakiwał i rozciągał się Louie Lewy Sierpowy! Wiem, to brzmi głupio, ale on tu był. A przynajmniej jego duch.

- Ivy, czy on coś do ciebie powiedział? - spytała Elwira. - Je-

stem pewna, że nie chciałby cię tak przerazić. Przecież zaprosiliście go jako gościa honorowego.

- Nic nie powiedział. Tylko na mnie patrzył. Paczki ze specjalnym wydaniem jego pierwszej książki, „Cios Plantera”, nie dotarły na statek. Może to go rozzłościło.

- „Cios Plantera”? - powtórzyła Regan.

- Tak Louie Lewy Sierpowy nazwał swojego bohatera, byłego boksera i detektywa. Pug Planter. Ta pierwsza powieść stała się wielkim sukcesem wydawniczym. Ale, jak powiedziałam, specjalna edycja, którą mieliśmy sprzedawać podczas rejsu, nie dotarła na statek.

Nora wywróciła oczami.

- Wiem wszystko na temat książek niedostarczanych na czas.

- Książki może się nie pojawiły, ale za to Louie z pewnością tak! - upierała się Ivy. - Jestem przekonana: to musiał być jego duch. Tylko sądziłam, że duchy są przezroczyste. Aten nie dość, że nie był, to jeszcze robił sporo hałasu tym skakaniem.

- Mówisz, że widziałas go obok ołtarza? - spytał Jack, idąc w tamtym kierunku.

- Tak. Stał dokładnie tutaj - wskazała Ivy, podążając za nim. Regan zwróciła uwagę na ciężką tkaninę przykrywającą ołtarz. Była przekrzywiona. Podniosła jeden róg i zajrzała. Nic nie znalazła.

Elwira również zerknęła pod stół i zgodnie ze starym nawykiem z czasów, kiedy zarabiała na życie sprzątaniem, wygładziła materiał.

- Wiem, co sobie myślicie - powiedziała Ivy - Że sobie to wszystko wymyśliłam. Ale mówię wam: widziałam mężczyznę w bokserkach. Albo to był Louie Lewy Sierpowy, albo jego brat bliźniak.

- Ivy, czy ktoś z twojego klubu wiedział, że się wybierasz do kaplicy? - zainteresowała się Regan.

- Nie, sama nie wiedziałam, że tu zajrzę.

- Nie wygląda na to, by Louie zostawił coś na pamiątkę po sobie - zauważył Jack. Ivy rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie; nie była pewna, czy sobie nie kpi.

- A może ktoś planował jakiś żart - rzucił hipotezę Jack. I przyłapałaś go tu, jak się przygotowywał. Znasz wszystkich mężczyzn ze swojej grupy?

- Jednych lepiej, innych słabiej. Niektórych widziałam tylko parę razy. Ale żaden nie wygląda jak Louie Lewy Sierpowy.

- Jego plakaty są porozwieszane po całym statku. Może ktoś na pokładzie zamierza was zaskoczyć podczas jednego z seminariów - zasugerowała Elwira. - Naturalnie, kiedy go zobaczyłaś, byłaś przerażona, rzuciłaś tylko szybkie spojrzenie, po czym odwróciłaś się i wybiegłaś.

- Wiem, co widziałam - nie dawała za wygraną Ivy - Wdziękuję kogoś, kto wyglądał jak skóra zdjęta z Louiego.

Luke stał przy ostatnich ławkach. Coś na podłodze przykuło jego wzrok. Schylił się i podniósł małą błyszczącą kuleczkę z otworkami i mniejszą kulką w środku.

- Co tam znalazłeś? - chciała wiedzieć Nora.

- Gdzie? - spytała Elwira. Zawsze miała przedziwną zdolność wychwytywania rozmów prowadzonych szeptem trzy pomieszczenia dalej.

Luke podszedł, wyciągając przed siebie otwartą dłoń.

- To pewnie nic takiego. Chyba że nasz Lewy Sierpowy miał ją przyszytą do bokserek. Elwira wzięła od niego kulkę i potrząsnęła nią. Kulka zabrzęczała.

- Używają ich do większości świątecznych dekoracji. - Uśmiechnęła się. - Zatrzymamy ją jako dowód.

Serce Dudleya nieomal przestało bić. Wiedział. Był pewien, że ten niewielki dzwoneczek odpadł z czapki Świętego Mikołaja. Czyżby od któregoś ze skradzionych kostiumów?

Regan po raz ostatni rozejrzała się po kaplicy, po czym powiedziała do Ivy:

- Wyglądasz, jakbyś potrzebowała odrobiny relaksu. Masz ochotę napić się z nami drinka przed snem?

- Z przyjemnością! - odparła entuzjastycznie Ivy. - Może Klub Czytelników i Pisarzy nie jest po mojej stronie, ale za to wszyscy jesteście ze mną. Nie mogłabym być szczęśliwsza.

- Odkryjemy, co naprawdę dzieje się na tym statku - obiecała serdecznie Elwira.

Dudley miał ochotę się rozplakać. Jedynym celem tego rejsu było zdobycie pozytywnego rozgłosu dla „Royal Mermaid” . Ludzie mieli się dowiedzieć, jaki to wspaniały statek i jak cudownie się na nim pływa, co zachęciłoby ich do otwierania portfeli i rezerwacji miejsc. Przy udziale tej wścibskiej brygady całe

przedsięwzięcie zamieni się w koszmarną antyreklamę. „Royal Mermaid” w swoim pierwszym komercyjnym rejsie będzie przypominać statek widmo.

 Nie mógł do tego dopuścić. Po prostu nie mógł.

Komandor Weed pełnił honory gospodarza przy swoim stole, snując opowieść o tym, jak postanowił zmienić swoje życie i wyremontował „Royal Mermaid”, aby żeglować dookoła globu do końca swoich dni. - Moja miłość do morza rozpoczęła się, gdy w wieku pięciu lat dostałem plastikową łódkę. Wkładałem swoją małą kamizelkę ratunkową, a ojciec asekurował mnie, kiedy żeglowałem wokół stawu za domem...

Eric i doktor Gephardt słyszeli już tę historię co najmniej sto razy. Mieli obowiązek towarzyszenia komandorowi przy stole każdego wieczora, gdy czarował codziennie nowych gości. Dziś przywilej spożywania posiłku w towarzystwie „kadry oficerskiej” statku otrzymali Jaspersowie, starsze małżeństwo, które wygrało rejs na bankiecie charytatywnym „Ratujcie ameby”, oraz Snyderowie, para w średnim wieku, należąca do Klubu Czytelników i Pisarzy.

Eric rozpaczliwie pragnął uciec. Zastanawiał się gorączkowo, co zrobili jego podopieczni, po tym jak zostali przyłapani w kaplicy. Czemu Dziesiątka zdjął kostium i dlaczego, na Boga, skakał przy ołtarzu? Czyżby zwariował? Czy państwo Reilly i Mehanowie poszli tam z tą wrzeszczącą histeryczką? Widział, jak wychodzili razem. Dziesiątka i Highbridge na pewno nie byli tak głupi, by tam zostać. A może byli?

Eric wściekł się, że Dudleyowi udało się uciec od stołu, kiedy Ivy Pickering zaczęła wrzeszczeć.

Doktor Gephardt brylował na przyjęciu, zanim poszedł sprawdzić, czy u Harry'ego Cratera wszystko w porządku. Ten facet musiał ofiarować dużo pieniędzy na akcje charytatywne, myślał lekarz, skoro komandor zaryzykował wzięcie na pokład kogoś tak chorego. Zerknął w stronę stolika, gdzie siedział Crater. Starszy mężczyzna właśnie wstawał ze swojego krzesła. Dwie dziewczynki po jego obu stronach podskoczyły gorliwie, aby mu pomóc.

Henry był o krok od szaleństwa. Te smarkule działały mu na nerwy przez całą kolację, a rozmowa z ich rodzicami wprawiała umysł w odętnienie. Przynajmniej występ tej kobiety dostarczył mu tak potrzebnej stymulacji.

- Panie Crater, chciałabym pana sfotografować z dziewczynkami - poprosiła Eldona. - Zrobimy dziennik ze zdjęciami z rejsu i wyślemy go panu. Musi nam pan podać adres. Proszę zostać jeszcze na moment.

Crater zgodził się niechętnie i zaczął siadać. Oczy Eldony rozszerzyły się z przerażenia, gdyż zdała sobie sprawę, że Gwendolyn odsunęła jego krzesło od stołu, dokładnie jak ją uczono na kursie opiekuna osób starszych. Na twarzy Cratera odmalowało się najpierw zdumienie, a następnie panika, kiedy się zorientował, że nie ma pod sobą oparcia. Wylądował pod stołem z głośnym tąpnięciem.

Westchnienia współbiesiadników zakłóciły opowieść komandora o szczęśliwych chwilach spędzonych na obozie żeglarskim w Cape Cod.

Crater, klnąc pod nosem jak szewc, leżał rozciągnięty na podłodze. Był oszołomiony i zdezorientowany. Znowu wypadł mu dysk. Fredericka zmoczyła chusteczkę w szklance z wodą i pochyliła się z troską, aby wytrzeć twarz „wujkowi Harry'emu”.

- Już, już - uspokajała go. - To wina mamusi. Łeee, co to za coś szare na pana twarzy? Crater wyrwał jej serwetkę.

- Moje lekarstwo tak działa - warknął. - Zabierz ręce ode mnie.

W tym momencie pochylił się nad nim doktor Gephardt, zachwycony pretekstem, by uciec przed opowieściami komandora. Lekarz wyciągnął kciuk.

- Ile palców pan widzi, panie Crater?

Crater odtrącił jego dłoń i spróbował wstać, nie mógł jednak się poruszyć z powodu ostrego bólu w plecach. Gephardt zmarszczył brwi.

- Poślemy po nosze. Nie możemy ryzykować przy pana stanie zdrowia. Co dokładnie panu dolega? - W tej chwili wszystko!

- Może pan ruszać nogami?

- Nadwerżyłem kręgosłup. Nic mi nie będzie. Proszę tylko pozwolić mi wstać. Gephardt pokręcił uroczyście głową.

- Nie, nie. To było twarde lądowanie, nie możemy mieć pewności, że nie stało się panu nic złego. Jako wykwalifikowany lekarz nalegam, aby spędził pan dzisiejszą noc na obserwacji. Jeśli zajdzie konieczność, wezwiemy helikopter.

- Nie! - wybuchnął Crater, unosząc się na łokciu. Drgnął, czując w całym ciele znajomy przeszywający ból rozchodzący się od kręgosłupa. - Nie chcę stracić tego rejsu. Zasłużyłem na niego, dając mnóstwo pieniędzy potrzebującym.

Fredericka i Gwendolyn podskoczyły do góry, klaszcząc w ręce. - Hurra! Odwiedzimy cię w okrętowym szpitalu.

Weszło dwóch sanitariuszy z noszami. Harry został na nich ułożony i przypięty pasami. Kiedy wynoszono go z jadalni, usłyszał, jak lekarz mówi do jednego z sanitariuszy:

- Mam numer do jego pilota. Może powinienem zadzwonić i uprzedzić, że w każdej chwili może być potrzebny.

Sekcja sportowa „Royal Mermaid” mieściła się na rufie statku. Oprócz feralnej ścianki wspinaczkowej znajdowało się tam boisko do koszykówki i miniaturowe pole golfowe. Tony i Barron nieśli swoje tace, na których piętrzyły się góry zabranych w pośpiechu z bufetu serów, krakersów i winogron. Szukali miejsca, gdzie mogliby się ukryć i zjeść w spokoju kolację. Odkryli sekcję sportową, a Highbridge wskazał miniaturową czerwoną oborę obok siódmego dołka na polu golfowym. Z okna nad drzwiami wychylała się głowa krowy z otwartym pyskiem, szpara pomiędzy jej zębami najwyraźniej służyła za cel dla graczy. Kiedy ktoś tam trafił, przy odrobinie szczęścia piłeczka miała dość impetu, by przetoczyć się rynienką przez oborę i wylądować w pobliżu dołka.

- Schowajmy się za oborą - zaproponował Highbridge. – To tylna część statku, nikt nas nie zobaczy z tamtej strony. A pole jest teraz zamknięte.

- Moje karty! - zawołał znienacka Dziesiątka.

- Co?

- Skojarzyło mi się z grami. Zostawiłem swoje karty w tamtym pokoju!

- Co z tego?

- Muszę je odzyskać. Są ważne.

Usłyszeli głosy dochodzące od strony schodków.

- Chodź! - szepnął niecierpliwie Highbridge.

Szybkim krokiem przeszli przez ogrodzone boisko do koszykówki i intrygująco zaprojektowane pole golfowe, aż znaleźli się za bezpieczną fasadą obórki. Usiedli, oparci plecami o ścianę, i chciwie rzucili się najedzenie.

Zbliżała się noc.

- Płyniemy dosyć szybko - zauważył Highbridge, wpatrując się w spienioną białą linię przecinającą ogromny ocean czerni. Ale nie podoba mi się to niebo.

- Czemu? Wolałbyś księżyc i gwiazdy, żeby każdy mógł nas zauważyć?

- Miałem jacht, zanim uwzięli się na mnie federalni. Wiem, co oznacza taka pogoda. Czeka nas sztorm.

19

Mimo niedogodności i wielu przerw Randolph był zdeterminowany, aby dokończyć sagę o swoim żeglarskim życiu.

I na Boga, udało mu się to. Dwie pary siedzące przy jego stole zdołały utrzymać uśmiechy na twarzach, podczas gdy komandor opiewał, deska po desce, zalety „Royal Mermaid”, obecnie najszybszego statku w swojej kategorii, pływającego po morzach.

Eric skorzystał z momentu, w którym wuj ocierał usta serwetką, by poderwać się od stołu.

- Życzę wszystkim wspaniałej reszty wieczoru. Pójdę sprawdzić, co z panem Craterem, a potem porozmawiam z resztą gości.
- Uściskaj mnie - zażyczył sobie komandor, wyciągając ramiona.

Eric pochylił się, pozwalając wujowi, aby ten niemal udusił go w uścisku i pocałował w policzek.

- To syn, którego nigdy nie miałem - wyznaj Randolph osłupiałym gościom, przypominającym figury woskowe.

Wyszedłszy z jadalni, Eric zobaczył Meehanów i Reillych w towarzystwie tego idioty Dudleya oraz krzykaczki. Schodzili po schodkach. Poczł natychmiastowy przypływ ulgi. Najwyraźniej nie spotkali Highbridge'a i Dziesiątki. Teraz powinien spytać, czy wszystko w porządku.

- Nie martw się, Ericu - powiedział Loomis z nutą wyższości i zniecierpliwienia w głosie. - Mam wszystko pod kontrolą. Nie wykluczone, że na pokładzie znajduje się żartowniś, który, niestety, wystraszył pannę Pickering. Z pewnością wkrótce się ujawni.

- Idziemy na drinka - powiedziała zalotnie Ivy. - Chciałby pan się do nas przyłączyć?

- Dziękuję, ale muszę zajrzeć do jednego z naszych gości, który trafił do szpitala.

- Już? - zdziwiła się Elwira.

- Niestety, tak. Być może zwróciliście na niego uwagę. To pan Crater, ten, który porusza się o lasce. Siedział przy stoliku państwa Dietzów...

- Biedny facet - mruknął Luke.

Eric roześmiał się i przewrócił oczami, postanawiając wykorzystać swój urok, który nieraz zdziałał już cuda.

- Posadziłeś go przy jednym stoliku z tymi nieznośnymi dziećmi, co, Dudley? - powiedział, lekko klepiąc go po ramieniu.

- Bardzo ciężko pracowałem nad usadzeniem gości - odparł z urazą kierownik. - Te dziewczynki są z nami, bo mają serca pełne miłości i troskliwości dla innych, co tak pięknie opisała ich matka w swoim wzruszającym świątecznym liście.

- Cóż, jedna z nich była na tyle troskliwa, by zabrać Craterowi krzesło spod siedzenia i biedak wylądował na podłodze. To dlatego wynieśli go z jadalni na noszach.

- A my przegapiliśmy to wszystko? - zmartwiła się zdumiona Ivy.

- Niestety tak - odparł Eric.

- No trudno - powiedziała. - Teraz mam u boku tych wspaniałych ludzi, którzy pomogą mi dotrzeć do sedna sprawy. Wskazała na Jacka. - Ile osób może współpracować z szefem Głównej Brygady Dochodzeniowej Nowego Jorku? - Potem wykonała ten sam gest w kierunku pozostałych. - A znany prywatny detektyw, słynna autorka powieści sensacyjnych oraz zdobywający nagrody detektyw amator pomagają mi w dotarciu do prawdy! Niewielu może się tym pochwalić, zapewniam was. Ale Ivy Pickering może powiedzieć z dumą: oni wszyscy mi wierzą.

Eric otworzył szeroko usta. Spotkał gości Elwiry już wcześniej, kiedy wymuszono na nim rezygnację z pokoju, ale nie miał pojęcia, że jedno z nich to szef policji z Nowego Jorku. Manchester bardzo się zmartwił - Pinto wyglądał dokładnie jak ten bokser, który został słynnym pisarzem. Prasa pisała o ucieczce Tony'ego, jego zdjęcie znalazło się we wszystkich gazetach. Czy Jack Reilly nie nabierze teraz podejrzeń, iż człowiek, którego widziała

Ivy Pickering, nie był zmarłym pisarzem, tylko zbiegłym kryminalistą? Dzięki Bogu, że Ivy widziała, jak ów „duch” podskakiwał w spodenkach bokerskich. Może Jack nie połączy ze sobą tych faktów, łudził się Eric. Przez jedną straszłą sekundę zobaczył siebie siedzącego w pomieszczeniu bez okna, nie wspominając o balkonie. Musi znaleźć Tony'ego i Barrona, nim ktoś ich zauważy. Nie mogli być w kaplicy, ale chciał się upewnić. Potem przeszuka resztę statku. Zmusił się do uśmiechu. - No cóż, wszyscy możemy czuć się bezpieczni, mając tak wspaniałych przedstawicieli organów ścigania na pokładzie - powiedział serdecznie. - A teraz, jeśli mogę państwa przeprosić...

Wyminął ich i ruszył na górę.

Nie idzie zobaczyć się z panem Craterem, zdał sobie sprawę Dudley. Szpital okrętowy jest na najniższym pokładzie. Co on kombinuje?

W ciągu kolejnych dziesięciu minut Eric przetrząsnął kaplicę, zajrzał do apartamentu wuja - chociaż drzwi były zamknięte na klucz i nikt nie miał możliwości wejścia do środka - oraz sprawdził wszystkie możliwe kryjówki, które przyszły mu na myśl. „Royal Mermaid” do najmniejszych nie należała, mimo to miejsc do ukrycia nie było aż tak wiele. Eric podbiegał do każdego Mikołaja, którego zauważył, ale za każdym razem spotykało go rozczarowanie. Muszą już umierać z głodu, pomyślał. Czy przypadkiem nie zaryzykowali, by zdobyć coś do jedzenia?

Eric spojrzął na zegarek. Nocny bufet jest jeszcze zamknięty. Najlepiej będzie zejść teraz na dół i sprawdzić, co z Craterem, a potem zajrzeć do „Lido”.

Nora i Luke ubłagali pozostałych, by pozwolili im opuścić towarzystwo, które wybierało się właśnie do sali muzycznej na drinka.

- Położyliśmy się wczoraj późno, a dziś wstaliśmy bardzo rano - przepraszała Nora. - Zobaczymy się przy śniadaniu.

Willy ziewnął.

- Elwiro, masz więcej energii niż ktokolwiek na tym statku. Nie pogniewasz się, jeśli też pójde już spać?

Ivy, która zaczynała się obawiać, że straci okazję na miłą pogawędkę ze znanymi ludźmi, rozpromieniła się, słysząc słowa pani Meehan:

- Idź, Willy. Też niedługo przyjdę.

- Znajdę dla nas jakiś miły spokojny stolik - obiecał Dudley. Przy stoliku koło okna niedaleko wejścia Ivy dostrzegła znajomą twarz.

- O, jest moja współlokatorka, Maggie - zawołała, patrząc w przeciwną stronę pomieszczenia. - Kim jest Mikołaj, który z nią siedzi?

- Nie widzę stąd dokładnie - powiedział Dudley. - Ale to chyba Ted Cannon. Jest dość wysoki.

- Chciałabys ich poprosić, żeby się do nas przysiedli? - zaproponowała Regan.

- Nie - odparła zdecydowanie Ivy.

Naprawdę lubiła Maggie, ale jej przyjaciółka śmiała się równie głośno co wszyscy, gdy usłyszała o pojawieniu się w kaplicy ducha Louiego Lewego Sierpowego. Poza tym, zależało jej, aby porozmawiać z Regan, Jackiem i Elwirą. Każda inna osoba była w tej sytuacji intruzem. Dudley jej tak bardzo nie przeszkadzał - biedaczek wyglądał na wykończonego.

Podeszli za nim do narożnego stolika.

- Pani Meehan, gdzie chciałaby pani usiąść? - Kierownik wskazał stolik szerokim gestem.

- Byle nie tyłem do drzwi - zażartowała Elwira. - Nie chcę ni-

czego przegapić.

- Nikt z nas nie chce - mruknęła Regan.

Często drażniła się z Jackiem, że jedynym minusem bycia z nim są wspólne wyjścia - mąż nigdy nie usiadł tyłem do drzwi, głównie z powodu zawodowych przyzwyczajęń, toteż o ile nie udało im się usiąść obok siebie, Regan miała widok wyłącznie na niego, co, jak mówił, było wystarczającą nagrodą dla każdego.

- Panie Loomis, może usiądzie pan obok mnie - zaproponowała Elwira. - Och... - zauważyła, siadając - morze chyba robi się niespokojne.

- Morze to nieprzewidywalna dama - powiedział ze znawstwem Dudley, pomagając jej utrzymać równowagę. - Podobnie jak większość pań - dodał, unosząc brwi. - My, mężczyźni, nigdy nie wiemy, czego się spodziewać. Prawda, Jack?

Regan rozbawił wyraz twarzy męża. Wiedziała, że musiał go rozdrażnić familiarny ton, jakim zwrócił się do niego Dudley: jakby mieli ze sobą coś wspólnego. Jack określił wcześniej kierownika rejsu mianem nieszkodliwego nieudacznika.

Elwira żałowała, że nie włożyła swojej broszki z wmontowanym ukrytym dyktafonem. Często zdarzało się, że ktoś mówił coś znaczącego, co wychwytywała dopiero później, przesłuchując nagranie.

Błyskawicznie pojawił się kelner i wziął od nich zamówienia. Elwira zwróciła się do Dudleya:

- Miał pan męczący dzień, prawda? - spytała ze współczuciem. - Jakież wieści na temat tego kelnera, który dał nurka w porcie w Miami?

Loomis poczuł ciężar w żołądku. Nie miał dotąd odwagi, by pójść do swojego gabinetu i sprawdzić pocztę elektroniczną. Był wdzięczny za to, że przez większość czasu na statek nie docierał sygnał lokalnych stacji telewizyjnych. Komandor na pewno dostał e-mail ze swojego biura w Miami na temat relacji z tego wydarzenia, które mogły przedostać się do wieczornych wiadomości. Jestem jak Scarlett O'Hara, przyznał się przed sobą ze smut-

kiem. Pomyślę o tym jutro. Teraz mógł odpowiedzieć Elwirze zupełnie szczerze:

- Nic więcej na razie nie wiem. Jak mówił komandor, to sprawa cywilna. Facet bardzo zalegał z płaceniem alimentów.

Ivy podniosła palec.

- To jedna z zalet bycia samemu. Nigdy nie musiałam się użerać z leniwym byłym mężem. Gdy byłam mała, ojciec co tydzień oddawał mamie nieotwartą kopertę z wypłatą, a ona wydzielala mu kieszonkowe. Sprawdzało się świetnie, póki nie poprosił o podwyżkę. - Uśmiechnęła się, gdy kelner postawił przed nią jabłkowe martini, i z wielką niecierpliwością go spróbowała. - Zdziwiająca, co można zrobić z jabłek - ucieszyła się. - Ojej, powinienam była poczekać, aż wszyscy zostanieie obsłużeni. Jestem taka podminowana, ale z wami czuję się bezpiecznie. - Kiedy już każdy miał przed sobą drinka, od razu uniosła szklanekę. - Wzniesmy toast!

- Na zdrowie! - powiedzieli chórem.

Deszcz zaczął bębnić o szyby. Statek kołysał się na boki.

- Nie chciałabym teraz być na zewnątrz - skomentowała Regan. - Posłuchajcie tego wiatru! Zaczyna wyć. Ten sztorm nadzedł dość nagle, prawda?

- Jak już mówiłem, morze to kapryśna dama - oświadczył Loomis, ściskając swój kieliszek. - Wielokrotnie już bywałem w takich sytuacjach. Jeśli ten sztorm jest taki, jak inne, skończy się tak samo szybko, jak się zaczął. Tak właśnie przewiduję.

- Obyśmy tylko nie napotkali żadnej góry lodowej, a wszystko będzie w porządku - powiedziała beztrzesko Ivy - Na dziś mam dość wrażeń. Nadchodzi Benedict Arnold.

- Kto? - spytała zdumiona Regan.

- Moja współflokatorka Maggie.

W ich kierunku zmierzała Maggie Quirk, a za nią Ted Cannon, już bez brody i czapki.

- Uuuuu! - jęknęła, gdy statek znów gwałtownie się zakołysał. Chwyciła Teda za ramię.

- Statek wcale się nie przechylił, Maggie! - zawołała słodko Ivy - To twoja wyobraźnia!

Maggie z uśmiechem zbliżyła się do ich stolika.

- Ivy, przepraszam. Na początku wszyscy myśleliśmy, że za-

aranżowałaś całą tę sytuację, żebyśmy mieli zagadkę kryminalną na pokładzie. Teraz wszyscy już wiedzą, że naprawdę coś cię przestraszyło.

- Z całą pewnością coś się stało - potwierdził Jack. On i Dudley wstali. Nastąpiły prezentacje, a potem dostawiono dodatkowe krzesła.

- Ted pytał mnie o ciebie, ponieważ mamy wspólną kabinę - wyjaśniła Maggie.

Elwira spojrzała na czapkę, którą trzymał w ręce.

- To stąd się wzięło! - wykrzyknęła.

- Skąd co się wzięło? - zdziwiła się Regan.

Pani Meehan sięgnęła do kieszeni.

- Ten dzwoneczek, który znaleźliśmy w kaplicy. Jest taki sam jak te dwa na czapce Teda. - Zwróciła się do Dudleya: - Ile dzwoneczków powinno być na każdej czapce?

Ten się zawahał. - Chyba dwa.

- Słuchajcie - powiedziała Elwira. - Powinniśmy sprawdzić, czy na wszystkich ośmiu czapkach są po dwa dzwoneczki. Jeśli tak, osoba, która zabrała kostiumy, była w kaplicy. Wszystko na to wskazuje.

Regan wpatrywała się uważnie w kierownika rejsu. Musiał przecież rozpoznać dzwoneczek jako ozdobę pochodzącą ze stroju Świętego Mikołaja. Nie wspomniał o tym wcześniej. Najwyraźniej nie chciał, żeby ktoś się domyślił, iż osoba lub osoby, które ukradły kostiumy, chodzą sobie w nich teraz po statku. A jeśli tak jest rzeczywiście, to czy ma jakiś związek z „duchem”, widzianym przez Ivy?

Kolejny wstrząs poprzewracał kieliszki.

- Czas udać się na spoczynek - zdecydował Jack, odsuwając krzesło od zalanego alkoholami stołu. - Ostrożnie. Sztorm jest chyba coraz silniejszy.

Walcząc o zachowanie spokoju ducha, Dudley zawołał:

- Nie martwcie się. Jesteśmy na tej starej poczciwej łajbie bezpieczni jak u mamy!

Elwirze przemknęło przez myśl ostrzeżenie wróżki: „Widzę wannę. Wielką wannę. Nie jesteś w niej bezpieczna...”.

21

- To jakieś szaleństwo! - wycodził przez zęby Dziesiątka.

On i Highbridge siedzieli oparci o drzwi obórki, a ze wszystkich stron smagał ich ulewny deszcz. - Przemoczy nas do suchej nitki. Co teraz zrobimy? Nawet jeśli przestanie padać, będziemy wyglądali jak zmokłe kury. Nie ma mowy, żebyśmy mogli dalej nosić te kostiumy.

Highbridge tęsknił za swoją rezydencją w Greenwich i wspinałą królewską łazienką, wyposażoną w cudowne jacuzzi z hydromasażem i oknami wychodzącymi na Long Island Sound. Miałem tyle rodzinnej forsy, nie musiałem oszukiwać inwestorów, pomyślał. Ale było przy tym tyle uciechy. Teraz, mokry i nieszczęśliwy, w niewygodnym przebraniu, zdał sobie sprawę, że powinien był pójść na terapię i walczyć ze swoimi przestępczymi skłonnościami. A wszystkie te pieniądze, które stracił na chciwą byłą dziewczynę... Teraz szusowała po stokach w Aspen z kim innym. Gdyby nie udało mu się dotrzeć bezpiecznie na Fishbowl, mógł liczyć na jedno - ona nie próbowałaby zasłużyć na taki rejs, odwiedzając go w więzieniu. Myśl o garderobie od Armaniego zamienionej na pomarańczowy kombinezon wzbudziła w nim jeszcze większy niepokój, o ile to w ogóle było możliwe.

- Eric na pewno nas szuka - powiedział Highbridge. - Jeśli nas złapią, poleci też jego głowa.

Nagle odleciała ruchoma część wiatraka przy dziewiątym dołku, która kręciła się do tej pory jak szalona, i upadła tuż koło ich obutych w sandały stóp.

Eric wiedział, że gdyby tylko trafiła mu się okazja, gdyby spotkał Elwirę Meehan samą na pustym pokładzie, bez wahania wyrzuciłby ją za burtę. To przez nią Dziesiątka i Highbridge nie siedzą teraz bezpiecznie w jego kajucie, a wizja łatwego zarobku coraz bardziej się oddala. W tej sytuacji przestępcy nie zapłacą mu drugiej połowy wynagrodzenia po dotarciu na Fishbowl. Co więcej, będzie miał szczęście, jeśli któryś z nich nie wyśle z zemsty donosu do władz, opisując dokładnie, w jaki sposób i z czyją pomocą uciekli z kraju - gdy tylko znajdą się bezpiecznie poza Stanami Zjednoczonymi.

Eric pomyślał jeszcze, że większą nawet przyjemność sprawiłoby mu wyrzucenie za burtę Dudleya. Musiał chwilowo zrezygnować z poszukiwań swoich dwóch podopiecznych, by sprawdzić, jak się czuje Crater. Trzymając się barierki, zbiegał po schodach, zmierzając ku pomieszczeniom szpitalnym na dole statku. Im niżej, tym mniej odczuwalne były niespokojne ruchy jachtu, ale Eric i tak chwiał się na nogach, podchodząc do drzwi.

Spodziewał się pustej poczekalni, niemile go więc zaskoczył widok tłumu nieco zielonkawych na twarzy pasażerów żądających lekarstwa na chorobę morską. Bobby Grimes, którego pijacki występ stał się atrakcją wieczoru, siedział, trzymając głowę w dłoniach. Na widok Erica burknął:

- Żałuję, że nie zostałem w domu.

Ja też żałuję, że nie zostałeś, pomyślał Manchester. Przeszedł przez niewielką recepcję i otworzył drzwi prowadzące do gabinetu lekarskiego i dalej do sal dla chorych. Pielęgniarka przy szafce segregowała leki. Miała w sobie coś z cerbera. Na widok Erica zmarszczyła czoło z dezaprobatą.

- Mój wuj życzy sobie, żebyśmy porozmawiał z panem Craterem - wyjaśnił. - W której jest salce?

- Druga na prawo - odpowiedziała szorstko. - Jest u niego doktor Gephardt.

Drzwi do pokoju Cratera były otwarte. Gephardt siedział przy

jego łóżku.

- Zastrzyk zdecydowanie zmniejszy ból, panie Crater - usłyszał Eric. - Pomoże też panu zasnąć.

- Chcę wrócić do swojej kajuty - zaprotestował sennym głosem pacjent.

- Nie dziś wieczór - stanowczo odpowiedział Gephardt. - Jest sztorm. Ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli, to aby pan znów upadł. To jest najmniej ruchoma część statku, no i możemy tu mieć pana na oku.

Crater spróbował usiąść, ale natychmiast opadł z powrotem na poduszki, jęcząc z bólu.

- Widzi pan, o co mi chodzi? - zatriumfował Gephardt. - Lekarstwo zacznie działać za kilka minut. Proszę się odprężyć.

Eric zastukał w drzwi, aby zaanonsować swoją obecność, i podszedł do łóżka.

- Panie Crater, tak nam przykro z powodu pana wypadku. Ale jest pan w dobrych rękach.

- Te przebrzydłe dzieciaki - jęknął chory. - Kto mnie tak uszczęśliwił?

- Nieważne - uspokoił go Eric. - Od teraz będzie pan siedział przy stoliku komandora. On jest wspaniałym gawędziarzem.

- To prawda - zgodził się doktor Gephardt. - Sam pan mówił, panie Crater, że te bóle kręgosłupa nigdy nie trwają długo. Mamy nadzieję cieszyć się pana towarzystwem tak szybko, jak to możliwe. Ale teraz kategorycznie zabraniam panu się ruszać. Oczywiście zawsze możemy wezwać pański helikopter, kiedy tylko sztorm się uspokoi, jeżeli wolałby pan wrócić do domu.

Twarz Cratera pociemniała.

- Gdzie mój telefon komórkowy? - spytał, zapadając w sen.

Gephardt skinął na Erica, dając znak, że powinni wyjść.

Eric poszedł za nim do gabinetu. Zapaliła mu się w głowie lampka.

- Wybrał się w ten rejs sam, chociaż jest chory - zagadnął Gephardta. - Czy ktoś z nim podróżuje?

- Nie - odpowiedział wolno lekarz. - Ten człowiek mnie zastanawia. Kręgosłup boli go z całą pewnością, ale poza tym nie wydaje się taki chory, na jakiego wyglądał. Ma zadziwiająco muskularne ciało, a wszystkie funkcje życiowe są wręcz idealne. Nie mogę zrozumieć, po co mu ten szary fluid na twarzy. Pod nim jego cera ma zdrowy odcień, ale to świństwo sprawia, że

wygląda jak zombi.

Eric obrzucił wzrokiem biurko Gephardta. Leżała na nim karta Cratera z numerem jego kajuty.

- Zdecydowanie powinien zostać tu na noc? - spytał.

Gephardt z namaszczeniem pokiwał głową.

- Przynajmniej na tę noc. Wolałby wrócić do własnego pokoju, ale po tym zastrzyku będzie spał przynajmniej do rana. - Uśmiechnął się. - Nie uwierzysz! Mama Dietz już nakłoniła dziewczynki do zrobienia kartek z życzeniami powrotu do zdrowia. Podarł je, nawet nie otwierając.

Eric zaśmiał się, udając, że nadają z Gephardtem na tych samych falach.

- A teraz muszę cię przeprosić. Mam poczekalnię pełną pacjentów - powiedział lekarz.

Przez ułamek sekundy Eric był wściekły, że ten nieudacznik go spławia, kiedy sam i tak rozpaczliwie chciał wyjść. Jednak gniew szybko minął. Teraz przynajmniej miał plan.

Poruszając się jeszcze szybciej niż wcześniej, popędził schodami na górę do „Lido”. Bar był prawie pusty.

- Nie ma dziś zbyt wielu chętnych na jedzenie - zagadnął jednego z kelnerów.

- Nie w taką pogodę.

- Spodziewałem się zastać tu naszych Mikołajów - starał się nadać głosowi obojętny ton. - Podczas kolacji rozmawiało z nimi wielu ludzi, nie mieli szansy zjeść zbyt wiele.

- Dwóch z nich przyszło bardzo wcześnie. Bufet nie był nawet jeszcze czynny. Wzięli trochę sera i winogron.

Puls Erica przyspieszył. To musieli być Dziesiątka i Highbridge.

- Zjedli tutaj?

- Nie, zabrali jedzenie i wyszli na rufę. - Kelner zajął się stolikiem. - Zaczynamy zbierać nakrycia. Czy mogę coś panu podać?

- Nie, dziękuję - odpowiedział szybko Eric. - Do zobaczenia.

Nie mógł wyjść tylnymi drzwiami na zewnątrz w ulewę, bo tamten wzięły go za wariata. Zamiast tego przeszedł przez łukowate wyjście prowadzące na korytarz, minął rząd wind i pchnął boczne drzwi na pokład. Zacinający deszcz natychmiast przemoczył mu mundur. Poruszał się na czworakach - nie chciał,

żeby kelnerzy widzieli go spacerującego w deszcz jak idiota. Poszedł na tył statku. Jeśli Dziesiątka i Highbridge ukrywają się w pobliżu, musi im dać znak, że ich szuka.

Poczekał, aż dojdzie do sekcji sportowej, nim zaczął śpiewać:
- „Santa Claus is comin to town...”.

23

Regan i Jack odprowadzili Elwirę do kajuty.

- Idź prosto do łóżka - poradził Jack. - Statek się kołysze, bardzo łatwo upaść.

- Nie martw się o mnie - powiedziała. - Mam za sobą czterdzieści lat stawania na chwiejnych taboretach przy odkurzaniu zyrandoli. Zawsze mówiłam, że mogłabym być akrobatką.

Regan zachichotała i pocałowała ją w policzek. - Posłuchaj rady Jacka. Do zobaczenia rano. Elwira otworzyła sobie drzwi i weszła do kabiny. Powitało ją krzepiące chrapanie męża dochodzące spod koców - ledwo go było pod nimi widać. Na biurku świeciła się lampka. Jestem zbyt przejęta, żeby spać, pomyślała. A i tak chciałam nagrać opis dzisiejszych wydarzeń, póki wszystko dokładnie pamiętam. Mój wydawca, Charlie, chciał mieć jakąś porywającą historię z rejsu, nie był zainteresowany miniprzewodnikiem ani peanem pochwalnym.

- Doceniam wszystkie dobre uczynki, które zrobili ci ludzie wyjaśniał, chociaż nie brzmiało to, jakby rzeczywiście cokolwiek doceniał. - Ale nasi czytelnicy nie chcą o tym czytać.

Cóż, dziś wydarzyło się przecież sporo ciekawych rzeczy, uznała Elwira, wyjmując ze skrytki swój mały dyktafon i siadając przy biurku.

- Kiedy dotarliśmy na statek, nie mieli nawet dla nas kajuty zaczęła cicho.

- Mmm - poruszył się Willy za jej plecami.

Czasem potrafił przespać alarm przeciwpożarowy, ale zważywszy na to kołysanie, mogę go jednak obudzić, jeśli będę tu nagrywać, pomyślała. Lepiej wyjść na korytarz.

Jedną ręką przytrzymała się balustrady, w drugiej trzymała swój dyktafon blisko ust, zdając sprawozdanie z minionego dnia. Opisywała każdy szczegół, który się wydarzył: zamieszanie z

pokojami, upadek Dudleya ze ścianki wspinaczkowej, skok kelnera za burzę, zniknięcie kostiumów Świętego Mikołaja i spotkanie Ivy z duchem. Urwała na chwilę, po czym dodała jeszcze jeden drobiazg:

„Dziwne, że kierownik nie wyjaśnił od razu, skąd pochodzi dzwoneczek, który znaleźliśmy w kaplicy. Musiał wiedzieć, że odpadł od jednej z czapek. Ta sprawa wymaga dokładnego przemyślenia”.

Elwira wyłączyła dyktafon i wróciła do pokoju. Poszła do łazienki, usunęła makijaż, umyła zęby, przebrała się w koszulę nocną. Ułożyła się obok Willy'ego i już miała wyłączyć lampkę, kiedy zobaczyła talię kart. Willy bawił się nimi i zostawił je na kocu. Elwira podniosła karty, zamierzając odłożyć talię na biurko, ale coś zwróciło jej uwagę.

- Zabawne - powiedziała na głos.

Na górze leżał walet kier. Coś ją w nim zaintrygowało. Co takiego? Głowę postaci okalała dziwna aureola, wyglądająca jak jakiś abstrakcyjny rysunek. Elwira przyjrzała się dokładniej. Kierowana przeczuciem, zaniósła karty do łazienki i włączyła światło. Lustro nad zlewem powiększało obraz. Sprawdziła odbicie pozornie abstrakcyjnego wzoru. Ciąg cyfr, zauważyła.

- Tak myślałam - mruknęła z triumfem, przeglądając pobieżnie resztę talii. Tylko figury były pokryte wzorami. Oddzieliła je od pozostałych i po kolei przystawiła do lustra. Każda z dwunastki miała różne numery. Co znaczą te cyfry i do kogo należą karty, zastanawiała się Elwira. Kiedy pokazaliśmy je Ericowi, był tak impertynencki i obojętny... Jestem pewna, że nigdy przedtem ich nie widział. Hmm. Elwira po raz kolejny przeanalizowała w myślach dzisiejsze wydarzenia. Przypomniała sobie, jak zaskoczony był Winston, znalazłszy chipsy na podłodze sypialni Erica. Teraz te tajemnicze karty w szufladzie.. Czy ktoś inny korzystał z tego pomieszczenia? Może był to nieoficjalny salon, w którym odpoczywali robotnicy przygotowujący statek przed rejsem?

Nie zdziwiłoby jej to. Oprócz apartamentu komandora to największa kajuta na statku. Jednak instynkt podpowiadał Elwirze, że to nie robotnicy pomieszkivali w tej kajucie. Coś tu się dzieje, pomyślała, a ja się dowiem co!

Bianca Garcia pracowała jako reporterka w lokalnej stacji telewizyjnej w Miami od września. Młoda, zadziorna i ambitna, była zdecydowana wyrobić sobie nazwisko w branży. Na razie jednak dostawała same słodziutkie tematy, z których każdy zajmował około trzydziestu sekund czasu antenowego. Pojechała zrobić transmisję z wypłynięcia „Royal Mermaid”, spodziewając się nudnego popołudnia i zera sensacji.

Nagle kelner wyskoczył za burłę, a ekipa Bianki wszystko nagrała. Młoda kobieta wiedziała, że to poważny krok naprzód w jej karierze. Była niepokieszona, kiedy materiał nie trafił do wiadomości o osiemnastej z powodu wypadku ciężarówki z nabiałem, która wywróciła się, rozrzucając towar po autostradzie i tamując ruch.

Jak się okazało, co się odwlecze, to nie uciecze. Babcia miała rację. W wieku osiemdziesięciu pięciu lat wciąż była najlepszym doradcą Bianki.

Po relacji o osiemnastej producent powiedział: „Bianca, mam dość tej historii z jajecznicą na szosie. Mogę dać ci więcej czasu w wydaniu o dwudziestej drugiej”.

Bianca pozostawała przez cały wieczór w kontakcie ze swoim informatorem z policji. Chciała się dowiedzieć, czy kelner dopuścił się innych wykroczeń prócz zalegania z alimentami. Ku jej zachwytowi było coś jeszcze.

Zbadała również historię statku. W oczekiwaniu na wejście na antenę ze znacznie bardziej łakomym kąskiem, niż miałyby we wcześniejszym wydaniu, Bianca poprawiła makijaż i wyszczotkowała długie ciemne włosy. Była za piętnaście dziesiąta. Podczas przerwy na reklamę młoda reporterka dała susa przez pokój redakcyjny i wdrapała się na stołek po prawej stronie prowadzącej. Skrzyżowała kształtne nogi.

- Witaj, Mary Louise - przywitała słodko prezydentkę, która od dziesięciu już lat żyła złudzeniem, że wiadomości o dziesiątej

to jej osobiste „Mary Louise Show”. Bianca zamierzała wkrótce zająć to miejsce, zanim przejdzie wyżej.

Mary Louise nie była głupia. Pozbyła się już innych ambitnych nowicjuszy, a niektórzy z nich po starciu z nią całkowicie zrezygnowali z dziennikarstwa. Zaczynała właśnie zakładać sidła na tę denerwującą karierowiczkę.

- Witaj, Bianco. Podobno masz dla nas uroczą historyjkę z pewnego rejsu.

- Jestem pewna, że ci się spodoba - zapewniła ją Bianca. Producent skinął na Mary Louise, sygnalizując koniec reklam.

- Mamy sezon świąteczny - zaczęła prowadząca. - Nasza wysłanniczka, Bianca Garcia, była dziś w porcie Miami, aby życzyć szczęśliwej podróży pewnej grupie wyjątkowych podróżnych wypływających w rejs... - Mary Louise zrobiła w powietrzu gest oznaczający cudzysłów. - „Rejs ze Świętym Mikołajem”. - Bianco, słyszałam, że mieliście tam dzisiaj trochę wrażeń...

Ta uśmiechnęła się olśniewająco w stronę kamery.

- Zdecydowanie tak, Mary Louise. To nie był zwyczajny bankiet przed rozpoczęciem podróży...

Wprowadziła krótko telewidzów w szczegóły imprezy, podkreślając fakt, że uczestnicy rejsu to ludzie, którzy w tym roku wnieśli szczególnie wkład w działalność charytatywną. Pewna organizacja o nazwie Klub Czytelników i Pisarzy świętuje na pokładzie osiemdziesiąte urodziny niezżyjącego autora sensacyjnych bestsellerów, Louiego Lewego Sierpowego. A skoro mowa o autorach sensacyjnych bestsellerów: na statku jest Nora Reilly

Na ekranie pojawiło się zdjęcie Reillych i Meehanów, a Bianca po kolei przedstawiła każdą z osób.

Następnie panna Garcia z wielkim przejęciem przeszła do sprawy pływającego kelnera Ralpha Knoksa. - Pasażerowie podbiegli do balustrady. Padały zakłady, czy mężczyzna zdoła zbiec przed strażą Przybrzeżną. Nie muszę chyba dodawać, że mu się

nie udało. Na początku zapewniano, że Knox został zatrzymany wyłącznie z powodu niepłacenia alimentów - wiele z pań wie, o co chodzi - kiwnęła głową w kierunku prowadzącej. - Prawda, Mary Louise? - Nie czekając na reakcję, mówiła dalej. - Okazuje się jednak, że Ralph Knox jest również sprytnym oszustem specjalizującym się w czarowaniu majątnych kobiet podczas rejsów. Był ścigany siedmioma listami gończymi. Zarzuca mu się przekonywanie ofiar do inwestowania w „pewne” przedsięwzięcia, które nie istnieją - Bianca przerwała dla zaczerpnięcia oddechu.

- Jakby pasażerowie nie mieli dość wrażeń na początek, kierownik rejsu, próbując zademonstrować zalety ścianki wspinaczkowej, spadł, kiedy oderwał się jeden z uchwytów, a osoba trzymająca linę asekuracyjną zbyt wcześnie ją puściła.

Materiał pokazujący Dudleya lądującego na pokładzie z głośnym łomotem pojawił się na ekranie.

- Bum! - skomentowała Bianca, po czym pokrótce przedstawiła dwóch poprzednich właścicieli „Royal Mermaid” . - Statek został zbudowany dla Angusa Maca MacDuffiego, ekscentrycznego potentata naftowego z Palm Beach, który zaraz potem stracił olbrzymią część majątku. Chociaż Maca nie stać już było na utrzymanie jachtu, stanowczo odmawiał sprzedania go. Zamiast tego postawił „Royal Mermaid” na terenie wielkiego ogrodu w swojej podupadającej posiadłości, z dziobem skierowanym ku morzu.

Pojawiła się fotografia MacDuffiego w czapce żeglarskiej nasuniętej na czoło i ciemnych okularach zasłaniających pół twarzy, ubranego jedynie w kraciaste szorty oraz trampki.

- MacDuffie spędził ostatnie lata życia, siedząc na pokładzie, oglądając morze przez lornetkę i wykrzykując rozkazy do nieistniejącej załogi - mówiła Bianca. - Wydał ostatnie tchnienie właśnie tam, gdzie chciał. Na „Royal Mermaid”. Jego często wygłaszane oświadczenie, że „nigdy nie opuści statku”, stało się pożywką dla plotek, iż jego duch pozostał na pokładzie.

Następnie jacht zakupiła niewielka firma, zamierzając organi-

zować na nim płatne rejsy. Odrestaurowano go na tyle, by mógł pływać. Jednak zaraz po próbnym rejsie znów znalazł się na statym ładzie. Niedługo potem firma została rozwiązana. Członkowie zarządu obwiniali się nawzajem za to niepowodzenie i kupno statku, ale jednocześnie usprawiedliwiali się, wydając oświadczenie: „MacDuffie rzucił klątwę na tę łajbę. Nie chce, żeby się nią cieszył ktokolwiek prócz niego. Nie zdziwilibyśmy się, gdyby na niej teraz straszyl”.

Kolejny, obecny właściciel to Randolph Weed, który nie przejmując się fatalną opinią statku, stwierdził, iż jest to „niegdyś dumna dama, która potrzebowała jedynie odrobiny miłości i uwagi.. ..

Kończąc swój reportaż, Bianca spytała z przejęciem:

- Czy komandor Weed ma rację? A może Angus Mac MacDuffie wypłynął na otwarty ocean razem z obecnymi pasażerami? Jeśli tak, to ulubionego drinka, dzinu z tonikiem, nie poda mu kelner, którego kłopoty z prawem zmusiły do wyskoczenia za burtę, co też uczynił, zostawiając za sobą rzekę szampana i potłuczone kryształowe kieliszki. Będziemy na bieżąco zdawać państwu relację z przebiegu rejsu dobroczyńców. Pewnie żałujecie teraz, że nie zrobiliście w tym roku dość dużo dobrych uczynków, by zapewnić sobie wycieczkę tym statkiem. - Z rozbawioną twarzą i wyćwiczonym przed lustrem mrugnięciem Bianca pochyliła się do przodu. - Pamiętajcie. Uwielbiam dostawać od was listy. Mój adres mejlowy zobaczycie na dole ekranu.

- Dziękujemy, Bianco - odezwała się łaskawie Mary Louise. - A teraz Sam powie nam coś na temat sztormu, który szaleje na Karaibach .. Z tego, co widzimy, uczestnicy rejsu muszą przynajmniej o niego zahaczyć. I ..

Bianca wróciła do swojego biurka i sprawdziła pocztę. Na przyjęciu hojnie rozdawała swoje wizytówki z aluzją, że każda plotka pochodząca ze statku będzie bardzo mile widziana.

Otworzyła wiadomość od Loretty Marron.

Loretta była członkinią Klubu Czytelników i Pisarzy z Oklahomy i próbowała zrobić wrażenie na Bianca długą opowieścią o swoich dokonaniach sprzed wielu lat, kiedy pracowała w gazetce

szkolnej.

Droga Bianco,

Sensacja! Jedna z osób z naszej grupy, Ivy Pickering, przysięga, że widziała ducha Louiego Lewego Sierpowego, pisarza, którego pamięć postanowiliśmy uczcić podczas tego rejsu. Był w kaplicy, podskakiwał, jakby przygotowywał się do kolejnej walki. Załączam jego zdjęcie. Najpierw myśleliśmy, że Ivy żartuje. Jednak teraz wiele osób zaczęło się zastanawiać, czy rzeczywiście duch Louiego nie błąka się po pokładzie. Dwa kostiumy Świętego Mikołaja zniknęły z magazynku. Czyżby Lewy Sierpowy miał z tym coś wspólnego?

Będę w kontakcie. Proszę mnie nazywać Brenda Starr!!!

Loretta

Bianca była zafascynowana. Na kursie „Podstawy dziennikarstwa” nauczyła się, że ludzie kochają historie o zjawiskach paranormalnych. A ona na taką trafiła i już przygotowała grunt, opowiadając o starym MacDuffiem. Szybko otworzyła załącznik ze zdjęciem Louiego i aż wstrzymała oddech. Przedstawiało potężnie zbudowanego mężczyznę, siedzącego nad maszyną do pisania, ubranego wyłącznie w szorty i rękawice bokserskie. Bianca chwyciła fotografię równie potężnie zbudowanego MacDuffiego, w krótkich spodenkach, usadowionego na pokładzie, z lornetką w ręku. Powiedział, że nigdy nie odda statku. Co tam Louie Lewy Sierpowy! Mac jest duchem tego statku!

Już zaczęła układać dalszą część swojej historii. „Czy na statku jest co najmniej jeden dodatkowy gość, którego nazwiska brak na liście pasażerów?”.

Ledwie Dudley zdążył wejść do swojej kajuty, odezwał się jego pager. Loomis nie musiał sprawdzać, żeby wiedzieć, że to komandor. Zerknął na zegarek. Minęła dopiero dwudziesta trzecia. Kiedy był na lądzie, uwielbiał oglądać lokalne wiadomości. Dziś wieczór cieszył się, że na statek nie dociera sygnał anteny telewizyjnej. Nie chciał nawet myśleć, co na temat rejsu powiedziała reporterka, która była na popołudniowym bankiecie. I tak wszyscy dowiedzą się wystarczająco szybko.

Podniósł słuchawkę telefonu z nocnego stolika i wybrał numer apartamentu komandora.

- Słucham? - warknął Weed.

- Komandorze Weed, z tej strony pański ulubiony kierownik rejsu - oznajmił Dudley swoim najlepszym sztucznie wesołym tonem. - Czym mogę służyć?

- Nie czas na wygłupy - zrzędlawie zwrócił mu uwagę komandor. - Przyjdź tu natychmiast. Odbieram krytyczne telefony z lądu na temat relacji telewizyjnej z rejsu i sprawy z tym okropnym kelnerem, którego zatrudniłeś!

- Już idę! - zapewnił Dudley. - Wszystko to jakoś wyprostujemy, panie komandorze...

Weed już się rozłączył.

Dudley nie znosił swojej klitki, ale w tej chwili popatrzył tęsknie na łóżko. Rozebrać się. Umyć ręce i twarz. Potem zęby. Wyczyścić je nicią dentystyczną. Wejść pod koc. To jeszcze długo nie będzie możliwe. O ile kiedykolwiek, pomyślał ponuro.

Drzwi do apartamentu komandora otworzył mu Winston.

Miał uroczyisty wyraz twarzy, który natychmiast zirytował Dudleya. A więc Pluton nie jest już planetą, pomyślał złośliwie. Pogódź się z tym. Wyminął lokaja i poszedł prosto do salonu. Komandor przyjął pozę admirała floty: ramiona wyprostowane, dłonie złożone na plecach, spojrzenie utkwione za oknem. Odwrócił się i Dudley z przerażeniem dostrzegł w oczach szefa lży.

Randolph wskazał w kierunku Miami.

- Oni tam płaczą ze śmiechu, Dudley. Wszyscy się z nas śmieją. W ciągu ostatnich paru minut odebrałem kilka telefonów. Wiesz, co mówią? To prawdziwy pech trafić na „Rejs ze Świętym Mikołajem”. Pech! Prześladowuje mnie pech. Tracę mnóstwo pieniędzy. A twój świetny pomysł jest tego przyczyną. Tamten kelner powiedział glinom, że nasz statek to parodia. - Głos komandora zabrzmiał ostrzej. - Pokazali w telewizji, jak spadasz na tyłek ze ścianki. Reporterka miała czelność nazwać cię „dyrektorem sportowym”.

Dudley był oszołomiony.

- Puścili to? Nie wystarczyło im nagranie odpływającego kelniera?

- Najwyraźniej nie. Rozbawiliśmy całe Miami i Bóg wie gdzie jeszcze pokazywali tę relację. Tego rodzaju nagrania są odtwarzane miliony razy w Internecie.

Nigdy już się nie pokażę na zjeździe klasowym, pomyślał Dudley

- Ależ, proszę pana... - zaczął. - Mówi się, że każda reklama to dobra reklama.

- Nie w tym wypadku. Gdzie Eric?

- Nie wiem.

- Jego pager nie odpowiada. Jest mi tu potrzebny.

- Proszę pana, mam pytanie.

- Tak?

- Nie wspominali nic o halucynacjach panny Pickering, prawda?

Zamglone oczy komandora napełniły się łzami.

- Nie. Ale jestem pewien, że powiedzą o tym w porannych wiadomościach. Jak myślisz, ilu z naszych dobroczyńców wisi teraz na telefonach komórkowych, opowiadając o wszystkim, co się tutaj wydarzyło od opuszczenia Miami?

- Proszę pana, większość sieci nie ma tu zasięgu. Trzeba mieć specjalny telefon, żeby móc stąd rozmawiać i odbierać rozmowy.

- Komuś z pewnością uda się połączyć! Wezwij Erica! Musimy mieć pełną godności odpowiedź na tak uwłaczającą plotkę

26

- Czy słyszysz to, co ja słyszę? - spytał Dziesiątka. Highbridge leżał skulony w pozycji embrionalnej.

- Nie pora na śpiewanie kołęd - burknął Highbridge. Deszcz uparcie atakował każdy centymetr ich ciał.

- Nie, idioto. To chyba Eric śpiewa piosenkę o świętach. Posłuchaj.

- Jak można cokolwiek usłyszeć przy tym wietrze?

- Zamknij się. Pewnie nas szuka.

Docierał do nich słaby głos Erica. Highbridge usiłował rozróżnić słowa. To był wers z „Santa Claus Is Comin to Town”.

- Fałszuje - wymamrotał Highbridge.

- Przynajmniej próbuje nas znaleźć - zdenerwował się Tony. - Co byś chciał? Żeby nas wołał po nazwisku?

Z trudem podnieśli się na nogi i ostrożnie wyjrzeni zza ściany.

Eric stał przy pierwszym dołku, wyśpiewując serce.

- Pssst. Tu jesteśmy – zawołał Dziesiątka.

Eric podbiegł do nich.

- Szukałem was wszędzie.

- Dobra, znalazłeś - odparł niezbyt przychylnie Tony. - I co teraz?

- Jeden facet miał wypadek podczas kolacji i jest w szpitalu. Zostanie tam na noc. Mam klucz do jego kabiny. Chodźcie ze mną, tylko musimy być ostrożni. Sprzątają ze stołu w barze, nie mogą nas zobaczyć. Przemkniemy się pod oknami.

Trzy minuty później, przemoczeni jakby pływali w oceanie - całą trójką, w kilkumetrowych odstępach - dotarli wreszcie do kajuty Cratera.

Highbridge wbiegł do łazienki i wszedł pod gorący prysznic.

Dziesiątka odkleił z siebie mokry kostium Świętego Mikołaja i został w samych bokserkach, które opisywała Ivy Wyjął z szafy szlafrok z logo „Royal Mermaid” i włożył go. Potem ściągnął jeszcze koc z łóżka i owinał się nim.

- Dostanę zapalenia płuc. Jest tu barek?

Odezwwał się pager; Eric spojrzął na wyświetlacz.

- To mój wuj. Próbuje się ze mną skontaktować. Tam w szafce jest mini bar. Niedługo wrócę.

Po wyjściu Erica Tony nalał sobie szklaneczkę szkockiej z miniaturowej butelki i usiadł na łóżku. Miał wrażenie, że Highbridge zużyje całą gorącą wodę na statku. Pociągnął solidny łyk alkoholu i rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu pilota. Włączył telewizor. Nie był pewien, czy znajdzie coś do oglądania poza filmem w stylu „Uroki wyspy Fishbowl” albo taśmą szkoleniową: „Co robić, kiedy statek tonie”. Zaskoczył go więc widok własnej fotografii z aresztowania na ekranie.

- Władze przesłuchują Bingo Mullensa na temat jego powiązań z Tonym Pinto, który zbiegł ze swego domu w Boże Narodzenie. Są podstawy, by sądzić, że przestępca próbuje opuścić kraj. Informator FBI twierdzi, że Bingo Mullens wypytywał o kogoś, kto byłby skłonny go przeszmułować.

Szkocka wypalała mu dziurę w trzewiach. Bingo może mnie sprzedać, pomyślał Tony. Obejmie go program ochrony świadków i skończy gdzieś w Podunk jako sprzedawca butów.

- Bingo, jeśli mnie podkablujesz - powiedział na głos – zabiję cię. Ostatni, który mnie podkablował, na razie się wymknął. Ale tobie się nie uda. Przysięgam, nie uda ci się.

Regan i Jack przygotowywali się do snu, wymieniając wrażenia z pierwszego dnia podróży.

- Nie mogę uwierzyć, że daliśmy się namówić Elwirze na coś takiego - narzekała Regan, stając w drzwiach łazienki. - Już sobie wyobrażam, co ojciec mówi teraz matce - dodała z ustami pełnymi pasty do zębów.

- Oboje dobrze wiedzieliśmy, że Elwira przyciąga kłopoty - odparł Jack. - Jednak moim zdaniem, jak na rejs, który miał „uhonorować ludzką dobroć”, sporo dziwnych rzeczy się tu dzieje.

- Zgadzam się - przytaknęła Regan. - Jeśli jeden z członków załogi miał zatargi z prawem, powinni byli się o tym dowiedzieć, nim go zatrudnili. Kto wie, kogo jeszcze wpuścili na pokład. Złodziej kostiumów wciąż jest wśród nas, a skoro Ivy naprawdę kogoś widziała, to mamy również osobę, która najwyraźniej się ukrywa.

- Jutro rano postaram się wydobyć od Dudleya listę pasażerów i załogi. Wyślę ją do biura. Niech sprawdzą, czego jeszcze możemy się spodziewać.

Jack włączył telewizor. Fragmenty wiadomości przesłane na statek pojawiały się w kółko. Zdjęcie Tony'ego Pinto znów ukazało się na ekranie.

- Regan! - zawołał Jack. - Chodź na chwilę.

Regan wyszła z łazienki.

- Co?

Oboje wysłuchali spekulacji dziennikarza na temat udziału Bingo Mullensa w ucieczce Tony'ego.

- Spójrz na jego twarz, Regan. Dziesiątka bardzo przypomina tego pisarza, byłego boksera, nie sądzisz?

- Rzeczywiście. I jest na wolności. - Regan uniosła brwi. - Może to jego widziała dziś Ivy?

Roześmiali się oboje.

Statek zakołysał się wyjątkowo gwałtownie.

- Jeśli to on jest na pokładzie, niech się strzeże Elwiry - skomentował Jack. - Chodźmy do łóżka.

- Propozycja, której nie potrafię odrzucić - uśmiechnęła się Regan.

Już nie ociekający wodą, lecz wciąż dokładnie przemoczony Eric otworzył sobie drzwi do apartamentu, komandora. Spodziewał się lodowatego przyjęcia. Nie odpowiedział natychmiast na pager. Nie takiego zachowania oczekiwał po nim wuj. Co gorsza, nie odpowiedział aż na trzy sygnały, co komandor niewątpliwie uzna za prawdziwe przestępstwo. Przygotował sobie usprawiedliwienie.

Weed i Dudley siedzieli na kanapie. Obaj posłali mu wrogie spojrzenia. Kierownik rejsu z pewnością był zachwycony faktem, iż Eric popadł w nietaszkę.

- Wujaszku... - zaczął.

- Wyglądasz jak podtopiony szczur - skarcił go ostro komandor. - Nie spełniasz wymagań, jakie mam wobec każdego marynarza na „Royal Mermaid” . - Przerwał. - Póki jeszcze udaje mi się utrzymać ją na wodzie, obowiązuje cię schludny ubiór.

- Komandorze, jestem przemoczony, ponieważ troszcę się o naszych pasażerów. Słyszałem, jak rozmawiali, że fajnie by było posiedzieć na zewnątrz podczas sztormu. Przebiegłem się po pokładzie, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt nie był na tyle szalony, aby rzeczywiście wyjść. Wiem, jak lekkomyślni potrafią być nie którzy ludzie, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Znalazłeś kogoś? - spytał obojętnie Dudley, unosząc brwi.

- Dzięki Bogu, nie - odparł z przejęciem Eric. - Czuję się o wiele spokojniejszy, mając pewność, że wszyscy są bezpieczni. Korytarze puste. Wszyscy poszli już do swoich kajut. Mam nadzieję, że leżą wygodnie w łózkach, otuleni w koce, a „Royal Mermaid” kołysze ich do snu na wzburzonych falach.

Komandor uniósł dłoń.

- Poeta z ciebie, Ericu. Nie miałem pojęcia. Zmień te mokre ciuchy i wracaj szybko. Mamy kryzys.

- Wszyscy zostali ostrzeżeni przed wychodzeniem na zewnątrz podczas sztormu. To powinno było wystarczyć - pedan-

tycznie zauważył Dudley.

Eric poszedł do swojej sypialni i przebrał się szybko w dres.

Kiedy wrócił do salonu, wuj wpatrywał się smętnie w oszklony regał naprzeciwko kanapy.

- Ericu - powiedział uroczyście, wskazując jedną z półek. Nic ci wcześniej nie mówiłem, bo chciałem, żebyś miał cudowną niespodziankę. Mamy dodatkowego pasażera na pokładzie.

Kolana Erica zamieniły się w watę. - Dodatkowego pasażera? Kogo?

- Babcię.

- Babcię? Przecież umarła osiem lat temu.

- Prochy twojej babci - poinformował go Dudley. - Są w srebrnej szkatułce w tym szklanym pudełku.

- To babcia została skremowana? - spytał w osłupieniu Eric.

- Takie było jej życzenie. W ostatnich godzinach życia powiedziała mi, że jest przekonana, iż kiedyś zrealizuję swoje marzenie o własnym statku, a kiedy to się stanie, chce, żebym ją zabrał w pierwszy rejs i oddał jej prochy morzu.

- Nikt nic mi nie mówi - biadolił Eric.

- Wiedziałbyś, gdybyś przyszedł na jej pogrzeb – wypomnił mu wuj. - Nawet moje trzy były żony przyszły. Żywiły ogromny szacunek dla twojej babci. Twoja była ciocia Beatrice, była ciocia Johanna i twoja była ciocia Reeney - wszystkie siedziały razem obok siebie, wypłakując oczy. Rozmawiałem nie tak dawno z Reeney i powiedziałem jej, że nadszedł wreszcie ten moment i niedługo prochy babci zostaną wrzucone do morza podczas naszego dziewiczego rejsu. Chciała popłynąć z nami, ale nawet ja nie jestem aż tak wielkoduszny. A teraz prześladuje nas ta zła passa, media nas obsmarowują...

- Skąd wiesz? - zainteresował się niespokojnie Eric. - Co mówią na temat tego rejsu?

Komandor streścił mu pokrótce.

- To tragiczny brak szacunku dla pamięci twojej babci. Tak wiele dobrego uczyniła w życiu, iż uznałem za swój obowiązek wysłać ją w tę ostatnią podróż nie tylko podczas pierwszego rejsu, ale także żegnaną przez dobrych, szlachetnych ludzi. A teraz

to wszystko zamieniło się w jakąś okrutną farsę... - Głos komandora załamał się, wuj Randolph sięgnął do kieszeni po chusteczkę. To bardzo niesprawiedliwe - wychlipał, ocierając oczy. - Nikt nie płaci za ten rejs. Nikt! A wszyscy się ze mnie śmieją!

Eric usiadł obok wujka i objął go niezręcznie. Ku oszołomieniu siostrzeńca komandor oparł głowę na jego ramieniu.

- Już, już, wujku.

- Babcia nie zasłużyła sobie na to. Jutro podczas kolacji miałem ogłosić, że prochy mojej ukochanej matki zostaną wrzucone do morza wczesnym rankiem w środę, w jej dziewięćdziesiątą piątą urodziny. Kiedy Dudley zaproponował ten rejs, który kosztuje mnie fortunę, uznałem to za przeznaczenie. Dziewięćdziesiąta piąta rocznica jej urodzenia wypadła akurat podczas tej podróży. Miałem zamiar poinformować gości o tej uroczystości. O świcie w kaplicy urządzilibyśmy krótką ceremonię i byłbym wzruszony, jeśli ktokolwiek zdecydowałby się w niej uczestniczyć wraz ze mną. Oczywiście ty, Ericu, chciałbyś być na drugim, ostatnim pożegnaniu swojej babki. Dojrzałeś w ciągu tych ośmiu lat. Ale teraz po prostu nie wiem już, co robić...

Eric spojrział na szklane pudełko.

- Cześć, babciu - powiedział ciepło. Z oczu komandora popłynęły łzy.

- Ta przepiękna kobieta w tej wyjątkowo wspaniałej srebrnej szkatule. Pod kluczem.

- Zawsze bardzo o nią dbałeś. Komandor skinął głową.

- Za życia i po śmierci. Słyszałem straszne historie o prochach bliskich, wysypanych przez nieuważne pokojówki. Dlatego strzegłem tej szkatułki jak własnego życia.

- Gdzie trzymałeś babcię przez te wszystkie lata?

- Szkatułka stała w mojej sypialni w domu na regale dokładnie takim, jak ten. Jest żaroodporny, wodoodporny i ma zabezpieczenie przed kradzieżą. Nie mówiłem o tym zbyt wiele... to taki bolesny temat. Jednak z mojej strony mama zawsze mogła się spodziewać miłości i troski.

- Proszę pana - odchrząknął Dudley - dawałem sobie już radę z wieloma kryzysami. Najważniejsza jest nasza postawa. Na litość boską, kiedyś zdarzył się niefortunny wypadek i wypłynęliśmy w rejs bez żadnych deserów ani składników do ich przyrządzenia na pokładzie. Kucharz, który miał się tym zajmować, zrezygnował w ostatniej chwili i okazał się w dodatku złośliwy.

Odwołał wszystkie zamówienia na mąkę, czekoladę i tym podobne. Zastępca, którego zatrudniliśmy tuż przed podróżą, nie miał składników, żeby upiec jedno głupie ciastko. Wśród pasażerów wybuchł bunt, ale udało nam się odwrócić sytuację na naszą korzyść. Zorganizowaliśmy całodobowe lekcje gimnastyki i przyznaliśmy prawo do darmowego rejsu osobie, która najwięcej schudnie. Ktoś wygrał o kilka gramów.

Loomis wstał i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju.

- Proponuję, abyśmy wydali dziś wieczorem oświadczenie dla prasy, w którym podkreślilibyśmy naszą bezinteresowność, charytatywne zasługi naszych gości oraz uroczą historię związaną z doczesnymi szczątkami pańskiej matki. Jeśli przedstawiciele mediów nie będą chcieli wziąć pod uwagę wszystkich okoliczności, to... to niech się wstydzą! Nie powinien pan rezygnować z przepięknej uroczystości dla mamy, komandorze. Jutro wydamy następne oświadczenie, opiewające uroki kolejnego dnia wspaniałej podróży i podkreślimy uprzywilejowaną pozycję wszystkich naszych gości, którzy rozkoszują się darmowym rejsiem i właśnie spędzili pierwszą czarowną noc na pełnym morzu.

Komandor otarł łzy i wydmuchał nos.

- Jestem taki szczęśliwy, że was mam. Wierzcie lub nie, ale tęsknię za małżeństwem. Wasze towarzystwo wiele dla mnie znaczy.

- Pójdę do siebie i zacznę redagować pierwsze oświadczenie - zdecydował Dudley.

- Wuju, powinieneś się przespać - zatroszczył się Eric.

W końcu to zrobię, ale na razie poleżę sobie tu, na kanapie, niedaleko babci. Nie spędzę z nią już zbyt wiele czasu, bo wkrótce spocznie na dnie oceanu...

Eric wpadł w panikę. Musi zejść na dół do Dziesiątki i Highbridge'a. Jak się teraz wymknie?

- Chłopcze, nalegam, żebyś wziął gorący prysznic i położył się. Wszyscy musimy być w szczytowej formie, jeśli chcemy się podźwignąć po porażce i zakończyć ten rejs sukcesem. Powiedz babci dobranoc...

Whisky nie ukoila nerwów Tony'ego, wzmogła jedynie frustrację. Czuł się jak w potrzasku. Bingo mógł go wydać, a jeśli to zrobi, tylko patrzeć, jak gliny wylądują tu helikopterem albo zawrócą statek i taki będzie finał.

Wstał, nalał sobie jeszcze jedną szklanę whisky, otworzył szafkę obok barku i znalazł paczkę orzeszków, czekoladki i ciasteczki miętowe. Po minucie już ich nie było. Jeśli Highbridge ma zamiar zużyć całą ciepłą wodę, to on zje wszystko, co tylko uda mu się znaleźć.

Większość pozostałych szafek była pusta. Właściciel pokoju nie zabrał ze sobą zbyt wielu rzeczy w ten rejs. W ostatniej szufladzie, którą otworzył Tony, była tubka szarego fluidu. Przeczytał naklejkę. Puder w kremie do charakteryzacji. Pojawiła się iskra podejrzenia. Niezawodny instynkt podpowiedział Tony'emu, by dokładnie sprawdzić pomieszczenie.

Otworzył szafę. Automatycznie zapaliło się w niej światło. Na wieszakach wisały trzy marynarki i smoking. Rozmiar czterdzięści cztery XL, sprawdził metkę. Mój rozmiar, pomyślał. Sprawdził kieszenie. W jednej znalazł broń. Jego ulubiony Glock. Kim jest ten facet, zastanawiał się Tony. Przełożył pistolet do kieszeni swojego szlafroka. Sięgnął ręką do góry i przesunął dłonią wzdłuż krawędzi pawlaczki pod kamizelkami ratunkowymi. Wyczuł palcami miękką skórę. Jakaś torba, zgadywał, zdejmując ją ostrożnie. Wyglądająca na kosztowną walizka zapinana na suwak z trzech stron, bez uchwytu.

Położył ją na łóżku. Podniósł do ust szklanę i wypił kolejny solidny łyk, nim otworzył tajemnicze znalezisko. Popatrzył i niemal zachłysnął się ze zdumienia: miał przed sobą dwanaście plików banknotów studolarowych. Dziesiątka wysypała całą zawartość walizki na posłanie. Z jednej z kieszeni wypadły trzy paszporty amerykańskie. Otworzył pierwszy. Zesztywniał, kiedy zobaczył zdjęcie. Szybko sprawdził pozostałe dokumenty. Twarze na trzech fotografiach na pozór wyglądały zupełnie różnie, jednak po bliższym przyjrzeniu się można było z całą pewnością stwierdzić, że to ten sam mężczyzna. Tony znał tego człowieka.

To Eddie Gordon, gnida, której zeznanie posłało ojca Tony'ego do więzienia! Dziesiątka szukał go od piętnastu lat. Gordona znano pod wieloma nazwiskami. Z daty na paszporcie wynikało, że ostatnio jest Harrym Craterem.

Nie znalazł się na tym rejsie dzięki dobremu sercu, pomyślał Pinto. Ciekawe, co knuje. Eric powiedział, że jest w izbie chorych. Może udaje, że zachorował, żeby tam się znaleźć, uderzyła go myśl. Nieważne, uznał, symuluje czy nie, kiedy z nim skończę, medycyna będzie bezradna ..

Ted Cannon zawsze miał lekki sen. Zaczął sypiać jeszcze czujniej podczas choroby Joan, kiedy nasłuchiwał najdrobniejszej zmiany rytmu jej oddechu. Cieszył się, że dostał jedną z niewielu pojedynczych kabin na statku. Była o połowę mniejsza od pozostałych, ale za to bardzo wygodna i z balkonem. Jediną wadą były drzwi łączące ją z pokojem obok - dobre dla rodziny z dziećmi, choć niezbyt dogodne dla obcych, którzy nie mieli ochoty słyszeć siebie nawzajem.

Jego sąsiad, wyglądający na chorego pan Crater, został zabrany do szpitala, po tym jak upadł podczas kolacji. Jednak kiedy Ted szykował się do snu, usłyszał szmer telewizora dochodzący z jego pokoju. A więc sąsiad już wrócił, pomyślał. To znaczy, że nic poważnego mu się nie stało. Ale jedyną nadzieją Teda na przespaną noc było zasnąć, nim zacznie zbyt dużo myśleć. Nie uda mu się to przy włączonym telewizorze. Statek wciąż kołysał i miło było wejść pod koce. Zeszłej nocy o tej porze żałowałem, że zapisałem się na ten rejs, pomyślał. Ale jak dotąd całkiem nieźle się bawił. Sam w ciemnościach, uśmiechnął się na wspomnienie dzisiejszych wydarzeń. Nie przeszkadzało mu, że podczas kolacji różne osoby zapraszały go do swoich stolików między daniami. Miło mu się gawędziło ze współpasażerami. Ludzie na tym rejsie naprawdę są życzliwi i szczerzy, pomyślał. Na przykład Ryanowie - znaleźli się tu dzięki pieniądзом zebranych na badania nad rzadką chorobą, która odebrała im syna. Sposób, w jaki zdołali zamienić żalobę w coś konstruktywnego i pożytecznego dla wielu osób, sprawił, że Ted zaczął się zastanawiać nad sobą. Czy jego syn miał rację, czyniąc delikatną aluzję na temat uzalania się nad sobą? Nic takiego oczywiście nie powiedział wprost, jednak dało się to wyczytać między wierszami. Właściwie, Joan pewnie powiedziałaaby to wprost. Nie chciałaby, żeby Ted pogrążał się w żalu.

W kajucie obok przestał grać telewizor, za to słychać było zamykanie i otwieranie szuflad, a potem odgłosy rozmowy. Może ktoś pomagał Craterowi przygotować się do snu, tłumaczył sobie Ted, przewracając się na bok i okrywając szczelnie kocem głowę,

aby stłumić dźwięki.

Zasypiając, pomyślał, jak to dobrze, że spytał Maggie Quirk o Ivy Pickering. Maggie była zabawna w taki samokrytyczny sposób. Nie nosiła obrączki, więc chyba nie była zamężna. Wspomniała, że zamierza pobiegać o szóstej rano. Jeśli sztorm się uspokoi, pobiega wraz z nią.

Ted był rannym ptaszkiem, ale chciał mieć pewność, że nie zaśpi. Na wszelki wypadek włączył światło i nastawił budzik na piątą trzydzieści.

31

Wtorek, 27 grudnia, 3.45

Podobnie jak większość pasażerów, Maggie i Ivy poszły prosto do łóżek, kiedy tylko dotarły do swojej kajuty. Podczas sztormu trudno się było utrzymać na nogach, poza tym to był długi dzień. Maggie zasnęła zaraz po przyłożeniu głowy do poduszki, ale obudziła się koło czwartej. Zobaczyła przyjaciółkę siedzącą na łóżku.

- Dobrze się czujesz, Ivy? - zaniepokoiła się. - Chyba nie widziałas kolejnego ducha, co?

- Bardzo śmieszne, Maggie. - Ivy roześmiała się wbrew sobie.

- Wolalabym, żeby o to chodziło. Niedobrze mi. I cała się trzęsę.

- Zejdźmy na dół, do lekarza. Szybko - zarządziła Maggie, wyskakując z łóżka.

- Nie dam rady tam dojść. Za bardzo kręci mi się w głowie. Poleżę trochę. Może przejdzie. Maggie sięgnęła po szlafrok.

- W takim razie sama pójdę i wezmę dla ciebie jakieś lekarstwo.

- Nie chcę, żebyś płątała się sama po statku o tej porze - zaprotestowała Ivy. - Ale skoro nalegasz - jęknęła. - Nie spodziewałam się, że dostanę choroby morskiej - zakończyła słabo.

- Przyniosę ci kompres na czoło, a potem pobiegnę na dół.

Tony zapakował wszystko z powrotem i schował walizkę pod łóżko, nim Highbridge wyszedł spod prysznica. Miał plan, ale postanowił go zatrzymać dla siebie. Bardzo wcześnie w swojej gangsterskiej karierze nauczył się, że im mniej gadania, tym lepiej. Widok pustego opakowania po orzeszkach i papierków po czekoladkach rozwścieczył Barrona.

- Nie mogłeś mi zostawić chociaż okruszka?

- Byłem głodny - odpowiedział wrogo Pinto. - Wciąż jestem.

Zapadła pełna urazy cisza. Tony poszedł do łazienki. Highbridge rozwiesił tam swój kostium. Wypchał nogawki i rękawy ręcznikami, żeby nie powstały zagniecenia. Pinto spytał, czemu jest takim pedantem, na co Barron odparł, że zamierza iść z samego rana do bufetu po coś do jedzenia.

- Ale tobie nic nie przyniosę - zaznaczył cierpko.

Highbridge spał już na swojej połowie podwójnego łóżka, zanim Tony skończył się myć. Dziesiątka też się położył i wyłączył lampkę. Jak można spać w takiej sytuacji? dziwił się. Miał goniwstwę myśli - przede wszystkim musiał odzyskać swoje karty. A ten rejs to jedyna szansa na rozliczenie się z Eddiem Gordonem. Po zejściu ze statku na wyspie Fishbowl raczej nie będzie już okazji. Wątpliwe, by kiedykolwiek mieli znów na siebie wpaść przypadkiem. Musiał rozwalić kapusia. Był to winien ojcu. Nie chciał żyć z poczuciem wstydu przez resztę swoich dni, gdyby tego nie zrobił.

Wiedział, że to ryzykowne. Mimo to musiał spróbować. Zaczeka do czwartej w nocy. O tej godzinie zazwyczaj wszyscy śpią, korytarze będą puste. Słyszał, że wtedy umiera najwięcej ludzi. Więcej niż o jakiegokolwiek innej porze doby. Tony miał nadzieję dodać nową osobę do tej statystyki. Zamknął oczy, nie licząc na sen.

O trzeciej trzydzieści wstał. Nie mógł już dłużej czekać. Zaciął pasek szlafroka frotte, zarzucił na szyję gruby ręcznik i włożył ciemne okulary Gordona, które znalazł na nocnym stoliku. Dobrze, że nie były korygujące.

Na słabo oświetlonym korytarzu nie spotkał żywej duszy.

Przy windach wisiał plan statku ze szczegółowym rozmieszczeniem pomieszczeń. Tak jak się spodziewał Tony, szpital znajdował się na najniższym poziomie. Z planu zorientował się, które schodki wybrać. Nikogo po drodze nie spotkał.

Otworzył drzwi z nieskończoną ostrożnością i wszedł do upiornie cichej i wyludnionej poczekalni. Napis nad biurkiem oznajmiał: PIELĘGNIARKA NA DYŻURZE. PROSZĘ NACISNAĆ DZWONEK.

Przeszedł obok i ostrożnie uchylił drzwi prowadzące na wewnętrzny korytarz. Powoli, przy nikłym nocnym oświetleniu, zajrzał do pomieszczenia po swojej lewej stronie. Pielęgniarka spała na rozkładanym fotelu. Jej ciężki głęboki oddech świadczył o tym, że przynajmniej na razie nie będzie stanowiła problemu. Dla swojego własnego dobra powinna dalej spać.

Mężczyzna, który przysporzył jego rodzinie tylu cierpień, leżał w drugiej salce na prawo. Nawet w półmroku Tony od razu rozpoznał profil Eddiego Gordona, znanego teraz jako Crater.

Dziesiątka pomyślał o swojej matce wyruszającej co miesiąc przez piętnaście lat na długą wyprawę do federalnego więzienia w Allentown w Pensylwanii, by zobaczyć się z ojcem. Te wszystkie lata patrzenia na puste miejsce taty przy stole.

- To dla ciebie, tatku - szepnął, wchodząc do ciemnego pokoju.

Wyciągnął spod głowy Cratera poduszkę i szybkim zdecydowanym ruchem przycisnął ją do twarzy śpiącego mężczyzny.

Gdzieś w głębi otumanionego lekami umysłu Cratera/Gordona rozgrywał się koszmar. Nie mógł oddychać. Dusił się. Zaczął charczeć i machać rękoma. To się działo naprawdę. Nie śnił. Instykt samozachowawczy kazał mu złapać za poduszkę i zawzięcie nią szarpać. Czyjeś kciuki silnie wbijały mu się w szyję. Usłyszał szepot:

- Zasłużyłeś na to.

- Aaaaarrrrrrrgh! - Crater zdawał sobie sprawę, że jego krzyk dociera na zewnątrz jako zduszony jęk.

Dźwięk dzwonka z poczekalni rozległ się w pokoiku pielęgniarki.

Dziesiątka zamarł. Wciąż przyciskał z całej siły poduszkę do twarzy Cratera, zdając jednocześnie sprawę, że piekielny dzwonek z całą pewnością obudzi pielęgniarkę, a ktokolwiek go nacisnął, czeka w recepcji.

Zrobił jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji mógł zrobić: odrzucił poduszkę, wybiegł i schował się w salce obok.

- Aaaaaaaaaa.... - rozwrzeszczał się Crater.

Pielęgniarka przebiegła obok kryjówki Dziesiątki i skierowała się do pokoju Cratera. Tony, wciąż z ręcznikiem na szyi i w ciemnych okularach na nosie, otworzył drzwi do poczekalni. Opuścił szpital, nawet nie patrząc na kobietę, która właśnie siadała na jednym z krzeseł.

Crater usiłował zrozumieć, co się stało. Nie wyobraził sobie tego, ktoś naprawdę próbował go zabić. Od początku podejrzewał, że osoba, która kierowała całą operacją, umieściła na statku jeszcze kogoś prócz niego. Może obawiała się, że odurzony lekami zacznie sypać, i dlatego chciała go usunąć. Musiał wracać do swojej kajuty i siedzieć tam zamknięty na klucz do przylotu helikoptera.

- Co się stało, panie Crater? - Pielęgniarka zapaliła światło.

- Miałem zły sen - wychrypiał.

- Ale ma pan czerwoną szyję. I czemu poduszka leży w nogach?

- Kręcę się w nocy.

- Doktor Gephardt zalecił kolejną dawkę środka przeciwbólowego, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Nie! - Nie mógł już zmrużyć oka na tym statku. Paradoksalnie, po tej szarpaninie przestał go boleć kręgosłup. – Wracam do swojej kajuty.

- Wykluczone. Zalecenie lekarza. Będzie pan musiał z nim porozmawiać, kiedy przyjdzie na dyżur o siódmej.

- Nie ma mnie tu o siódmej zero jeden.

Ale pielęgniarka już wyszła.

Kilka minut później wyczerpana Maggie wracała na górę do kajuty z plastrem przeciw chorobie morskiej dla Ivy. Kiedy wreszcie ułożyła się do snu, ledwo patrzyła na oczy i nie czuła się najlepiej. Jednak nie miała zamiaru zrezygnować z przebieżki zaplanowanej na szóstą rano.

O ile radar jej nie zawodził, Ted Cannon będzie już czekał na pokładzie.

Elwira obudziła się za kwadrans szósta. Willy jeszcze spał w tej samej pozycji, w której zasnął.

Kołysanie statku złagodniało.

Elwira wstała cicho, umyła zęby i opłukała twarz zimną wodą. Włożyła dres i włączyła swój dyktafon. Najlepiej jej się myślało rano, z filiżanką kawy. Zanim podadzą pełne śniadanie, w barze serwują kawę, sok i drożdżówki od szóstej do siódmej.

Przyczepiła do lampki na biurku kartkę dla Willy'ego, po czym bardzo cicho i ostrożnie otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Zamknęła je za sobą najciszej, jak potrafiła, i pospieszyła do baru. Zdumiała się na widok otwierających się drzwi apartamentu komandora. Pojawił się w nich zaspany Eric w wymiętym dresie.

- Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje - zaczęła radośnie Elwira, próbując skorzystać z okazji i wciągnąć go w pogawędkę.
- Proszę napić się ze mną kawy. To takie miłe z pana strony, że udostępnił nam pan swój apartament. Spodziewam się napisać bardzo przychylny artykuł do mojej gazety i chciałabym wspomnieć również o panu.

Ericowi nie umknął błysk w jej oku i widział, że kobieta bacznie mu się przygląda. Wczoraj udał, że idzie spać do siebie, zostawiając uchylone drzwi, żeby widzieć, kiedy wuj zaśnie na kanapie albo pójdzie do swojej sypialni. Kłopot w tym, że zasnął wcześniej niż komandor i dopiero co się obudził z przerażającą świadomością, iż jest już ranek, a Crater wróci lada moment do swojej kajuty. Natychmiast zadzwonił do szpitala, a pielęgniarka potwierdziła jego obawy - chory czuł się lepiej i nalegał, by go wypisano, jak tylko lekarz przyjdzie na dyżur o siódmej. To znaczyło, że Eric ma tylko godzinę na zabranie Dziesiątki i Highbridge'a z kajuty Cratera i ukrycie ich gdzieś do momentu, kiedy Winston skończy poranne sprzątanie pokoi. Potem będzie mógł

ich przemyścić z powrotem do swojej sypialni.

- Dziękuję, pani Meehan, ale muszę zejść na dół do szpitala i sprawdzić, jak się czuje pan Crater, a potem wrócić do sypialni i ubrać się odpowiednio na rozpoczęcie dnia. - Roześmiał się i poklepał ją po ramieniu.

- Mój wuj może się wydawać łagodny, ale lepiej nie wystawiać na próbę jego cierpliwości. Dowodzi eleganckim statkiem.

Elegancki statek? - Pomyślała Elwira. Z tego, co widzę, ten elegancki statek płynie prosto do piekła.

- Może następnym razem - podsunęła ze słodyczą. - Uwielbiam światło wczesnego poranka, a pan? Mój mózg jest o tej porze na najwyższych obrotach. Pewnie pan wie, że mam opinię niezłego detektywa? Właśnie rano najczęściej przychodzą mi do głowy rozwiązania zagadek.

Na chwilę napięły się wszystkie mięśnie w karku Erica.

- A jakąż to zagadkę próbuje pani teraz rozwiązać? - udał zaciekawionego i rozbawionego.

- O, takie tam - odparła lekceważąco Elwira. Skręcało ją z chęci zapytania Erica, czy lubi chipsy ziemniaczane, ale wiedziała, że takie indagacje byłyby nieco od rzeczy i mogłyby zostać źle przyjęte. - Na przykład bardzo bym chciała wiedzieć, gdzie się podziały tamte dwa kostiumy Mikołajów. Nie są może wiele warte, ale kradzież to kradzież.,.

Eric nie miał ochoty ciągnąć tej rozmowy. Z każdym słowem wypowiedzanym przez tę kobietę jego serce biło coraz szybciej. Ta stara męcząca baba pogrywała z nim sobie, był tego pewien.

- Wierzę, że jest pani świetnym detektywem, pani Meehan. Proszę się napić porannej kawy, a ja pójde sprawdzic, co u naszego pacjenta.

Dotarli już do wind, ale Eric ruszył w kierunku pobliskich schodów. Chyba lubi ruch, skoro postanowił pobiec na dół do szpitala schodami, pomyślała Elwira. Ona nie zamierzała nadwierać kolan. Nacisnęła guzik ze strzałką w dół i czekała.

O szóstej zero cztery była już przy ekspresie do kawy i nalewała sobie tę cudowną pierwszą filiżankę. Zza ciężkich wahałdłowych drzwi kuchennych dobiegał brzęk naczyń. Chyba jestem pierwszym gościem, pomyślała Elwira. Po chwili jednak dostrzegła za oknem wysokiego Mikołaja, który prędko szedł w kierunku

ku rufy, niosąc tacę z kawą, sokiem i rogalikami.

Może to ten miły pan Cannon, pomyślała z nadzieją Elwira. Jest taki wysoki. Podbiegła do przeszklonych drzwi, otworzyła je i zawołała z uśmiechem:

- Hej, Mikołaju!

Ten rzucił jej szybkie spojrzenie przez ramię, ale zamiast zwolnić lub zawrócić, jeszcze przyspieszył kroku. Wtedy Elwira zauważyła - albo tylko tak jej się zdawało - że z jego czapki zwi-
sa tylko jeden dzwoneczek. Ruszyła w pościg za Mikołajem po śliskim pokładzie i zanim się zorientowała, co się dzieje, kubek z kawą wyleciał w powietrze, a ona sama runęła na podłogę jak worek kartofli, uderzając głową w jeden z leżaków.

Przez chwilę była całkowicie oszołomiona i z trudem łapała oddech. W głowie eksplodował jej potworny ból, po twarzy cie-
kła krew. Z niedowierzaniem spojrzała w górę. Mikołaja nigdzie nie było. Zaraz stracę przytomność, pomyślała. Odruchowo się-
gnęła po dyktafon.

- Jestem pewna, że mnie widział - relacjonowała omdlewają-
cym tonem. - Był wysoki, dlatego wzięłam go za Teda Cannona. Zdaje się, że brakowało mu przy czapce jednego dzwoneczka. Rozciąłam sobie czoło. Przewróciłam się, goniąc go, i teraz leżę na pokładzie...

Potem zemdląca. Jak przez mgłę widziała zamieszanie wokół siebie, jacyś ludzie ułożyli ją na noszach i zabrali do windy, ktoś przyłożył jej coś zimnego do czoła. Kiedy odzyskała przytomność, napotkała zaniepokojony wzrok Willy' ego.

- To było niezłe ładowanie, kotku - zażartował. - Nie ruszaj się.

Głowa jej pękała, ale Elwira miała nadzieję, że nie doznała poważniejszych obrażeń. Poruszyła palcami u rąk i nóg. Chyba w porządku. Uniosła ramiona i odetchnęła z ulgą. Kręgosłup w porządku.

Obok Willy'ego stał doktor Gephardt w rozpiętym fartuchu. - Pani Meehan, to było paskudne uderzenie w głowę. Założymy szwy i zrobimy prześwietlenie. Proszę się szczególnie oszczędzać przez najbliższych kilka godzin.

- Nic mi nie będzie - zaprotestowała. - Proszę mi wierzyć, coś dziwnego dzieje się na tym statku.

- Co masz na myśli, kochanie? - zainteresował się Willy. Głowa Elwiry może i pękała z bólu, za to jej umysł zaczynał się przejaśniać.

- Zobaczyłam jednego z Mikołajów, zaraz po tym, jak nalałam sobie kawy. Myślałam, że to ten uroczy Ted Cannon...

- Jest w poczekalni - przerwał jej Willy. - Biegał z Maggie. To oni cię znaleźli. Mówiłaś coś...

- Do dyktafonu - wyjaśniła.

- A potem straciłaś przytomność.

- Oczywiście Ted by mnie tak nie zignorował. Ale ten Mikołaj, którego widziałam, nie chciał ze mną rozmawiać. Odwrócił się, spojrzął na mnie i poszedł dalej. No i brakowało mu jednego dzwoneczka przy czapce! Mówię ci... na pewno miał na sobie jeden z tych skradzionych kostiumów. Musimy się dowiedzieć, kim on jest i gdzie się podział! Zawołajmy Dudleya, Regan i Jacka.

- Regan, Jack, Luke i Nora już tu są. W poczekalni.

- Wpuść ich! - zażądała Elwira.

- Pani Meehan, nie może się pani tak przejmować... - zaczął doktor Gephardt.

- Nic mi nie jest - zniecierpliwiła się. - Nie takie upadki zaliczyłam. Moja rodzina jest znana z twardych głów. Nie mogę być spokojna, wiedząc, że na statku jest złodziej, który coś knuje!

U słyszeli podniesiony głos dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia:

- Gdzie jest lekarz? Chcę z nim rozmawiać. Natychmiast!

- Proszę wybaczyć na moment. - Doktor Gephardt pośpieszył do drzwi.

- To na pewno pan Crater - powiedziała Elwira do Willy'ego.

- Jak na kogoś, kto o mało się wczoraj nie przeniósł w lepsze miejsce, ma całkiem sprawne struny głosowe.

- Tak, najwyraźniej już mu lepiej - zgodził się Willy. - Zawołałam Reillych.

- Niech Maggie i Ted też wejdą. Mamy robotę.

Przez kilka minut, zanim wszyscy znaleźli się w pokoju, Elwira rozmyślała o Ericu. Miał zejść prosto tutaj, do Cratera. Coś jej

mówiło, że tego nie zrobił.

- Elwiro! Jak się czujesz, moja droga? - dopytywała się Nora.

- Świetnie. Nigdy nie czułam się lepiej.

- Co się stało?

Elwira opowiedziała historię o nieuprzejmym Mikołaju. Ted i Maggie już wcześniej zdali Reillym relację z tego, jak znaleźli Elwirę rozciągniętą na pokładzie.

- Jestem prawie pewna, że nie miał jednego dzwoneczka przy czapce - powtarzała kolejny raz Elwira. - Dudley powinien przejrzeć wszystkich osiem kostiumów i sprawdzić, czy przy każdym są dwie ozdoby. Jeśli tak, to ewidentnie widziałam kogoś w kradzionym stroju. Moglibyśmy zaangażować w sprawę wszystkich naszych Mikołajów. Oznaczylibyśmy w jakiś sposób ich stroje i gdyby ktoś spotkał na statku fałszywego Mikołaja, od razu by wiedział. .. Ktoś potrzebował tych kostiumów właśnie po to, żeby poruszać się po statku, nie wzbudzając podejrzeń. Jedna lub dwie osoby. Takie jest moje zdanie.

- Jesteś pewna, że on słyszał, jak go wołałaś? - naciskała Regan.

- Całkowicie. Odwrócił się, ale nie widziałam jego twarzy pod tą brodą. - Zwróciła się do Teda. - Kiedy stał do mnie tyłem, myślałam że to pan. Był wysoki.

- W takim razie cieszę się, że mam alibi i wiarygodnego świadka - uśmiechnął się Ted.

- To ja, pani Wiarygodna - radośnie potwierdziła Maggie.

Jack potrząsnął głową.

- Podejrzanie, że ktoś ukradł kostiumy, żeby móc poruszać się swobodnie po statku, ma sens. Nie wydaje mi się, by którykolwiek z naszych Mikołajów wstawał o świcie i wkładał swój kostium, idąc na kawę.

- To niedorzeczne! - wykrzyknęła Elwira. - Na dole nie było żywej duszy, więc dla kogo się wystroił? Na pewno nie dla mnie.

- Ja zawsze chętnie się dla ciebie wystroję - zapewnił żarliwie Willy, biorąc ją za rękę.

- Wiem, Willy - odrzekła ciepło.

Pielęgniarka zajrzała do sali.

- Jak się czujemy, pani Meehan?

- Ja czuję się świetnie - cierpko odparła Elwira. - A pani?

Jeśli coś było w stanie wyprowadzić ją z równowagi, to właśnie używanie liczby mnogiej przez personel medyczny.

Pielęgniarka puściła pytanie mimo uszu. Omiatając wzrokiem pomieszczenie, dostrzegła Maggie.

- Wcześniej pani dziś wstała, zważywszy, że była tu pani w środku nocy. Jak się miewa przyjaciółka?

- Spała, kiedy wychodziłam. - Wszyscy zebrani popatrzyli na nią pytająco. - Ten plaster bardzo pomógł Ivy - wyjaśniła.

- To była burzliwa noc. Rozdaliście pewnie sporo tych plastrów - powiedział domyślnie Luke.

- Mieliśmy duży ruch do północy. Potem naszą jedyną pacjentką była pani Quirk. Aż do wypadku pani Meehan.

- Co się stało, Maggie? - spytała Elwira, zaalarmowana wyrazem niedowierzania na jej twarzy.

- Nic. Po prostu sądziłam, że mężczyzna, który wychodził stąd wczoraj, kiedy tu byłam, to też pacjent.

Pielęgniarka otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale się zawahała. Stał za nią doktor Gephardt, który oczywiście słyszał całą wymianę zdań.

- Czy w nocy był tu ktoś jeszcze mniej więcej w czasie, kiedy pan Crater miał ten swój koszmar? - Gephardt pytał poważnie i z wyraźnym zaniepokojeniem.

- Mnie nic o tym nie wiadomo - odparła siostra z przekonaniem i urazą.

- Według naszych zapisków była tu pani koło czwartej nad ranem - zwrócił się lekarz do Maggie.

- Zgadza się - przyznała.

- I twierdzi pani, że widziała mężczyznę wychodzącego stąd do poczekalni?

- Widziałam. Siedziałam na krześle, tyłem do niego, a on przeszedł tuż obok.

- Jak wyglądał? - zapytała z przejęciem Elwira.

Maggie zawahała się przez chwilę-

- To właśnie mnie dręczy i wiem, że zabrzmi dziwnie...

- I tak powiedz - nalegała pani Meehan.

Maggie potrząsnęła głową i skrzywiła się-

Wyglądał jak Louie Lewy Sierpowy.

Eric dotarł na poziom, na którym mieściła się kajuta Cratera, i ujrzał Jonathana, stewarda obsługującego tę część statku, wychodzącego z apartamentu na końcu korytarza. Któryś z rannych ptaszków zamówił pewnie kawę do łóżka, pomyślał, chowając się za rogiem. Nie miał żadnego powodu, żeby tu być, i gdyby Jonathan go zauważył, musiałby się jakoś wytłumaczyć. Zszedł trzy poziomy w dół, po czym zawrócił i wolno ruszył z powrotem na górę.

Tym razem nie było śladu stewarda. Zamiast niego ku swojemu przerażeniu zobaczył wysokiego Świętego Mikołaja z tacą, pukającego do drzwi kajuty Cratera. Rozpoznał Highbridge'a. Po chwili drzwi się otworzyły, a Highbridge błyskawicznie zniknął w środku. Z kluczem w ręku Eric przegalopował przez korytarz i otworzył sobie zamek. Highbridge odstawiał właśnie tacę na stolik. Zerwał brodę i zwrócił się do Erica:

- Cóż za miła niespodzianka! Już myślałem, że skreśliłeś nas ze swojej listy.

- Muszę was stąd zabrać. Crater żąda natychmiastowego wypisania ze szpitala. Lekarz zaczyna pracę dopiero o siódmej, ale wcale nie jest powiedziane, że Crater będzie na niego czekać.

Dziesiątka już rzucił się najedzenie. Z pełnymi ustami wrogo warknął w kierunku Erica:

- No dobrze, pupilku wujaszka, gdzie zamierzasz nas teraz umieścić? - Nie czekając na odpowiedź, kontynuował: - Za dwadzieścia trzy godziny będziemy wystarczająco blisko Fishbowl, żeby mogli nas zabrać nasi ludzie. Lepiej dla ciebie byłoby, gdyby wszystko się udało. - Obrzucił go długim i zimnym spojrzeniem.

Eric panicznie bał się Dziesiątki. Przebywanie z nim to jak dzielenie klatki ze wściekłym lwem. Wrócił myślami do chwili, kiedy zgodził się przemycić na statek dwóch przestępców. Wtedy wszystko wydawało się takie łatwe. Milion dolarów od każdego za przechowanie ich przez niecałe czterdzieści osiem godzin. To wychodziło po ponad czterdzieści jeden tysięcy na godzinę. Jakże

mógł zlekceważyć taką żyłę złota? A teraz, jeśli ich nakryją, te lotry wydadzą go jako swojego współnika. Nic nie da wypieranie się, nie uda mu się sfałszować testów na wariografie.

Wytrzymał spojrzenie Dziesiątki.

- Wszystkie te kłopoty wynikły z twoich podskoków w kaplicy - wygarnął, broniąc się. - Miałeś nie zdejmować kostiumu. Gdyby ktoś cię zobaczył, pomyślałby, że się modlisz, medytujesz albo coś. Chodźmy już stąd. Muszę was przeszmygłować na górę, a potem wrócić tu i posprzątać. Ubieraj się, Tony.

- Nie próbuj zrzucić winy na mnie - odburknął Dziesiątka. - Dokąd idziemy?

- Z powrotem do kaplicy.

- Zgłupiałeś czy co?

- Tymczasowo, dopóki nie będziecie mogli wrócić do mojego pokoju. Nie ma innego miejsca, w którym moglibyście się ukryć.

- Oby twój wuj nie modlił się za jakiś czas w tej kaplicy za twoją duszę - podsumował Dziesiątka, kończąc swoją kawę.

Wczoraj rzucił kostium niedbale na podłogę i przebrał się w szlafrok. Teraz musiał włożyć zmięte wilgotne ubranie. Skomentował to stekiem wyzwisk. Z brody powstała dziwna mokra masa o kwaśnym zapachu. Po nałożeniu jej na twarz zaczął kichać.

- Pójdę pierwszy - poinstruował Eric. - Musimy się tylko przemknąć na schody. Potem raczej nikt nas nie zobaczy. Jest jeszcze bardzo wcześnie. - Uchylił odrobinę drzwi i nasłuchiwał. Z korytarza nie dochodziły żadne dźwięki. Jonathana nie było. - Chodźcie - szepnął nagłoco do Dziesiątki i Highbridge'a.

Było dopiero dwadzieścia pięć po szóstej. Na statku panowała cisza. Winston nie pojawił się na najwyższym pokładzie jeszcze przynajmniej przez dwadzieścia minut. Polecono mu przynosić śniadanie dla komandora o siódmej piętnaście każdego ranka. Wujek Randolph niedługo się obudzi, zdał sobie sprawę Eric. Od szóstej czterdzieści pięć do siódmej piętnaście ćwiczy jogę, a wspominał, że zamierza poświęcać jeszcze więcej czasu na ćwiczenia, aby udoskonalić pozycję lotosu.

Jeden pokład do góry i na razie wszystko dobrze. Dwa. Trzy.

Cisza koła skołatane nerwy Erica. Skręcili w prawo, w korytarz wiodący do kaplicy. Eric otworzył drzwi i zajrzał do środka. Dzięki Bogu żadnych porannych modłów. Poprowadził dwóch zbiegów obok ławek.

- Pod ołtarz i tym razem nie ruszać się stamtąd - rozkazał. Wróć po was za jakieś dwie godziny. Lokaj wuja posprząta i pościeli łóżka, a potem nie zbliży się do mojego pokoju aż do wieczora. Skombinuję wam coś do jedzenia.

Dziesiątka ukucnął. Eric dopiero teraz zauważył, że Tony trzyma pod pachą skórzaną zasuwaną walizkę.

- Skąd to masz? - spytał.

- Znalazłem na zewnątrz wczoraj, kiedy mokliśmy - odpowiedział z przekąsem gangster. - Coś jeszcze. Zostawiłem karty do gry w szafce nocnej w twoim pierwszym pokoju, gdzie powinniśmy teraz być. Przynies je, to bardzo ważne.

Karty! Eric przypomniał sobie Willy'ego Meehana, który chciał mu je zwrócić.

- Nie wiedziałem... - zaczął.

- Jak to, nie wiedziałeś?

- Nic. Nic. Przyniosę. Muszę już iść.

Była szósta trzydzieści jeden. Eric wyskoczył z kaplicy i już po minucie znalazł się w magazynku niedaleko apartamentu wuja. Chwycił ręczniki i dwa szlafroki, żeby zastąpić nimi te, których używali Dziesiątka i Highbridge. Wrzucił je do plastikowej torby. Ci dwaj mogliby być nieco porządniejsi, pomyślał, przypominając sobie papierki po cukierkach na biurku. Może jeszcze powiesz tabliczkę na drzwiach: PRZESTĘPCY. ZAPRASZAMY.

Jak na kogoś, kto nigdy po sobie nie sprzątał, działał z zadziwiającą sprawnością. Wrócił do kabiny Cratera. Zastąpił mokre ręczniki świeżymi, wyplukał i wytarł szklanki, wypolerował lustro nad umywalką i szklane drzwi kabiny prysznicowej oraz powiesił w szafie czyste szlafroki. Wczoraj podczas kolacji Jonathan pościelił łóżko Cratera i zasunął zasłony. Eric poprawił poduszki i wygładził kapę na pościeli. Jakkolwiek spali ci idioci, przynajmniej nie wleźli pod narzutę, więc nie trzeba było zbyt wiele robić. Czyżby Dziesiątka ukradł walizkę z tej kajuty?, zastanowił się nerwowo Eric. Jeśli tak, rozpęta się piekło.

Za dziesięć siódma. Musiał zejść na dół, do szpitala, żeby móc powiedzieć wujowi, że odwiedził Cratera. Najpierw jednak pobiegł nad basen i rzucił brudne ręczniki wraz ze szlafrokami na leżak. Dotarł do szpitala akurat w chwili, kiedy doktor Gephardt przewoził chorego na wózku do poczekalni.

- Panie Crater - mówił. - Z pana karty wynika, że ma pan poważne problemy zdrowotne. Sugeruję, żeby po powrocie do pokoju poszedł pan prosto do łóżka i został w nim. Przeżył pan wstrząs nerwowy.

Crater miał zaczerwienioną twarz i dwa siniaki na szyi. Czy zrobili je niechący sanitariusze, układając go na noszach? - zastanawiał się Eric.

- Panie Crater - zaczął. - Mój wuj, komandor...

Crater popatrzył na niego podejrzliwie.

- Odejdź - zasugerował nieprzychylnie.

- Wszystkim nam jest niezmiernie przykro z powodu tego, co się stało. Będę panu towarzyszył w drodze do kajuty - powiedział stanowczo Eric.

- Mogę cię prosić na moment, Ericu? - spytał Gephardt.

- Nie teraz. Chcę odprowadzić pana Cratera do pokoju, gdzie mu będzie najwygodniej.

- Zatem wróć, proszę.

Aha, pomyślał Eric, popychając przed sobą wózek.

- Natychmiast - obiecał.

Pod drzwiami kajuty poprosił Cratera o klucz. Nie chciał, żeby mężczyzna dowiedział się, iż ktoś ma drugi. Ericowi ulżyło, gdy tamten nie zauważył żadnej różnicy w środku. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo, jak kiedy opuszczał je zeszłego Wieczoru.

- No dobrze, odprowadziłeś mnie. Teraz zostaw mnie w spokoju - polecił Crater, wstając.

Ten facet się boi, odkrył Eric. To wariactwo, ale zdaje się, że go przestraszyłem.

- Już idę, proszę pana. Proszę dać znać, gdyby pan czegoś potrzebował.

- Potrzebuję. Znajdź mój telefon komórkowy. Już powiedziałem tym ze szpitala, musiał mi wypaść z kieszeni, kiedy te smarkule mnie przewróciły.

- Znajdę, niech się pan nie martwi. Proszę się kurować. Przy najmniej mam co powiedzieć wujowi Randolphowi, pocieszał

się, pchając wózek z powrotem.

Doktor Gephardt był w swoim gabinecie.

- Wejdz, Ericu - poprosił cicho.

Ten został w progu.

- Tylko szybko. Muszę wziąć prysznic i się ubrać. Mój wujek będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

- Ericu, musiałeś zauważyć te siniaki na szyi pana Cratera.

- Zauważyłem.

- Ktoś próbował go udusić dziś w nocy.

- O czym ty mówisz? - nie dowierzał Eric.

- Mówię, że ktoś usiłował zabić jednego z pacjentów. Musimy poinformować komandora i wszcząć alarm.

Eric próbował się skupić.

- Czy Crater powiedział, że ktoś próbował go zabić?

- Zaprzecza temu.

- Więc o co ci chodzi?

Gephardt powiedział mu. Wspomniał również, że Maggie Quirk, która zeszła do szpitala o czwartej, zobaczyła nieznanego mężczyznę przechodzącego przez poczekalnię.

- Zwariowałaś. Po co Crater miałby zaprzeczać, gdyby ktoś go próbował udusić?

- Dobre pytanie. Ale tak właśnie było. Pani Quirk przyszła w samą porę, inaczej siostra Puch po przebudzeniu znalazłaby zwłoki naszego pacjenta.

Eric uczeplił się faktu, iż Crater wszystkiemu zaprzeczał.

- Zdajesz sobie sprawę, jakie to niedorzeczne twierdzić, że doszło tu do usiłowania zabójstwa, skoro ofiara się tego wypiera?

- Nie bardziej niż pozwolić, żeby po statku chodził niedoszły morderca! Natychmiast powinniśmy wszcząć poszukiwania tego człowieka. Z tego, co mówi pani Quirk, do złudzenia przypomina Louiego Lewego Sierpowego, tego pisarza, którego zdjęcia są porozwieszane na statku. To samo opowiadała wczoraj wieczorem pani Pickering o mężczyźnie w kaplicy, prawda?

Eric zamarł. On mówi o Dziesiątce. Czy ten głupek wyszedł z pokoju?

Zaczął się jękać.

- W-w-więc radzisz, żebyśmy ruszyli w pościg za duchem? Coś takiego oznacza koniec firmy komandora. Okaż odrobinę lojalności, doktorze, i zapomnij o tych niedorzecznych histori-
kach.

Elwira wstała, aby pójść do łazienki, i usłyszała każde słowo tej rozmowy. O rany, pomyślała, to naprawdę coś. Jakie szczęście, że rozbiłam sobie głowę i trafiłam na taką aferę.

Po swoim szokującym wyznaniu Maggie zaczęła się gęsto tłumaczyć.

- Wiem, że to brzmi jak urojenia wariatki – usprawiedliwiała się, mając na myśli swoje słowa na temat nocnego gościa przechodzącego przez poczekalnię.

- Smutne, ale po tym co już się wydarzyło, to nie brzmi ani trochę jak urojenia wariatki - oświadczyła Elwira.

Wreszcie Maggie i Ted wyszli, by dokończyć przerwany bieg, a doktor Gephardt nerwowo poprosił Reillych o opuszczenie izolatki. Chciał zszyć ranę na głowie Elwiry i zrobić prześwietlenie.

- To nie potrwa długo - obiecał. - Potem, jeśli pani Meehan poczuje się na siłach, będzie mogła wyjść i posiedzieć na leżaku. Tylko żadnych wyszcigów - spróbował zażartować.

Regan, Jack, Nora i Luke poszli do restauracji. Pogoda dziś już była przepiękna. Nałożyli sobie jedzenie ze szwedzkiego stołu i zanieśli tace do narożnego stolika. Dobry punkt obserwacyjny i bezpieczne miejsce do rozmowy. Regan, zadzwoniła do Dudleya, opowiedziała o wypadku Elwiry i poprosiła, by do nich przyszedł.

- To pilne - ponagliła.

Dudley, który pół nocy siedział nad swoim drugim oświadczeniem dla prasy, wychwalającym radosną atmosferę „Rejsu ze Świętym Mikołajem”, prawie zemdłał, kiedy usłyszał o złośliwym Mikołaju. To musiał być ktoś ubrany w jeden ze skradzionych kostiumów, pomyślał. Nawet ten nieszczęsny Bobby Grimes nie zostawiłby na pastwę losu pani Meehan leżącej na pokładzie.

- Już idę - zachrypiął do słuchawki.

Łóżko miał zawalone papierami, tak samo biurko i podłogę.

Były to rezultaty wysiłków twórczych - próbował przedstawić wypadki pierwszego dnia jako nieszkodliwe i nieistotne oraz podkreślić radość szlachejnych wycieczkowiczów żeglujących ramię w ramię.

Czekając na Dudleya, Regan i Jack dali znak kelnerowi, by jeszcze raz napełnił ich filiżanki kawą.

- Był tu pan, kiedy otwieraliście o szóstej? - wypytywał Jack.
- Tak, proszę pana.
- Zwrócił pan uwagę na mężczyznę w stroju Świętego Mikołaja? Był jednym z pierwszych klientów.
- Był pierwszym klientem - zaśmiał się kelner. - Jak sądzę, to jeden z dwóch Mikołajów, którzy przyszli na wczorajszy nocny bufet również pierwsi.

Czwórka Reillych popatrzyła na siebie.

- Otwieracie bufet natychmiast po kolacji?
- Cóż mogę państwu powiedzieć? Ludzie lubią jeść na statkach. Otwieramy bufet o dwudziestej trzeciej. Dopiero nakrywaliśmy do stołu, kiedy przyszło tych dwóch. Nie mieli zbyt dużego wyboru. Nabrali serów, krakersów i winogron.
- Może przegapili kolację? - zasugerował Luke.
- Na kolacji było ośmiu Mikołajów w kostiumach - powiedziała z przekonaniem Nora. - Jestem tego pewna.
- Czy podać coś jeszcze? - przypomniał o sobie kelner.
- Nie, nie. Dziękujemy - odparła Regan.

Kelner odszedł, za to pojawił się Dudley. Wczoraj promienny kierownik rejsu dziś wyglądał, jakby potrzebował środka uspokajającego i solidnej drzemki.

- Dzień dobry - odruchowo próbował nadać głosowi zawodowy radosny ton. Usiadł z nimi. - Czuję się po prostu strasznie z powodu pani Meehan...
- Dudley - przerwał mu Jack, przechodząc prosto do sedna sądzimy, że na statku jest przynajmniej jedna osoba, a najprawdopodobniej dwie, które noszą ukradzione przebrania. Pani Meehan była prawie pewna, iż Mikołaj, którego widziała dziś rano, nie miał jednego dzwonka przy czapce. Chcielibyśmy, aby zwołał pan jak najszybciej zebranie wszystkich dziesięciu Mikołajów i poprosił o przyniesienie kostiumów. Będziemy mogli sprawdzić,

czy przy wszystkich ośmiu jest komplet ozdób. Jeżeli tak, zyskamy pewność. Ktoś używa tych skradzionych rzeczy, by chodzić w nich po statku, ukrywając się.

Dudley przyłożył dłoń do serca, jakby próbując zwolnić jego bicie.

- Zrobię wszystko, co pan powie.

Regan opowiedziała mu o tym, co widziała Maggie Quirk.

- Och, dobry Boże - westchnął Dudley. - Wiecie, panna Quirk i panna Pickering są współlokatorkami i obie należą do Klubu Czytelników i Pisarzy organizującego akcję uczczenia pamięci Louiego Lewego Sierpowego. Może wszystko to jakiś jeden wielki żart, który sobie we dwie zaplanowały!

Wszyscy Reilly potrząsnęli głowami.

- Tak byłoby najlepiej dla wszystkich - powiedział Jack. - Ale my w to nie wierzymy. Jesteśmy przekonani, że na statku znajduje się co najmniej jedna osoba, która ma swoje własne plany związane z tym rejsiem. Potrzebuję od pana listy pasażerów i załogi. Moje biuro sprawdzi wszystkich na pokładzie.

Kierownik zamierzał się sprzeciwić, kiedy zjawiła się Elwira z Willym u boku. Miała bandaż na czole.

- Juuu-huu! - krzyknęła. - Nie uwierzycie w to, co wam powiem! - Spojrzała na Dudleya. - Na pewno i tak by się pan o tym dowiedział, więc równie dobrze może pan usłyszeć ode mnie. Ktoś próbował zabić pana Cratera wczoraj w nocy w szpitalu. On co prawda temu zaprzecza... To musiał być ten facet, którego widziała Maggie, jak przechodził przez poczekalnię, ten podobny do Louiego Lewego Sierpowego.

Dudley jęknął.

- Przyniosę te listy. Teraz. Natychmiast.

Skoczył na równe nogi i wybiegł, ledwie dotykając stopami podłogi. Chwytał tylko po drodze kubek z kawą.

Dzwonek telefonu Harry'ego Cratera obudził o siódmej trzydzieści Gwendolyn i Frederickę. Dziesięcioletnia Fredericka usiadła na łóżku, pogrzebała w swojej torebce, znalazła aparat i odebrała.

- Dzień dobry! Mówi Fredericka! - zawołała przyjaźnie, zgodnie z tym, czego uczono ją na lekcjach dobrych manier. - Witam ciepło. Proszę, przedstaw się.

- To chyba pomyłka - wymamrotał szorstki głos.

Fredericka usłyszała dźwięk odkładanej słuchawki.

- Co za brak kultury! - oburzyła się. - Jeśli ktoś wybierze niewłaściwy numer - wyjaśniła siostrze - osobie, która odebrała, należą się grzeczne przeprosiny za zakłócenie jej spokoju. Cóż, nieważne, czas na nas. Musimy zejść do szpitala i rozweselić wujka Harry'ego.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Moja kolej! - wykrzyknęła ośmioletnia Gwendolyn, wyciągając rękę po aparat.

- Dzień dobry! Mówi Gwendolyn!

Gwendolyn usłyszała w słuchawce zakazane słowo.

- Co to za numer? - spytał ktoś po chwili.

- Nie wiem. To telefon wujka Harry'ego.

- Wujka Harry'ego! A gdzie on, do cholery, jest?

- W szpitalu. Właśnie idziemy go odwiedzić.

- Co mu się stało?

- Przewrócił się i nie mógł wstać, więc musieli go wynieść z jadalni na noszach!

Gwendolyn usłyszała to samo zakazane słowo, a potem ostrą komendę:

- Powiedz mu, żeby natychmiast zadzwonił do swojego lekarza domowego!

- Dziękuję, panie doktorze. Przekażę informację. Życzę miłego dnia.

Rozłączyła się.

- Ten lekarz nie był zbyt grzeczny. Trochę niecierpliwy - powiedziała siostrze.

- Większość starych ludzi jest niecierpliwa - odparła pobłażliwie Fredericka. - Wszyscy, którym składamy rano wizyty, są niezadowoleni i niezbyt grzeczni. Naszym zadaniem jest ich uszczęśliwić, ale to coraz trudniejsze. Ubierzmy się i chodźmy.

Trzy minuty później obie miały na sobie identyczne szorty i koszulki z napisem „Rejs ze Świętym Mikołajem”. W rękach trzymały laurki, które pozwolono im narysować dla wujka Harry'ego poprzedniego wieczoru przed pójściem spać. Dzieło Fredericki przedstawiało słońce wschodzące nad górami. Tematem obrazka Gwendolyn był helikopter lądujący na statku. Najciszej jak potrafiła, Fredericka uchyliła drzwi łączące ich kajutę z sypialnią rodziców. Przez szparę usłyszała chrapanie obydwojga.

- Sytuacja normalna - obwieściła siostrze. - Idziemy. Wróćmy, zanim się obudzą.

W szpitalu pielęgniarka z dziennej zmiany, Allison Keane, powiedziała im, że pan Crater już wrócił do swojej kabiny.

- Nie sądzę, aby miał ochotę przyjmować gości - dodała.

Dziewczynki wyciągnęły przed siebie swoje dzieła.

- Ale my narysowałyśmy to dla niego!

- Jakie śliczne - zachwyciła się nieszczercze siostra Keane. - Zostawcie je tutaj, zaniesiemy mu.

- Ale my chcemy go zobaczyć. Kochamy wujka Harry'ego!

- Przykro mi. Nie mogę wam podać numeru jego pokoju - stanowczo powiedziała pielęgniarka.

- Ale... - zaczęła protestować Gwendolyn. Fredericka szturchnęła ją łokciem.

- To nic nie szkodzi. Może przyjdzie później na kolację. Dziękujemy, siostrze Keane. - Fredericka dygnęła grzecznie i dziewczynki wybiegły.

- Ale ja chciałam zobaczyć wujka Harry'ego - marudziła Gwendolyn.

- Za mną!

Fredericka podeszła do telefonu stacjonarnego na stoliku w holu. Podniosła słuchawkę i poprosiła o połączenie z kajutą Harry'ego Cratera. Kiedy odebrał, sprawiał wrażenie wściekłego.

- Jak się czujesz, wujku? - spytała Fredericka, przedstawivszy się wcześniej jak należy.

- Parszywie. Czego chcesz?

- Narysowałyśmy dla ciebie obrazki i chcemy ci je dać. Wiemy, że dzięki nim poczujesz się o niebo lepiej.

- Odpoczywam. Dajcie mi spokój.

- Mamy też twój telefon komórkowy.

Nadeszła kolej Fredericki, by usłyszeć zakazane słowo.

-Gdzie jesteście?

- Gdzie ty jesteś, wujku Harry? Przyniesiemy ci.

Crater podał numer kabiny i po kilku minutach dziewczynki pukały do jego drzwi. Otworzył, ale było jasne, że nie zaprosi ich do środka.

- Dzwonił twój lekarz! - poinformowała go Fredericka. - Chce, żebyś do niego oddzwonił.

- No pewnie - wybełkotał Crater, łapiąc za telefon.

- A oto nasze rysunki! - powiedziała z dumą Gwendolyn. - Jeśli masz taśmę klejącą, powiesimy je na ścianie.

Crater gapił się na obrazek z helikopterem lądującym na statku. - Kto to narysował? - spytał ostro.

- Ja! - odparła dumnie Gwendolyn. - Będę się kiedyś mogła przelecieć twoim helikopterem?

- Skąd wiesz, że mam helikopter?

- Wczoraj wieczorem, kiedy cię zabrali do szpitala, ktoś powiedział do mamusi i tatusia, że gdybyś poczuł się gorzej i mógł umrzeć czy coś, przyleciałby twój helikopter, żeby cię zabrać. Ale fajnie!

- Tak, tak. Słuchajcie, dziewczyny, muszę odpoczywać.

- Wrócimy później sprawdzić, czy znów się nie przewróciłeś. Lubimy się troszczyć o starych schorowanych ludzi.

Crater zatrzaskał za nimi drzwi.

Dziewczynki wzruszyły ramionami, słysząc dźwięk klucza w zamku.

- Jakby powiedział tatuś: „Żaden dobry uczynek nie ujdzie bezkarnie” - skomentowała Gwendolyn. - Ale Bóg nas widzi i uśmiecha się z nieba.

- Chodźmy po kawę dla mamusi i tatusia. Zaniesiemy im do pokoju - zaproponowała Fredericka. - Wiesz, jak mamusia potrzebuje rano kawy.

Dziewczynki pobiegły korytarzem z wdziękiem stada słoń, zamierzając zrobić drugi dobry uczynek tego dnia.

Komandor siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze salonu w swoim apartamencie, próbując osiągnąć wewnętrzny spokój. Wciąż miał na sobie piżamę w biało-niebieskie paski. Zbierał siły, aby obejrzeć lokalne wiadomości z Miami, które za chwilę powinny się pojawić na ekranie jego telewizora ze specjalną anteną satelitarną. W tej sytuacji wewnętrzny spokój to marzenie ściętej głowy. Dotąd wyobrażał sobie, że „Royal Mermaid” przyniesie mu ukojenie, za którym tak tęsknił po trzech nieudanych małżeństwach i śmierci ukochanej matki. Nic z tego.

Komandor jeszcze nic dziś nie zjadł.

Eric wrócił do apartamentu i opowiedział mu o wypadku Elwiry Meehan, właśnie kiedy Winston podawał śniadanie. Co jeszcze może się zdarzyć?, zastanawiał się niewesoło Randolph. Jakby w odpowiedzi na jego pytanie rozległ się dźwięk czołówki wiadomości o ósmej.

- Dzień dobry wszystkim - odezwał się radośnie z ekranu telewizora przystojny prezenter z twarzą wygładzoną botoksem, uśmiechając się do kamery. - Mamy dwudziesty siódmy dzień grudnia. Najważniejszym tematem dzisiejszego poranka są zakrojone na szeroką skalę poszukiwania Tony'ego Pinto. Kilka osób twierdziło, że go widziały blisko granicy meksykańskiej i w Kanadzie. Wszystkie doniesienia okazały się jednak fałszywe. Jego żona, pozostająca w rezydencji w Miami, utrzymuje, iż bardzo się martwi o „swojego Tony'ego”, jak go nazywa. Twierdzi, że już go nie było, kiedy się obudziła wczoraj rano. Obawia się, iż stres spowodowany zbliżającym się procesem mógł go załamać, wyparł mu z pamięci dotychczasowe życie i teraz biedak błąka się gdzieś, potrzebując pomocy. Oferuje nagrodę w wysokości tysiąca dolarów każdemu, kto wskaże jego miejsce pobytu.

- Tysiąc dolarów! Nie rozśmieszajcie mnie - wymamrotał komandor.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - warknął.

Do pokoju wszedł Dudley. Szef dał mu znak, aby był cicho.

- ... Pani Pinto rozprawdza po całym mieście ulotki z podobną Dziesiątki trzymającego przed sobą Nagrodę dla Honorowego Obywatela wręczoną mu przez niezidentyfikowaną organizację.

Czy powinienem uciec i ukryć się gdzieś przed kłopotami? - rozważał ponuro komandor. Moje dni na morzu miały być bez troskie...

- A teraz - kontynuował prezenter - Bianca Garcia opowie nam coś więcej o „Rejsie ze Świętym Mikołajem”, który rozpoczął się w porcie w Miami niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Bianco?

Kamera przesunęła się, ukazując reporterkę. Mimo zaledwie kilku godzin snu nigdy nie wyglądała bardziej kwitnąco. W marzeniach była już w Centrum Rockefellera, prowadząc program Today.

- Adamie, powiem ci jedno, to wyjątkowo dziwny rejs, a wczorajszy sztorm wydaje się najmniejszym z problemów jego uczestników...

Komandor zaczął się podnosić z podłogi, lecz zdrętwiały mu nogi, stracił równowagę i niezdarnie przechylił się na jedną stronę.

Bianca krótko przypomniała to, co mówiła w poprzednim wydaniu wiadomości.

- ... A wczoraj wieczorem, tuż po naszym wejściu antenowym, dostałam list od jednego z moich informatorów na statku. Było jeszcze więcej incydentów. Dwa stroje Świętego Mikołaja zostały skradzione z zamkniętego magazynu, pewna kobieta z Klubu Czytelników i Pisarzy wbiegła z krzykiem do jadalni podczas kolacji, bo rzekomo widziała w kaplicy ducha Louiego Lewego Sierpowego...! Dosłownie przed sekundą dowiedziałam się, że Elwira Meehan, słynna zwyciężczyni loterii krajowej, poślizgnęła się dziś rano na deskach pokładu, próbując dogonić jednego z rejsowych Mikołajów, który najwyraźniej przed nią uciekał.

Cóż za brak kultury! Na tym statku podobno są sami filantropi. Co się tam dzieje?

Wczoraj rzuciłam przypuszczenie, iż duch pierwszego właści-

ciela, Angus Mac MacDuffiego znajduje się na pokładzie. Tamta kobieta twierdzi natomiast, że widziała Louiego Lewego Sierpowego. - Na ekranie ukazały się fotografie obu mężczyzn. - Możecie w to uwierzyć? Obaj są podobnej budowy i ubierają się w podobnym stylu. Osobiście sędzę, że duch w kaplicy to MacDuffie. Spójrzmy prawdzie w oczy, MacDuffie był ekscentrykiem. Spędzał mnóstwo czasu na statku, nawet kiedy „Mermaid” stała w ogrodzie rodzinnej posiadłości. Jego rodzice byli zapalonymi kolekcjonerami. Kochali wszystko co zabytkowe, od greckich rzeźb poczynając, a kończąc na starej tarze do prania. Nigdy niczego nie wyrzucali. Dom był zagrożony, uznano to wręcz za zagrożenie pożarowe. MacDuffie uciekał więc na jacht. Kochał morze, otwartą przestrzeń... Zarzekał się, że nigdy nie opuści swojej łajby, i tak też się stało! Który z tych dwóch mężczyzn nawiedza statek? Louie Lewy Sierpowy, który obchodzi na nim swoje urodziny, czy też Mac MacDuffie, który twierdził, że statek zawsze będzie należał do niego? Piszcie na adres widoczny na dole ekranu. Jestem bardzo ciekawa, co o tym myślicie. Będę was informować na bieżąco o wszystkim, czego się dowiem od swoich karaibskich szpiegów...

W połowie relacji do salonu wszedł Winston. Przyniósł kawę i dwa pszenne tosty, w nadziei, że komandorowi wrócił apetyt.

- Wbijają gwoździe do mojej trumny - rozpaczal Weed.

- Już, już, komandorze - odezwał się uspokajająco Winston. - Spójrzy pan na wszystko inaczej po wypiciu filiżanki kawy. Poranna kawa zawsze poprawia panu nastrój.

- Winstonie, jak zwykle wiesz, czego mi trzeba - pochwalił komandor, wpatrując się w ekran, na którym teraz błyskała reklama odświeżacza powietrza.

- Panie komandorze - odezwał się pogodnie Dudley. - Wysłałem oświadczenia dla prasy wczoraj wieczorem i dziś rano. Jestem pewien, że wszystko odkręcą.

- Dostałeś już jakieś odpowiedzi?

- Jeszcze nie, ale... - urwał.

Komandor pokręcił ze smutkiem głową.

- Moja biedna mama - westchnął, podnosząc filiżankę z chińskiej porcelany. - Jej prochy na pewno wirują teraz w tej szkatułce.

Dudley zapatrzył się na szklane pudełko. Szkatułka w środku pozostała idealnie nieruchoma, coś natomiast zaczęło wirować w jego głowie.

Zwrócił się do lokaja:

- Dziękuję. Napiję się kawy, Winstonie. A potem, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z komandorem na osobności.

Winston zeszywniał z oburzenia.

- Będę musiał pójść; do kuchni i przynieść panu kubek prychnął. - Wiem, że pan woli - dodał uprzejmie.

- Ty wszystko zauważysz i o niczym nie zapomnisz - pochwalił go komandor. - Mam wielkie szczęście, że cię znalazłem.

- Trudno dziś o dobrą służbę - zaopiniował Dudley.

Kilka chwil później Winston postawił kubek na stoliku przed Loomisem i napełnił kawą ze srebrnego dzbanka. Kiedy Dudley podniósł kubek, miał pewność, że Winston płukał go pod strumieniem lodowato zimnej wody. Uchwyt był wręcz zmrożony. Gdy lokaj zniknął już za drzwiami, kierownik odchrząknął.

- Przede wszystkim, gdzie jest Eric, panie komandorze?

- Przed chwilą tu był. Wstał wcześniej, żeby odwiedzić pana Cratera, potem wrócił, wziął prysznic i ubrał się, po czym poszedł zobaczyć, co u pozostałych pasażerów. Jest taki pracowity. Opowiedział mi, co się przytrafiło pani Meehan, ale skąd dowiedziała się o tym tak szybko ta dziennikarka? Ciekaw jestem, kto na tym statku jest jej informatorem. I który z Mikołajów okazał się tak niegrzeczny.

Kierownik zorientował się, że Eric nie powiedział wujowi o podejrzeniach doktora Gephardta. Obowiązkiem Dudleya było to zrobić. W ten sposób jego prośba stanie się dla komandora bardziej zrozumiała. Powtórzył mu, co podsłuchała Elwira.

Weed był oszołomiony i przerażony. - Czemu Eric mi tego nie powiedział?

- Podejrzewam, że nie chciał pana martwić, ale moim zdaniem wiedza to siła.

- Eric jest taki dobry - rozczulił się Randolph. - Ale co będzie, jeśli ta historia przedostanie się do prasy?

- Państwo Meehan ani Reilly nic nie powiedzą. Ręczę za nich. Mam zamiar dać Jackowi Reilly'emu listę pasażerów i załogi, domaga się tego. Jego biuro w Nowym Jorku sprawdzi wszyst-

kich, aby odkryć, kto na pokładzie jest... - Przerwał, szukając odpowiedniego słowa. - Zaburzony.

- Ktokolwiek współpracuje z tą reporterką, węszy teraz po całym statku, szukając plotek - powiedział z niesmakiem komandor. - A przecież podarowałem wszystkim ten darmowy rejs! Po prostu nie da się z nimi wygrać.

- Owszem, da! A pańska świętej pamięci mama nam pomoże.

- Moja matka? - spytał podniesionym głosem komandor.

- Tak, panie komandorze. Założę się, że ta dziennikarka zainteresuje się wzruszającą historią pańskiego pożegnania z rodzicielką. Oddania jej prochów głębi oceanu w trakcie tego rejsu.

- Myślisz?

- Oczywiście. Ale nie może pan czekać do jutra. Musimy się z tym znaleźć w wieczornych wiadomościach.

- Ależ urodziny mamy są jutro! Właśnie tego dnia pragnęłam pogrzebać ją w oceanie.

- O której godzinie się urodziła?

- O trzeciej rano.

- W Londynie?

- Tak.

- Wobec tego w tej części świata wciąż był dwudziesty siódmy grudnia.

Komandor zastanowił się chwilę.

- Myślisz, że będziemy mieli ładne sprawozdanie z pogrzebu?

- Jestem o tym przekonany. Proszę mi zaufać. Coraz więcej osób powierza oceanom prochy ukochanych zmarłych. Ta straszna kobieta z wiadomości wiele by dała za film z tej uroczystości. Widzowie byliby zainteresowani. Możemy zorganizować ceremonię dziś o zachodzie słońca. Proszę uwierzyć, wieczorem przyjdzie znacznie więcej ludzi, niż przysłoby o świcie.

Komandor popatrzył na szklane pudełko.

- Co ty na to, mamusi?

Dudley niemal spodziewał się, że wieko odskoczy i ukaże się głowa zmarłej.

- Mówisz, że przyjdzie więcej osób?

- Dużo więcej. Urządzimy ceremonię na pokładzie o zachodzie słońca. Pańskie przemówienie będzie krótkie i przejmujące, potem odśpiewamy hymny, a na końcu, kiedy już odda pan prochy zmarłej falom, wzniesiemy toast szampanem.

Komandor jeszcze się wahał.

- Czy to nie będzie wykorzystywanie pogrzebu mamy do moich własnych celów?

- To pańska matka - pospieszył z zapewnieniem Dudley. - Byłaby szczęśliwa, pomagając panu wyplatać się z tego bałaganu.

Komandor zamyślił się głęboko.

- Wiem, że tak - przyznał. - Zawsze myślała o innych. Ceremonia na pokładzie, mówisz? A co z tą piękną kaplicą, którą wybudowałem specjalnie w tym celu?

- Za mała. Zamierzam dopilnować, żeby wszyscy, którzy sana statku, pojawili się dziś wieczorem. Wywiesimy zawiadomienia, damy komunikat przez głośniki, a w porze obiadowej będziemy chodzić od stolika do stolika, przypominając gościom, by nie przegapili tak doniosłej uroczystości.

- W porządku, Dudley Ten dzień chcę spędzić z mamą sam. Zostało nam już tylko dziewięć godzin i... - Głos mu się załamał. - Chciałbym je w pełni wykorzystać.

- Naprawdę powinien pan przyjść na obiad, komandorze. Pańska obecność będzie dowodem, że wszystko w porządku.

- Jak zwykle masz słuszość, Dudley - Komandor wstał. - Czas już, żebym się umył i ubrał. Mama nie pochwałała zbyt długiego chodzenia w piżamie, kiedy byłem młodzieńcem.

- Idę przygotować klepsydry i powiadomić załogę - powiedział Dudley - Zakłócę panu spokój tylko, jeśli zajdzie absolutna konieczność.

Crater szalał z niepokoju. Ktoś próbował go zabić, już samo to by wystarczyło. Poczul wielką ulgę, kiedy te denerwujące smarkule oddały mu telefon, jednak teraz okazało się, że zniknęła walizka z całą gotówką i paszportami. Ktoś był w jego kajucie! Z całą pewnością. Ale jak mógł zgłosić tego rodzaju kradzież? Jeśli złodziej zabrał gotówkę i porzucił gdzieś pustą walizkę, lepiej nawet nie wszczynać poszukiwań. Gdyby ktoś zobaczył paszporty, zorientowałby się od razu, że Crater nie jest praworządnym obywatelem. Najbardziej jednak dręczyło go pytanie: czy zamach na jego życie zostanie ponowiony?

Zadzwoił do swojego podwładnego, wyjaśniając sucho, skąd dzieciaki miały jego telefon.

- Nadal jesteś gotowy do lotu jutro o świcie? - upewnił się.

Teraz bez trudu przyjdzie mi udawanie nagłej choroby.

- Jesteśmy gotowi - zapewnił go „pracownik”. - Widzieliśmy w telewizji relację o waszych problemach. Sądziś, że mogą jakoś wpłynąć na nasz plan?

- Ktoś myśli, że zobaczył ducha. Wielkie rzeczy! - zdenerwował się Crater. - Zapomnij o tym. To ostatnia rzecz, która mnie martwi. Lepiej przygotujcie się na szybką ewakuację jutro rano. Nie będzie zbyt wiele czasu. I lepiej dla nas, żeby nikomu nic się nie stało. Nie nawalcie - ostrzegł. Crater był przekonany o lojalności i osobistym zaangażowaniu trzech osób, które będą jutro w helikopterze, po namyśle jednak zdecydował nie mówić im o zamachu na swoje życie. Chłopcy nie mieli pojęcia, że to nie on dowodzi całą akcją. Nie mieli bladego pojęcia o istnieniu szefowej.

Tak właśnie chciała, tłumaczył sobie. A on mógł dużo zyskać, postępując zgodnie z jej życzeniami. Pragnął jedynie mieć tę robotę za sobą, zgarnąć zapłatę i powitać Nowy Rok na suchym lądzie.

Włączył telewizor. Trafił na kawałek o Tonym Dziesiątce i fałszywych doniesieniach o jego pobycie w Meksyku i Kanadzie. Na widok zdjęcia na ekranie zaszczoło mu w ustach.

Rozbrzmiały mu w głowie słowa wypowiedziane szeptem przez niedoszęłego mordercę: „Zasłużyłeś na to”.

Dziesiątka poprzysiągł mi zemstę po tym, jak podkablowałem jego ojca, pomyślał Crater. Zdał sobie sprawę z podobieństwa między Tonym a pisarzem, którego zdjęcia widział.

Chwileczkę.

Kiedy pracowałem z panem Pinto seniorem, obito mi się o uszy coś na temat brata jego żony... Nie był przypadkiem bokse-rem, który na emeryturze poświęcił się pisarstwu?

Chyba tak...

Fala myśli wypełniła mu umysł.

Ta kobieta wrzeszcząca o duchu w kaplicy, próba morderstwa...

Dziesiątka wyglądał prawie dokładnie jak pisarz z plakatów i istnieje spore prawdopodobieństwo, że są spokrewnieni.

„Zasługujesz na to” - echo tych słów wciąż rozlegało się w głowie Cratera.

Zrobiło mu się słabo. Dobrze powiedzieli w wiadomościach; Tony nie uciekł do Meksyku ani do Kanady.

Crater czuł w kościach, że człowiek, który obiecał mu wyrównanie rachunków, ukrywa się gdzieś na statku.

Restauracja szybko zapełniała się gośćmi.

Obawiając się, że mogą zostać podsłuchani, państwo Reilly i Meehanowie poszli do kajuty Elwiry i Willy'ego, by spokojnie porozmawiać. Elwira leżała w łóżku.

- Tutaj jestem bezpieczniejsza niż w szpitalu - oświadczyła. Chociaż Bóg jeden wie, czy ktokolwiek jest bezpieczny na tym statku. Tak mi przykro, to ja nas wszystkich w to wpakowałam.

- Wcale nie jest ci przykro - odparła z uśmiechem Nora.

- Przyciągasz kłopoty i jesteś tym zachwycona - zgodził się Luke.

- Przyznaję, dzięki temu czuję, że żyję. - Elwira skinęła głową, natychmiast tego żałując. Ostry ból przeszył jej czaszkę. - Zawsze wolałam pracować w domach niekonwencjonalnych ludzi - dodała. - To było znacznie bardziej zajmujące niż sprzątanie po zwykłych brudasach.

- Nawet ze Świętym Mikołajem nie można cię zostawić samej - drażnił się z nią Luke.

Elwira odchrząknęła, nie mogła się doczekać, aby przejść do rzeczy.

- Brakuje nam dowodów, wiem, ale zdaje się, że ktoś naprawdę próbował zabić Cratera. Czemu akurat jego i dlaczego on temu zaprzecza? Jednak jeżeli to prawda, mamy na pokładzie potencjalnego mordercę, który może znów uderzyć. Problem w tym, że nie można kogoś klepnąć w ramię i spytać, czy próbował udusić Cratera.

- Dudley obiecał przynieść listy pasażerów i załogi - przypomniał Jack. - Moje biuro sprawdzi je w ciągu paru godzin. Dowiemy się, czy mamy na pokładzie kogoś podejrzanego i kim jest ten Crater.

- Jeszcze coś - dodała Elwira, próbując nie zwracać uwagi na ból głowy. Otworzyła szufladę i sięgnęła po talię kart. Wyjawiła obecnym swoje odkrycie. - Karciane figury mają jakieś dziwne

oznaczenia, które po powiększeniu okazują się ciągami liczbowymi. Willy je znalazł w szufladzie. To był apartament Erica, ale Eric nic nie wiedział na temat tych kart. Chcieliśmy mu je zwrócić. Myślę, że mogą mieć jakiś związek z tym, co się tu dzieje.

Zadzwonił telefon Elwiry. Dudley. Przełączyła go na zestaw głośnomówiący.

- Spotykam się z Mikołajami za piętnaście minut w swoim biurze. Mam te listy!

- Jack i ja już do ciebie idziemy - powiedziała Regan.

- Dobrze. - Kierownik się rozłączył.

Wychodząc z kabiny Meehanów, Jack zabrał ze sobą karty.

- Obstawiam, że należą do jakiegoś szulera. Zobaczę, czy uda mi się rozszyfrować te symbole. W moim biurze jest facet specjalizujący się w oszustwach hazardowych. Może nam powie, co oznaczają te cyfry, jeśli cokolwiek znaczą.

Elwira bardzo chciała iść z Regan i Jackiem, poddała się jednak. Nie puściliby jej, zakrzyczeliby. Z żalem obserwowała, jak wychodzą z pokoju.

- Będę dalej główkować! - zawołała za nimi. - Obiecuję.

Dziesięciu okrętowych Mikołajów, ośmiu w kostiumach, stało ramię w ramię w niewielkim biurze kierownika rejsu.

Szybko i z łatwością zrobili przegląd ubiorów.

Przy żadnej z ośmiu czapek nie brakowało dzwoneczka.

Przygoda Elwiry zdążyła się już odbić szerokim echem na statku.

Wiadomość, że pani Meehan została potraktowana niegrzecznie przez kogoś, kto udawał jednego z nich, zjednoczyła Mikołajów, łącznie z Bobbym Grimesem, w słusznym oburzeniu.

- Ten facet wyrabia nam złą opinię - mówił Grimes świętoszkowato. - Słusznie wczoraj ostrzegałem. Powinniśmy się wszyscy mieć na baczności.

Dudley zerknął na Jacka, który przejął dowodzenie.

- Potrzebujemy waszej pomocy - wyjaśnił Reilly. - Wszyscy zgadzamy się co do jednego: osoba, która znalazła się w posiadaniu brakujących kostiumów, to pasażer bądź członek załogi. Skomplikowana intryga uknuta przez nią lub niego to nic innego, jak wysublimowany żart. Niemniej, jak przekonaaliśmy się o tym na przykładzie pani Meehan, takie żarty mogą się źle skończyć. Możecie nam bardzo pomóc, pod warunkiem że to, co już wiemy, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Proszę, abyście przez resztę podróży wypatrywali Mikołaja z tylko jednym dzwonkiem przy czapce. Musimy go znaleźć.

- Z moim szczęściem dzwonek zaraz odpadnie od mojej czapki - narzekał Bobby.

- Pana znamy - zapewnił go z uśmiechem Jack.

- Kto mógł zrobić coś takiego? - spytał retorycznie Nelson.

Dudley wzruszył ramionami.

- Do tej pory waszym zadaniem było dowiadywać się, co dzieci chcą dostać na Gwiazdkę. Dziś powierzamy wam znalezienie tego kawalarza.

- Jest jeden kłopot. Ze by sprawdzić, ile kto ma dzwoneczków przy czapce, trzeba zobaczyć tył jego głowy - zauważył Ted Can-

non.

- Pomyśleliśmy o tym - odparł Dudley. - Dlatego rozdaję wam teraz pamiątkowe odznaki. Mieliście je dostać na pożegnanie. Noście je z przodu na bluzach od kostiumów, a będziecie rozpoznawalni jako pełnoprawni Święci Mikołajowie rejsu.

- Wszyscy oglądaliśmy wiadomości - poinformował Nelson, kręcąc głową. - Ten statek z pewnością ściągnął na siebie uwagę.

- Wiele hałasu o nic - oświadczył filozoficznie Dudley. Wszystko sprowadza się do naszego żartownisia.

- Kelner, który wyskoczył za burtę, też był żartownisiem? drażył jeden z Mikołajów. - Kim są jego koledzy? Może jeden z nich jest odpowiedzialny za całe to zamieszanie.

- To moje zadanie - uspokoił Jack. - Sprawdzimy wszystko.

- Pragnę przypomnieć, że podczas tej podróży jesteście specjalnymi gośćmi komandora - odezwał się serdecznie Dudley. Będę zupełnie szczery. Nieprzychylnie opinie mogą oznaczać koniec jego marzenia - to znaczy tego statku. Z drugiej strony, jeśli pomożecie stworzyć dobrą atmosferę wśród pasażerów, dacie komandorowi coś, o czym śnił całe życie, szansę na dowodzenie statkiem rejsowym, który odniesie sukces i uszczęśliwi ludzi, pomoże im zapomnieć o problemach.

Dobra robota, Dudley, pochwaliła go w myślach Regan.

- Jeszcze jedna bardzo ważna sprawa - dodał. - Nasz komandor był bardzo zżyty ze swoją matką. Jej prochy znajdują się na pokładzie. Zamierzamy urządzić dla niej ceremonię pożegnalną dziś o zachodzie słońca na pokładzie spacerowym. Wszyscy pasażerowie zostaną poproszeni o przybycie. Będzie krótka uroczystość, zaśpiewamy kilka psalmów, komandor pożegna się z matką i wyrzuci szkatułę z jej prochami za burtę, a na końcu wzniesiemy toast szampanem.

- Czemu jej prochy zostaną wyrzucone razem z pudełkiem? Komandor powinien rozsypać je na wietrze - najeżył się Grimes.

- To niedobre dla środowiska - wyjaśnił Nelson. - Robią tak tylko w filmach. Mój terapeuta opowiadał, że jeden z jego pacjentów chciał rozrzucić prochy swojego ojca w pobliżu barów, do których chadzał zmarły, ale Rada Miasta Nowy Jork poradziła mu, żeby zamiast tego wskoczył z nimi do jeziora.

- Pod warunkiem że pozostaną w urnie - dodał ktoś domyślnie.

- Chciałbym, aby komandor miał dziś wieczór gwardię miko-

łajową - ciągnął Dudley. - Ośmiu z was będzie towarzyszyć panu Weedowi i jego matce podczas przejścia z apartamentu do kaplicy, na krótką modlitwę, a potem na pokład, gdzie będą czekać pasażerowie i załoga. Kto chciałby uczestniczyć w tej procesji?

Dziesięć rąk wystrzeżiło do góry. Dudley uśmiechnął się.

- Będziemy losować. A kto wie? Może uda nam się złapać złodzieja jeszcze dziś i wszyscy będziecie mogli pójść.

Highbridge i Dziesiątka zdawali sobie sprawę ze swojego nieciekawego położenia, a jednocześnie każda mijająca minuta zbliżała ich do wyspy Fishbowl i do wolności. Siedzieli więc skuleni pod ołtarzem w kaplicy, obejmując rękami kolana i usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Bezskutecznie.

Trudno było zachować zupełną ciszę. Ciężki oddech Dziesiątki wydawał się niedopuszczalnie głośny zdenerwowanemu Highbridge'owi. Wilgotne ubranie przenikało chłodem ciała Tony'ego. Na dodatek wszystko go swędziało. Obaj zdjęli brody, ale na wszelki wypadek trzymali je na kolanach gotowe do natychmiastowego założenia w razie potrzeby. Nie żeby to miało w czymkolwiek pomóc, myślał Highbridge. Przypuśćmy, że ktoś podejdzie i zajrzy pod obrus. Co mamy robić? Udawać, że bawimy się w chowanego?

Zmęczeni i boleśnie świadomi swojej bezbronności na tej odkrytej przestrzeni, łudzili się nadzieją i modlili, by nikt tu nie przyszedł, zanim przyjdzie Eric i zabierze ich do względnie bezpiecznej kajuty.

Obaj zeszywnieli, kiedy drzwi kaplicy otworzyły się z lekkim skrzypieniem. Pinto prawie zrezygnował z oddychania. Była dziewiąta trzydzieści.

- Jesteśmy na miejscu, mamó - usłyszeli męski głos.

Ale nie było żadnej odpowiedzi.

Odgłos kroków rozlegał się coraz bliżej ołtarza. Obaj przestępcy oblali się zimnym potem. Kroki ucichły mniej więcej przy pierwszej albo drugiej ławce, a ciche skrzypienie wskazywało na to, że ów ktoś usiadł.

- To urocza kaplica, nie sądzisz, mamó?

Znów żadnej odpowiedzi. Dziesiątka i Highbridge spojrzeli po sobie zdumieni.

- Miałem zamiar wyrzucić cię za burtę jutro o świcie, ale przenieśliśmy ceremonię na dzisiejszy wieczór. Chyba się nie gniewasz. Dudley mówił, że na pewno nie - że po to są matki, aby pomagać dzieciom w trudnych chwilach. Mamy mnóstwo problemów, odkąd wyptłynęliśmy. Przysięgam, kiedy znajduję tych

złodziei kostiumów, zatłukę drani na śmierć. Przepraszam, mam, wiem, nie powinienem używać takiego języka. Nie przestaję myśleć o naszych wspólnych wycieczkach. Pamiętasz, jak wiatr zerwał ci kapelusz, kiedy wypływaliśmy w rejs starą „Queen Elizabeth”? Ktoś na górnym pokładzie zobaczył spadający kapelusz i myśląc, że leci razem z właścicielką, zawołał: „Dama za burtą!”

Komandor roześmiał się z rozrzewnieniem.

- To wtedy po raz pierwszy wspomniałaś, że wybierasz morze na miejsce swojego ostatniego spoczynku. Obiecałem pochować cię w morzu. Dziś wypełnię obietnicę.

Przez kolejnych pięć minut siedział w milczeniu, trzymając na kolanach srebrną szkatułkę. Wspominał z miłością matkę. Podniósł się do wyjścia, gdy ktoś otworzył drzwi kaplicy. Stała w nich kobieta, która podniosła alarm wczoraj wieczorem, upierając się, że widziała ducha Louiego Lewego Sierpowego.

- Komandorze Weed! Jakże się cieszę, widząc tu pana. Bałam się tu wrócić, ale podobno powinno się stawiać czoło lękowi. Wobec tego postanowiłam spróbować, jednak nie chciałabym tego robić samotnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział oficjalnie Randolph.

Ivy zrozumiała, że ma jej za złe wczorajsze zajście.

- Widzę, że się pan na mnie gniewa, komandorze, i w zupełności pana rozumiem, jednak proszę mi wierzyć: naprawdę widziałam tu kogoś wczoraj wieczorem. Nie chciałam przysporzyć panu kłopotów. - Głos Ivy zaczął drżeć.

Dziesiątka i Highbridge wstrzymali oddechy. Proszę, Boże, nie pozwól, aby ta kobieta zajrzała pod obrus.

- Ten rejs to najmiłsza niespodzianka, jaka mnie. w życiu spotkała - kontynuowała panna Pickering. – Statek jest taki piękny, jedzenie wspaniałe, interesujący ludzie. To wszystko pana zastręga. Wiem, że ten statek był pańskim marzeniem. Za nic na świecie nie chciałabym zrobić niczego, co mogłoby zniweczyć to marzenie.

Wbrew sobie, komandor poczuł się wzruszony.

- Dziękuję, panno Pickering. Doceniam pani wrażliwość. Do

tej pory nie okazywano mi zbyt wiele wdzięczności i muszę przyznać, że to boli. - Przyjrzał się jej uważnie. - No już, już, proszę nie płakać.

Ivy otarła oczy i zwróciła uwagę na przedmiot, który trzymał komandor.

- Przepiękna szkatułka na biżuterię. Moja mama ma prawie dokładnie taką samą.

Weed chwycił ją za rękę.

- Pani mama? - spytał z przejęciem, zniżając głos do szeptu.

Uniósł szkatułkę.

- W tym pudełku spoczywają prochy mojej matki. Mówi pani, że jej mama posiada podobną?

- Tak, tato kupił ją dla niej w sklepie muzealnym podczas miesiąca poślubnego. Wciąż trzyma ją na toalecie w sypialni.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny.

Tym razem był to Eric, zdyszany i przestraszony. Popatrzył na nich, na ołtarz, a potem znów na wuja i Ivy. Spróbował wziąć się w garść

- Wujku Randolphie, właśnie się dowiedziałem o nowych planach względem babci. - Z naturalnym u niego brakiem szacunku zignorował Ivy. - Będzie cudownie.

Ivy popatrzyła pytająco na komandora. Nic nie wiedziała o wieczornej ceremonii.

Komandor znów dotknął jej dłoni.

- Czy pani pozwoli się zaprosić na filiżankę herbaty do mojego apartamentu? - spytał. - Wszystko wyjaśnię. - Urwał. - Proszę - dodał.

Weed i Ivy zostawili Erica w kaplicy. Nie wiedząc, czego się spodziewać, podbiegł do ołtarza, schylił się i podwinął obrus.

- Twój wujek to świr - wyraził swoją opinię Dziesiątka, kichając.

Powstrzymywał się już od jakiegoś czasu.

Nie ma co się oszukiwać, zdrowie już nie to, co kiedyś, przyznała się w myślach Elwira. Głowa naprawdę bardzo ją bolała, a i reszta ciała nie dawała zapomnieć o niefortunnym upadku. Namówiła Willy'ego, żeby poszedł mi dół do sali gimnastycznej, gdzie miał zarezerwowaną bieżnię na dziesiątą. Wcześniej Winston przyniósł Elwirze herbatę, owoce i tosty. W końcu Willy przyznał, że poza bandażem i sporym siniakiem na czole jego żona wygląda nieźle.

- Willy, naprawdę powinieneś iść - nalegała. - Muszę przemyśleć parę spraw. Ale najpierw włącz telewizor. Chcę wiedzieć, co się dzieje na świecie.

- Zgoda - poddał się Willy. - Wrócę za niecałą godzinę. Ten Winston jest ciągle w pobliżu. Jeżeli poczujesz się choć odrobinę dziwnie, proszę, zadzwoń po niego.

Świat nie zmienił się drastycznie przez te dwadzieścia cztery godziny od ostatnich wiadomości, jakie oglądała. Był sezon świąteczny i większość polityków wzięła urlop od ubliżania sobie nawzajem. Poświęteczne wyprzedaje były rekordy popularności. Ale też liczba zwróconych do sklepu prezentów okazała się największa od dziesięciu lat. Zdaniem Elwiry to tylko udowodniało, jakie śmieci ludzie potrafią dawać sobie nawzajem na odczepnego. Zaczynała przysypiać, kiedy zobaczyła w telewizji zdjęcie Tony'ego Pinto.

- O Matko Przenajświętsza! - wymamrotała. Czytała o nim, kiedy mieszkał w Nowym Jorku i jego nazwisko zdobyło nagłówki „Post” i „Daily News”. Uwielbiałam o nim czytać, przyznała. Wydawał się taką barwną postacią. Spędził jakiś czas w więzieniu za drobne przestępstwa. Nigdy nie mogli mu udowodnić niczego poważniejszego. Wszyscy wiedzą, że to morderca. Podobno pozbywa się każdego, kto mu stanie na drodze...

- A za chwilę - zapowiedział prezenter - najnowsze doniesienia z poszukiwań gangstera Dziesiątki, czyli Tony'ego Pinto, który zniknął wczoraj ze swojego domu w Miami. Ale najpierw...

Elwira nie zwróciła uwagi na cztery piętnasto sekundowe reklamy parafarmaceutyków, skoncentrowana całkowicie na szokującym wręcz podobieństwie między Dziesiątką a Louim Lewym Sierpowym.

- Czy to możliwe... ? - zastanawiała się głośno. - Bardziej niż możliwe - zdecydowała.

Musiła porozmawiać z Regan i Jackiem. Jeśli Dziesiątka jest na statku, w drodze na wolność, to czy już ma na sumieniu usiłowanie morderstwa? Wielokrotnie oskarżano go o zabójstwa, ale nigdy nie skazano. Z drugiej strony, po co miałby chcieć uśmiercić Cratera? A jeśli próbował go zabić, to kto będzie następny? Wzięła do ręki dyktafon.

- Pinto mieszka w Miami. Rozpaczliwie próbuje wydostać się z kraju. Nasz statek wypływał z Miami tego samego dnia, kiedy zniknął Dziesiątka. Ten gangster wygląda identycznie jak pisarz z plakatów, którego rzekomo widziały Ivy i Maggie. Jednak jeśli to Pinto jest na pokładzie, ktoś musiał mu pomóc się tu dostać i ktoś go teraz ukrywa. Może osoba, która ukradła kostiumy Świętego Mikołaja. Ale kto?

W głowie Elwiry zaświtało podejrzenie, które gwałtownie zmieniło się w pewność.

- Od pierwszej chwili czułam, że ten siostrzeniec jest jakiś dziwny - mówiła. - Strasznie nerwowy. Zaczynam myśleć, że ma coś ważnego do ukrycia.

W tym momencie zadzwonił telefon.

To był Eric.

- Pani Meehan, mam nadzieję, że czuje się pani lepiej?

- Tak, istotnie.

- Chodzi o te karty, które pan Meehan pokazywał mi wczoraj. Kompletnie wyleciało mi z głowy, że jeden z marynarzy wpadł do mnie na drinka w wieczór przed waszym przybyciem. Karty należą do niego. Musiał je gdzieś zostawić, a kiedy wyszliśmy na kolację, Winston schował karty do szuflady, myśląc, że są moje. Mógłbym po nie wpaść?

Elwira nie uwierzyła w ani jedno słowo.

- Leżę w łóżku, a Willy wyszedł - odparła. - Oddzwonię do pana. Lub jeśli poda mi pan nazwisko tego marynarza, Willy z przyjemnością odda mu karty.

- To nie będzie konieczne. Ma dziś wolne. Przyjdę po nie później.

Na pewno przyjdiesz, pomyślała, odkładając słuchawkę. Poczekaj, aż powiem Jackowi i Regan, cieszyła się, znów łapiąc za telefon i wybierając numer.

Bianca była bardzo zadowolona z mnóstwa mejli, jakie dostała po porannym wydaniu wiadomości.

Trzeba to pociągnąć dalej, myślała. Póki miała nowe informacje o wydarzeniach na statku, musiała znaleźć dobry sposób na kontynuowanie tematu. W przeciwnym razie nawet gdyby za parę dni wypłynęło coś niesamowitego, nikt już by się tym nie interesował.

Urządziła głosowanie: kim jest duch? Większość widzów uważała, że to Mac. Jeden z mejli spowodował, że niemal się zachłysnęła po jego przeczytaniu.

Droga Bianco,

Kiedy dwa lata temu zmarł MacDuffie, poszliśmy z mamą na wyprzedaż jego rzeczy. Wszyscy antykwariusze zrobili to samo. Przetrasali chciwie jego dobytek. Składały się na niego głównie rupiecie! Jednak nie mogłyśmy się z mamą oprzeć niskim cenom i kupiłyśmy trochę mebli i kilka kartonów czasopism. Znalazłyśmy dziennik MacDuffiego, jego zapiski z ostatnich lat, spędzonych na statku! Nie uwierz Pani, ale jego ojciec zmarnował większość rodzinnego majątku, kupując słynną szkatułkę na biżuterię, chociaż wiedział, że pochodziła z kradzieży w muzeum. Została ofiarowana Kleopatrze przez Marka Antoniusza i była bezcenna, naprawdę w to wierzył. No ludzie! Co on sobie myślał?

Mac pisał, że nie mógłby sprzedać szkatułki, bo to zniszczyłoby reputację rodziny, a poza tym muzeum domagałoby się zwrotu swojej własności. Oto dokładny cytat: „Więc siedzę sobie na swoim jachcie i myślę o tamtym dniu sprzed tysiąceci, kiedy przystojny Rzymianin podarował ją młodej królowej”.

Jasne! A mama i ja jesteśmy siostrami Gabor!!!

Tak czy inaczej, pomyślałam, że to może Panią zainteresować.

Moim zdaniem, to Mac nawiedza statek, a może Kleopatra też jest na pokładzie. Przy okazji, sprawdziliśmy z mamą listę przedmiotów wystawionych na sprzedaż i nie było tam szkatułki Kleopatry!

Wielbicielka pani talentu, Kimmie Keating

Idealnie!, pomyślała Bianca. Z upodobaniem przeczytała list Jeszcze raz.

Jeśli jest coś lepszego od historii o duchach, to historia o zaginionym skarbie.

Zrób listę i sprawdź ją dwa razy” - zanucił Dudley, nieudolnie próbując rozładować atmosferę po wyjściu Mikołajów z biura.

Jack zadzwonił do swojego asystenta, Keitha.

- Kierownik rejsu przesyła ci e-mailem listę pasażerów i członków załogi - wyjaśnił - sprawdź wszystkich, ale zacznij od Harry'ego Cratera, jest pasażerem. Za kilka minut zadzwonię do ciebie ze swojego pokoju. - Jack rozłączył się i spytał Dudleya: - Jak pan Crater znalazł się na tym statku?

- Pielęgniarka napisała, że zrobił bardzo wiele dobrego, a jest poważnie chory. To miał być jego ostatni rejs. Dudley wyjął akta i podał list Jackowi. Wyliczano w nim wszystkie dotacje Cratera na cele charytatywne.

- Mógłbyś nam zrobić z tego kopię? - poprosiła Regan.

- Oczywiście.

Gdy Regan i Jack wyszli z biura Dudleya, w korytarzu czekał na nich Ted Cannon.

- Nie chciałem nic mówić przy wszystkich - wyjaśnił - ale zdarzyło się coś, o czym być może chcielibyście wiedzieć. Pewnie to nic takiego...

- O co chodzi? - spytała Regan.

- O tego faceta, Harry'ego Cratera, który jest w szpitalu. Wiem, że podróżuje sam, a słyszałem hałasy dochodzące z jego kajuty, kiedy kładłem się wczoraj spać. Telewizor był włączony, ktoś rozmawiał, słyszałem otwieranie i zamykanie szafek... Widziałem, jak go wczoraj wynosili z sali, wiedziałem, że zabrali go do szpitala, ale pomyślałem sobie: pewnie już wyszedł i wrócił do kabiny. Teraz dowiaduję się, że nie. To dość dziwne, więc może chcielibyście o tym wiedzieć.

- Zawsze dobrze wiedzieć takie rzeczy - podziękował mu Jack.

- Wyjaśniło się, kogo Maggie widziała w poczekalni? - zagadnął Ted.

- Nic nam o tym nie wiadomo - odparła Regan.

- Muszę przyznać, bardzo mnie to dręczy, że Maggie była sama w środku nocy z jakimś nieznanym indywiduum.

On ma rację, pomyślała Regan. A nawet jeszcze nie wie, że to indywiduum usiłowało udusić Cratera. Maggie znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie, szczególnie jeśli morderca nie miał motywu i był po prostu zwykłym szaleńcem.

- To przerażające - myśl, że była sama z tym facetem - zgodziła się z Tedem.

- Powiedziałem Maggie, że gdyby Ivy znów poczuła się źle w środku nocy, ma do mnie zadzwonić i nie chodzić nigdzie sama - oświadczył stanowczo. - Wiem, że przeglądacie listę pasażerów i załogi. Dajcie mi znać, gdybym mógł się na coś przydać. Do zobaczenia. - Pomachał im i skierował się w głąb korytarza.

- Chyba podkochuje się w Maggie - zauważyła Regan.

- Tak. Czuję się okropnie, ukrywając przed nim, że Maggie znalazła się twarzą w twarz z potencjalnym mordercą. - Ja też - westchnęła.

Mijali właśnie przyklejony do ściany korytarza plakat ze zdjęciem Louiego Lewego Sierpowego. Zatrzymali się, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Oboje myśleli o tym samym: o fotografii Tony'ego Pinto oglądanej wcześniej na ekranie telewizyjnym.

- To z pewnością możliwe - orzekł cicho Jack po długiej chwili milczenia.

Regan dokładnie wiedziała, co miał na myśli.

Kiedy dotarli do kabiny, usłyszeli dzwonek telefonu. Regan podbiegła odebrać.

Dzwoniła Elwira.

- Regan, jak to dobrze, że nie poszłam z wami. Mam do przekazania dwie rzeczy. Oglądałam wiadomości i jest taki gangster, który uciekł, który...

- Tony Pinto Dziesiątka - przerwała Regan. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Jack i ja myśleliśmy o tym samym. Żartowaliśmy sobie z tego zeszłego wieczoru, ale to przestaje być śmieszne.

- Dwa dodać dwa równa się cztery - skwitowała Elwira. Chciał wydostać się z kraju. Mieszka w Miami. Zaginął w dniu naszego wypłynięcia, a dwoje ludzi na statku widziało kogoś, kto wyglądał dokładnie jak on. I ten ktoś nie opalał się na pokładzie. A ta druga sprawa, o której chciałam wam powiedzieć - kontynuowała, nie czekając na reakcję Regan - to telefon, który odebrałam od tego Erica, siostrzeńca komandora. Dzwonił do mnie z jakąś bzdurną historyjką o kartach, że niby należą do znajomego marynarza ze statku i że zaraz po nie przyjdzie. Zapropnowałam

mu, że Willy z przyjemnością dostarczy karty osobiście właścicielowi, ale oczywiście nieistniejący marynarz akurat ma wolny dzień.

- Czekaj, Elwiro - Regan powiedziała mężowi o kłamstwie Erica co do kart. Jack wziął od niej słuchawkę-

- Elwiro, zrobię zdjęcia i wyślę je zaraz do biura, a potem przyniosę ci te karty. Jeżeli Eric jest w jakikolwiek sposób zamieszany w to, co się tu dzieje, nie wolno go spłoszyć. Powiem chłopakom, żeby sprawdzili go szczególnie dokładnie.

Natychmiast po odłożeniu słuchawki wziął aparat cyfrowy i zrobił fotografie, wysłał je do biura, po czym zadzwonił do Keitha. Podczas gdy Jack rozmawiał, Regan poszła z kartami do łazienki, powiększyła numery w lustrze i spisała je na kartce. Skoro mamy je oddać Ericowi, postanowiła, musimy mieć kopie informacji na nich zawartych.

Wróciła do sypialni. Jack skończył już rozmowę.

- Keith obiecał, że oddzwoni do mnie najszybciej, jak będzie mógł.

- Mam pomysł - zaproponowała Regan. - Przejdźmy się po statku. Ivy, Maggie i Elwira spotykały dziwnych osobników, wcale się nie wysilając, może nam też się uda. Tak czy inaczej, chętnie się przewietrzę.

- Bardzo chętnie, jeśli o mnie chodzi. Odświeżmy się i rozejrzyjmy. To nie jest aż taki duży statek, jeśli Tony Pinto ukrywa się gdzieś na pokładzie, musi być niedaleko.

Zadzwoniła komórka Jacka. Uniósł brwi w pytającym geście, odbierając połączenie. Dzwoniła najlepsza przyjaciółka Regan, Kit.

- Cześć, Kit - powitał ją. - Co tam słyszać?

- Wciąż szukam partnera na sylwestra. Poszłam wczoraj na przyjęcie w Greenwich z nadzieją, że spotkam kogoś, kto też jeszcze nie ma planów. Nie muszę dodawać, że nic z tego nie wyszło. Ale wpadłam na trop afery, która może was rozbawi.

- Czekaj, Kit. Dam ci twoją kumpelę.

Regan wzięła od niego telefon.

- Słyszałam, co mówiłaś Jackowi. Nie przejmuj się sylwestrem. I tak jest zwykle nieudany.

- Wiem. To mnie jednak nie powstrzyma od zamartwiania się przez cały tydzień. Ale posłuchaj tego! Wczoraj wieczorem poszłam na doroczne przyjęcie, poświęteczne u mojej przyjaciółki

Donny, ona mieszka w Greenwich. Wszyscy mówili tylko o tym facecie, Barronie Highbridge'u. Oszukał wielu inwestorów, w tym nawet kilkoro z obecnych na przyjęciu. Być może słyszałaś o jego ucieczce. Przymuszczałnie zmierza w kierunku Karaibów. Od razu pomyślałam o was. Jest więcej! Jedna z kobiet na przyjęciu wspomniała, że była dziewczyna Highbridge'a, Lindsay - wdziękzyła się do wszystkich jego znajomych z Greenwich, więc ją znają - twierdzi, iż zadzwonił do niej wczoraj. Numer ma zastrzeżony, więc się nie wyświetlił, ale w tle słyszała radio. Grało bardzo głośno i ktoś podawał lokalną prognozę pogody dla Miami.

- Żartujesz! - krzyknęła Regan. - Musiało to być bolesne rozstanie, skoro ta Lindsay opowiada ludziom takie rzeczy.

- Jest w Aspen ze swoim nowym kochaniem. Wygadała się wczoraj późnym wieczorem, balując w klubie, pewnie już po kilku drinkach. Siostra jednej z dziewczyn z przyjęcia też jest w Aspen. Ona i jej mąż byli w pobliżu, akurat kiedy tamta paplała o Highbridge'u.

- Czy padło coś na temat pójścia na policję z tą historią?

- Nie. Teraz Lindsay zaprzecza, że kiedykolwiek o nim wspominała. Tak czy owak, pomyślałam sobie, że powiem wam, skoro akurat jesteście na Karaibach, a wypłynęliście z Miami.

- Zainteresowało mnie to - przyznała Regan. - Ty nigdy nie spotkałaś Highbridge'a na żadnym z przyjęć Donny?

- Raz. Pięć czy sześć lat temu.

- Jakie sprawił na tobie wrażenie?

- Wysoki, nudny i nadęty.

- Zgaduję, że nie poprosił o twój numer telefonu? - zachichotała Regan.

- Skąd wiesz? - roześmiała się Kit. - Skreślił mnie, kiedy zdał sobie sprawę, że nie mam żadnych pieniędzy, które mógłby ukraść. Na pewno.

Regan dołożyła słuchawkę. Jack powinien zadzwonić do swojego biura jeszcze raz, uznała.

- Keith - powiedział jej mąż do swojego asystenta - to ślepy strzał, ale sprawdź, czy znajdziesz jakiegokolwiek powiązanie między Pinto a Barronem Highbridge'em. - Urwał. - Poza faktem, że obaj prysnęli.

45

W odpowiedzi na nalegania mamy Fredericka i Gwendolyn poszły na basen popływać.

- W zdrowym ciele zdrowy duch! - piała Eldona, siedząc na skraju basenu i machając nogami. Pisała list świąteczny na przyszły rok. Miała już dwie strony.

Znajdujemy się na statku „Royal Mermaid” podczas jego dziewiczej wyprawy, a o uczynności i dobroci moich dziewczynek mówią już wszyscy pasażerowie...

Dziewczynki przepląły już swoje obowiązkowe długości basenu i urządziły sobie bitwę wodną ochlapując wszystkich opalających się wokół ludzi.

... Ich energia i entuzjazm cieszą oczy i radują serce - pisała dalej Eldona, przetarłszy zachlapane okulary.

Kelnerzy serwujący krwawą Mary i margarity wspomnieli już wszystkim o uroczystości pożegnalnej ku czci mamy komandora. Nikogo nie powinno więc dziwić, że Fredericka i Gwendolyn postanowiły zaangażować się w ceremonię. Wygramoliły się z basenu.

- Mamusiu - powiedziała bez tchu Fredericka. - Słyszałaś o wieczornej uroczystości?

- Tak, kochanie. I możecie na nią pójść. Będzie bardzo piękna.

- Może byśmy mogły na niej zaśpiewać, tak jak w kościele?

Oczy Eldony zaszkliły się z macierzyńskiej dumy.

- Cóż za uroczy pomysł. Komandor na pewno go doceni. Ale musicie się upewnić. Może ubierzecie się i same pobiegniecie go spytać?

- Taaaak! - Dziewczynki przyklasnęły pomysłowi, podskakując z radości. - A gdzie tatuś? Powiemy tatusiowi!

- Tam, w kąciaku. - Eldona wskazała na męża, który leżał na leżaku w rogu z twarzą zasłoniętą czasopismem.

- Poszedł do cienia. Wiecie, jak dba o swoje zdrowie. Bardzo się ucieszy, że jesteście takie myślące i troskliwe.

- Mam lepszy pomysł, mamusiu. Niech to będzie dla niego niespodzianka.

- Jak chcecie, kochane. Biegnijcie już.

Komandor i Ivy poszli do apartamentu Weeda.

Randolph z czułością odstawił szkatułkę z prochami matki na stolik.

Winston przyszedł z wózkami z herbatą, filiżankami i innymi niezbędnymi akcesoriami. Zaczął je rozstawiać i zamierzał przedstawić srebrne pudzderko. Komandor udzielił mu ostrej reprimandy.

- Tylko ja mogę tego dotykać, Winstonie. Zostaw. Mama zawsze lubiła herbatę.

- Moja mama też uwielbia herbatę - wtrąciła Ivy.

Teraz byli już przy trzeciej filiżance. Dla Ivy wizyta w apartamencie komandora była wielkim i ekscytującym przeżyciem.

Na początku Randolph Weed ją onieśmiał. Był takim stanowczym, twardym, męskim mężczyzną. Ktoś, o kim mama powiedziała: „dorodny duży facet”. Jednak siedząc tu i rozmawiając z nim, Ivy odkryła, że w głębi duszy komandor jest wrażliwym człowiekiem, który, jak większość, po prostu pragnął być kochany.

- Panno Pickering - zwrócił się do niej teraz, dolewając herbaty - jak już mówiłem w kaplicy, przywróciła mi pani wiarę w ten rejs. - Roześmiał się. - Miałem trzy żony, które wyszły za mnie dla spodziewanych korzyści. Z ostatnią, Reeney, właściwie wciąż się przyjaźnię...

Ivy poczuła ukłucie zazdrości.

- ... jednak nie mogliśmy się dogadać w tak wielu sprawach... Ona chciała bez przerwy polować na antyki. Uważała, że ma do tego smykałkę i zna się na tym, co, zapewniam panią, okazało się nieprawdą. Ale najgorsze ze wszystkiego okazało się to, że nie nawidziła żeglować...

- Uwielbiam żeglować - oświadczyła z uczuciem Ivy

- Ja również. Chociaż muszę przyznać, że Reeney pomogła mi w wielu rzeczach. Jest świetną organizatorką. Pomogła urządzić dom w Miami, który kupiłem po naszym rozwodzie. Pomogła mi nawet znaleźć Winstona. Powiedziała, że nie potrzebuję następnej żony, tylko lokaja. Kogoś, kto by się mną zaopiekował.

Ivy musiała zasłonić usta ręką, żeby nie krzyknąć: Ja się pa-

nem zaopiekuję!

- Mówisz, Ivy, że nigdy nie wyszłaś za męża? - spytał komandor z autentycznym zdumieniem w głosie, nieświadomie zwracając się do niej po imieniu. - Taka atrakcyjna kobieta?

Ivy poczuła obezwładniający przypływ ciepła i tkliwości. Obłaziła się rumieńcem. Wspaniale się tu czuła! Chciała, żeby to trwało wiecznie.

- Oooooch, dziękuję - wykrztusiła.

Nagle oboje drgnęli, słysząc głośne walenie do drzwi.

- Co znowu? - Komandor wstał i niecierpliwie podszedł do drzwi.

Fredericka i Gwendolyn dygnęły grzecznie.

- Dzień dobry, komandorze Weed. - Nie czekając na zaproszenie, przeszły obok niego i wdarły się do apartamentu.

- Dzień dobry pani - przywitały się z Ivy, znów dygając.

- Witam, dziewczynki - odpowiedziała, myśląc, że taka grzeczność to wyjątkowa ironia, skoro właśnie weszły nieproszone do kajuty.

- Ojej, jakie to ładne - zachwyciła się Fredericka, sięgając po srebrną szkatułkę.

Ivy była szybsza. Przykryła pudzderko dłonią.

- To należy do komandora - powiedziała ostro.

Weed omal nie zemdlał, widząc, jak ta bezczelna smarkuła interesuje się prochami jego matki.

- Co mogę dla was zrobić, dziewczynki? - spytał, próbując ukryć swoje uczucia.

- Słyszałyśmy o specjalnej uroczystości ku czci pana mamusi. Byłybyśmy zachwycone, mogąc dla niej zaśpiewać pewien specjalny utwór - wyjaśniła z powagą Fredericka.

- W domu śpiewamy w kościelnym chórze dziecięcym - włączyła się Gwendolyn.

Panie Boże dopomóż, jęknął w duchu Randolph.

- Uczłyśmy się w szkole pieśni, która byłaby idealna na tę okazję. Zmienimy tylko jedno słowo...

Ivy wpatrywała się w nie z konsternacją i niedowierzaniem.

- Dziękuję - powiedział komandor z podziwu godną przytomnością umysłu. - To bardzo miło z waszej strony. Zobaczymy, może pod koniec ceremonii. Idźcie ćwiczyć - zaproponował ochryplym głosem.

- Bombowo! - ucieszyły się dziewczynki. - Powiemy wszystkim

kim na statku, że muszą przyjść!

Gdy wybiegły, Gwendolyn zwróciła się do Fredericki.

- A teraz chodźmy sprawdzić, jak się miewa wujcio Harry. Powiemy mu o ceremonii. Możemy zająć mu miejsce i go przyprowadzić. Na pewno nie będzie chciał tego przegapić.

Eric nie opuszczał kaplicy prawie przez cały ranek. Wyszedł tylko raz - żeby zadzwonić do Elwiry. Nie mógł zostawić Dziesiątki i Highbridge'a samych aż do obiadu, kiedy przemyci ich z powrotem do apartamentu wuja. Tam schowają się w szafie, i przesiedzą bezpiecznie do czwartej rano.

O czwartej, według planu, miał sprowadzić uciekinierów na najniższy zewnętrzny pokład. Nadmuchają ponton, który Eric trzymał ukryty na pokładzie, wyrzuca go za burtę, włożą kamizelki ratunkowe i wskoczą do wody w ślad za łódką. Ich ludzie będą się trzymali w bezpiecznej odległości i wyciągną zbiegów, jak tylko „Royal Mermaid” odpłynie wystarczająco daleko. Nie chciałbym być w skórze tych dwóch - w ich mokrej skórze - ale to i tak lepsze niż spędzić resztę życia w więzieniu, pomyślał Eric.

Siedząc kilka godzin w trzeciej ławce w kaplicy, miał mnóstwo czasu na rozmyślanie, co też się z nim stanie, jeśli ktoś odkryje obecność tych dwóch na pokładzie. Nagle Highbridge bezwiednie odchrząknął. Dźwięk wydobyty z jego arystokratycznego gardła odbił się echem w całej kaplicy. Eric podbiegł do ołtarza, aby uciszyć Barrona. Dziesiątka jednak trzymał już twardą dłoń na ustach towarzysza, grożąc mu śmiercią, gdyby zrobił to jeszcze raz. Eric nie wątpił ani przez sekundę, że to nie była czcza groźba. Pinto był mordercą, z predyspozycji i z powołania.

Eric odliczał minuty do dwunastej, kiedy jego wuj zejdzie na obiad. O jedenastej przyszedł steward, żeby posprzątać i odkurzyć kaplicę.

- To nie będzie konieczne - pospiesznie zapewnił go Eric.
 - Otrzymałem polecenie, że kaplica ma lśnić. Ludzie mogą chcieć tu przyjść przed uroczystością ku czci pana babci.
 - Poczekaj ze sprzątaniami do popołudnia - zarządził Eric. I przynies świeże kwiaty na ołtarz.
 - Oczywiście - odparł niepewnie steward.
- Eric otarł z czoła kropelki potu. Tamten bez wątplenia pod-

niósłby obrus podczas odkurzania. Już widział w wyobraźni, jak rura od odkurzacza trafia w Dziesiątkę.

O dwunastej piętnaście w drzwiach stanął komandor. - Co za niespodzianka, spotkać cię tutaj - zdziwił się.

- Wpadłem tylko zmówić modlitwę za babcię. Jest dziś bardzo obecna w moich myślach.

- Och, jakże nas to łączy! Ale teraz chodź. Zjesz ze mną obiad. - Ivy - to znaczy panna Pickering - usiądzie przy naszym stoliku. To przeurocza osoba.

Eric pojął zawołane ostrzeżenie, żeby jej więcej nie ignorować.

- Najpierw się trochę odświeżę - powiedział.

Doszedł z komandorem do windy, nacisnął guzik na dół i poczekał, aż wuj zniknie za rogiem, po czym popędził w głąb korytarza. Tak jak się obawiał, wpadł na Winstona, który zmierzał do swojego pokoju. Miał dwugodzinną przerwę obiadową. - Coś ci przynieść, zanim pójde? - zaoferował.

- Nie. Za kilka minut idę na obiad.

Eric otworzył drzwi do apartamentu i został w środku, póki nie był pewien, że lokaj już się oddalił. Następnie pognał z powrotem do kaplicy.

- Chodźcie. Stanę pod drzwiami Meehanów, zagadam ich, jeśli będą akurat wychodzili. Wy pędźcie na złamanie karku prosto do apartamentu - po cichu, o ile to możliwe. Drzwi nie są zamknięte.

Środki ostrożności okazały się zbędne, przestępcy weszli do apartamentu niezauważeni. Eric za nimi.

- Nie możemy ryzykować. Weźcie, co chcecie z mojej lodówki, wejdźcie do szafy i zostańcie tam. Wróć najszybciej, jak się da.

- Nie zapomnij przynieść mi kart - przypomniał mu Dziesiątka.

Eric ochlapał twarz zimną wodą i uczesał włosy. Tym razem spotkał Willy'ego i Elwirę, którzy właśnie wychodzili z kajuty.

- Witam - zawołał. - Mógłbym zabrać te karty, nim zamkniecie drzwi?

Elwira była pełna podziwu dla przytomności umysłu męża.

- Ericu, nie sprawi ci różnicy, jeśli oddamy je po obiedzie? Jestem w środku pasjansa, tym razem naprawdę go ułożę - zażartował Willy.

Eric spróbował się roześmiać.

- Jasne, w porządku. Może być po południu.

Jednak wyraźnie nie było w porządku. Coś jest nie tak, czuł to. Wiedzieli, że chce zabrać karty, po co więc Willy zaczął stawiać kolejnego idiotycznego pasjansa?

Eric nie uwierzył w tę historyjkę, ale nic nie mógł w tej sprawie zrobić.

Wspomnienie pani Meehan przechwalającej się swoimi detektywistycznymi zdolnościami prześladowało go podczas wspólnej jazdy windą na dół.

Harry Crater siedział na fotelu w swojej kajucie. Nerwy miał w strzępach. Siniaki na jego szyi zmieniły kolor na ciemnofioletowy i rozlały się niczym plamy po winie. Nocny koszmar, który wcale nie był snem, wciąż do niego powracał. Zamknę się w kabinie i powiem, żeby mi przynosili posiłki do pokoju, zdecydował Harry. Muszę wytrzymać tylko do świtu. Nikt tu nie wejdzie, dopóki mam drzwi zamknięte na dwie zasuwki.

Pochłonął prawie wszystko, co zamówił na śniadanie. Widok pustego talerza po jajecznicy z boczkiem nasunął mu myśl o tym, jakie ma szczęście, że mógł dzisiaj zjeść śniadanie. Że żyje. Bał się Dziesiątki, a do tego żywił głębokie przekonanie, iż Wielka Szefowa przysłała na statek nie tylko jego. Kogo jeszcze? I co ten ktoś zrobi po wylądowaniu helikoptera?

Sięgnął po dzbanek z kawą, licząc na to, że zostało jeszcze parę kropel. Ostre walenie do drzwi przeraziło go, aż podskoczył i resztki kawy wylądowały na stoliku.

- Wujaszku Harry!

- Leżę w łóżku, idźcie sobie.

- Mamy dla ciebie zaproszenie.

- Na co? - zawołał.

- Będziemy śpiewać na uroczystości, kiedy komandor wrzuci prochy swojej mamy do wody.

Harry zbladł. Podbiegł otworzyć.

Gwendolyn i Fredericka oślepiły go uśmiechami.

- Przed chwilą byliśmy u komandora - przekazywały ważne wiadomości, przerywając sobie nawzajem. - Musisz dziś przyjść. Musisz. Będziemy śpiewać. Przyjdziemy po ciebie. Zajmiemy ci krzesło.

- Wrzuca prochy matki do wody już dziś? Myślałem, że powiedzieliście: jutro? O wschodzie słońca.

- Dziś wieczorem - odparła z przekonaniem Fredericka. - To będzie dziś.

- Przyjdę - wycedził Harry.

Zatrzasnął drzwi i szybko złapał za telefon.

- Musimy zmodyfikować plan! - wrzasnął do słuchawki, kiedy uzyskał połączenie. - Ufam, że macie nas cały czas na oku. Jak daleko jesteście teraz?

- Na wyspie Shark - padła odpowiedź. - To dwie godziny lotu od was. Mamy dodatkowy zbiornik paliwa na powrót, gdybyśmy musieli już wyruszyć.

- Startujcie! Komandor przełożył ceremonię. Odbędzie się o zachodzie słońca. Wiedziałem! Nie powinniśmy byli zakładać, że zaczeka do urodzin matki. Nie możemy ryzykować, jeszcze znów zmieni zdanie. Jak już tu będziecie, nie zgodzę się opuścić statku przed uroczystością. Komandor się wzruszy - dodał z ironią. - Wy, trzej sanitariusze, będziecie gwardią otaczającą mój wózek inwalidzki.

Słuchał przez chwilę.

- Nie mów mi, żebym się uspokoił. Ktoś próbował mnie dziś zabić. I jestem prawie pewien, że wiem kto.

Odłożył z trzaskiem telefon.

Zebranie Klubu Czytelników i Pisarzy trwało w najlepsze od dziewiątej. Grupa żywo dyskutowała na temat sztuki pisarskiej, biorąc za przykład dzieła takich mistrzów jak Arthur Conan Doyle czy Agatha Christie. O jedenastej trzydzieści miał wygłosić wykład na swój ulubiony temat Bosley P. Brevers, autor obszernej biografii Louiego Lewego Sierpowego. Wykład, połączony z pokazem slajdów ze scenkami z życia boksera-pisarza, odbywał się w małej salce kinowej niedaleko jadalni.

Regan i Jack wpadli na pokładzie na Norę z Lukiem i wszyscy zdecydowali się pójść. Regan podzieliła się z rodzicami rosnącym podejrzeniem, że Tony Pinto ukrywa się gdzieś na statku.

Wśród zebranych dostrzegli Ivy Pickering i Maggie Quirk. Siedziały w rzędzie za nimi, po lewej stronie. Regan uniosła brwi w niebotycznym zdumieniu. Uważała Ivy za typ kobiety, która nie zaprzęta sobie głowy wyglądem zewnętrznym, najwyżej przypudruje od czasu do czasu nos, tymczasem panna Pickering miała dziś perfekcyjny makijaż i włożyła niebieski żakiet, podkreślający chabrowy kolor jej oczu. Cóż za różnica w porównaniu z tym, jak wyglądała wczoraj, wbiegając z wrzaskiem do jadalni, pomyślała Regan.

Prowadzący spotkanie przedstawił Breversa, wychwalając jego rzetelne, trwające pięć lat przygotowania do pisania książki oraz wspomniął, że w czasie pracy nad biografią był dyrektorem prestiżowej szkoły średniej. Brevers, sześćdziesięcioparolatek z aureolą rzadkich białych włosów, zbliżył się do mównicy. Wygłosił zwyczajowe formułki o tym, jaki to zaszczyt przemawiać i jak bardzo jest uradowany, mogąc uczestniczyć w „Rejsie ze Świętym Mikołajem”, szczególnie że istniało prawdopodobieństwo obecności na pokładzie ducha Louiego Lewego Sierpowego. Poczekał na śmiechy, których nie usłyszał.

- Tak, w istocie - odkaszlnął i kontynuował. - Zaczynajmy. - Chrząknął. - Urodzony w biedzie nowojorskich slumsów - zaczął, pokazując zdjęcie dwulatka siedzącego razem z matką na stop-

niach ubogo wyglądającej czynszówki.

- Od zera do bohatera - szepnął Luke do żony. - No proszę. Nora wykrzywiła się do niego. Pierwszych dziesięć minut pokazu koncentrowało się wokół serii slajdów ukazujących Louiego zarabiającego w każdy dostępny sposób. Zaczynał w wieku lat ośmiu. Na jednym ze zdjęć stał razem z siostrą, Marią, obok stanowiska pucybuta na rogu Dziesiątej Alei i Czterdziestej Trzeciej Ulicy. Maria dumnie trzymała tabliczkę z napisem: „Pięć centów za but. Będzie wyglądał jak nowy”.

- Młody geniusz biznesu - szepnął Luke. - Większość ludzi nosi po dwa buty.

Pojawiały się kolejne slajdy.

- Tu widzimy dwunastoletniego Louiego niosącego olbrzymią bryłę lodu. Musiał je taszczyć pięć piętér do góry, ale nigdy nie narzekał - komentował Brevers. - Mały zuch nie zdawał sobie sprawy z tego, że ćwiczy mięśnie, dzięki czemu stanie się mistrzem bokserskim. Podczas gdy inni, w tym jego przyjaciel z dzieciństwa, Charley Pinto, obrali drogę występku...

Regan i Jack jak na komendę pochyliłi się do przodu na krzesłach. - Pinto?

- Louie był bardzo rozczarowany, kiedy jego ukochana siostra, Maria, w wieku osiemnastu lat poślubiła Pinto. Ani on, ani rodzice nigdy już się do niej nie odezwali. Charley spędził ostatnich piętnaście lat życia w federalnym więzieniu. Nim jednak tam trafił, nauczył syna wszystkiego o „zawodzie”. Rzeczoną syn, Anthony, stał się później słynnym gangsterem Tonym Pinto Dziesiątką, niebezpiecznym przestępcą, o którym mogliście ostatnio słyszeć w wiadomościach. Choć prawdopodobnie nigdy nie spotkał swojego wuja, mistrza bokserskiego i poczytnego autora kryminałów, łączy go z nim niezwykle podobieństwo, jak za chwilę się przekonacie.

Ich fotografie pojawiły się jedna obok drugiej na tablicy. Regan usłyszała dwa głośnie sapania za sobą. Odwróciła się.

Maggie i Ivy wychodziły.

Czwórka Reillych podążyła za nimi. Ivy się trzęsa, Maggie zbladła.

- Tam jest mała bawialnia. Wejdźmy do środka - zaproponowała Nora.

- Nie chcę stwarzać problemów - wyjęczała Ivy. - To by było nielojalne wobec komandora. Wydawało mi się, że widziałam

kogoś podobnego do Louiego Lewego Sierpowego. Ale kiedy zobaczyłam ich zdjęcia obok siebie, zauważyłam różnicę. Mężczyzną, którego widziałam w kaplicy, był z całą pewnością Tony Pinto. To gangster? Za co go teraz ścigają?

- Zbiegł ze swojego domu w Miami, żeby uniknąć procesu - wyjaśniła Regan.

Pod Ivy ugięły się kolana. Chwyciła Maggie za rękę. - Ty też go widziałas?

- Tak sądzę - potwierdziła cicho Maggie. Spojrzała na Regan i Jacka. - Co robimy?

- Jeśli to się wyda, wybuchnie panika. Nie mamy stuprocentowej pewności, że Pinto znajduje się na pokładzie, a jeśli to rzeczywiście on, nie wiemy, czy jest uzbrojony. Dla dobra wszystkich obecnych na statku musimy na razie utrzymać sprawę w tajemnicy - oświadczył z przekonaniem Jack.

- Czemu, na litość boską, miałby tu być? - nie dowierzała Ivy.

- Bo jeśli uda mu się dostać na Fishbowl, nie odeślą go do Stanów na proces - wyjaśniła Regan.

- Więc lepiej zawróćmy do Miami - pisnęła Ivy.

- Można by ogłosić, że statek wymaga naprawy - zaproponowała Nora. - Wtedy wybuchnie panika, że toniemy! - zaprotestowała Ivy.

- Nie, jeżeli chodziłoby o prostą aczkolwiek konieczną regulację silnika - odparła Nora. - Połowa największych statków miała co najmniej niewielkie problemy podczas swoich dziewiczych rejsów. Ludzie rozumieją.

- Jest mały problem - zauważył Luke. - Co zrobi Tony Pinto, kiedy się dowie? Jeśli jest na pokładzie i zamierza dostać się na tę wyspę?

Nikt nie znał odpowiedzi.

- Widzę Dudleya - powiedziała nagle Regan i wybiegła, żeby go zatrzymać. - Musimy natychmiast porozmawiać. Jesteśmy w sali z fortepianem. Gdzie komandor?

- W jadalni. Zaprasza ludzi na wieczorną uroczystość.

- Proszę go przyprowadzić. Dudley nie odważył się spytać po co.

- W tej chwili - odrzekł, oddalając się prędko. Chwilę później wchodził już do pokoju w towarzystwie komandora, Elwiry i Willy'ego.

Regan nie była zaskoczona, widząc przyjaciółkę. Elwira jak

pies gończy potrafiła wytropić sensację.

Twarz Randolpha rozjaśniła się na widok Ivy Niestety, tylko na sekundę, zanim kobieta wykrztusiła:

- Przepraszam, komandorze, ale człowiek, którego widziałam tamtego wieczora, to przestępca! Na statku jest przestępca!

- Co? - Z twarzy Weeda odpłynęła cała krew.

Regan zamknęła drzwi i wprowadziła wszystkich w sytuację.

- Tego nie przetrzymamy! - powiedział komandor. - Ale przede wszystkim musimy mieć na względzie bezpieczeństwo uczestników rejsu. Co proponujecie?

- Musimy wrócić do Miami, wysadzić na ląd pasażerów i dopiero wtedy policja będzie mogła dokładnie przeszukać statek, nie narażając na niebezpieczeństwo niewinnych ludzi - odparł Jack.

- Co powiemy? - zastanawiał się komandor.

- Że wystąpiły niewielkie usterki silnika, wracamy do portu, żeby wymienić jakąś część, a potem do czwartku będziemy przemierzać lokalne wody wokół Miami.

- Zawsze możemy im obiecać następny darmowy rejs - zaproponował histerycznie Dudley

- U gryź się w język - zdenerwował się Weed. - Ty i twoje darmowe rejsy! To przez ciebie znalazłem się w takich kłopotach. Od teraz zachowuj swoje pomysły dla siebie.

Dudley skulił się.

- Po prostu myślałem... - zaczął. - Chciałem tylko pomóc...

Tęsknił za chwilami, kiedy uważał upadek ze ścianki wspinaczkowej za najgorsze, co mu się przytrafiło podczas tej wycieczki. Zastanawiał się, czy inne linie oceaniczne będą szukały pracowników po Nowym Roku.

- Dudley, idź po kapitana Smitha - polecił komandor. - Jest w jadalni.

Loomis wybiegł kolejny raz. Po niespełna minucie wrócił z kapitanem. Oblicze Smitha nie ujawniło żadnych śladów emocji, gdy usłyszał historię o uciekinierach.

- Podczas jednego z moich rejsów straciliśmy moc w silnikach po wyjątkowo gwałtownym sztormie. Rzuciło nami niemiłosiernie przez dwa dni...

- Tak, tak - przerwał mu niecierpliwie Weed.

Tylko kapitan mógł równać się z komandorem, jeśli chodzi o szczegółowe opisywanie każdego detalu wydarzeń sprzed lat.

Dudley coś o tym wiedział.

- A więc po tej sztormowej pogodzie moglibyśmy mieć awarię silnika kwalifikującą się do naprawy - kontynuował kapitan. - Wracam teraz na mostek i zacznę redukować prędkość, a pod koniec obiadu zatrzymam statek. Następnie przyjdę do jadalni i demonstracyjnie przedstawię panu problem, komandorze.

Weed był zamyślony.

- Wtedy wyjaśnię wszystko pasażerom. Ogłoszę również, że ze względu na zaistniałe okoliczności ceremonia pożegnania mojej drogiej mamy rozpocznie się o czternastej trzydzieści.

- Miała być o zachodzie słońca - przypomniał Dudley.

- Już nie! Skoro zawracamy, teraz jesteśmy najbliżej miejsca, gdzie zamierzałem pochować mamę.

Bez słowa, z lekkim skinieniem głowy kapitan opuścił towarzystwo.

Elwira zastanawiała się gorączkowo. Powinni ostrzec komandora, żeby nie mówił nic Ericowi o Tonym Pinto. Ale jaki mieliby podać powód? Wyjawić, że Ericowi podejrzenie zależało na pewnej talii kart, nienależącej do niego, i posądzają go o powiązania z Dziesiątką? Że na dywanie w jego kabinie odkryto tajemnicze resztki chipsów, których sam by nie tknął? Nie możemy tego powiedzieć, postanowiła. Jeżeli Eric jest winien, jego wuj i tak wkrótce się dowie.

Komandor wyprostował się.

- Nasi goście siadają do obiadu, muszę do nich zajść. Panno Pickering, dla pani przygotowano nakrycie przy moim stoliku. Wziął ją pod ramię i poprowadził do wyjścia.

Pozostali patrzyli w ślad za nimi.

- Ma facet klasę - skomentował Luke.

- To może być jego ostatni rejs - powiedział Dudley ze smutkiem. - Finansowo stoi pod ścianą.

- Cóż, lepiej też chodźmy - westchnęła Nora i zwróciła się do Maggie: - Może usiądziesz z nami? Jesteś naszą współniczką - dodała z przebiegłym uśmiechem.

- Dziękuję, Ted ma mi towarzyszyć przy obiedzie.

- My zaraz wrócimy - powiedziała Regan, idąc z mężem do drzwi.

- Muszę zadzwonić do biura, zawiadomić, co się tu dzieje. -

Głos Jacka był spięty.

- Przynieście karty - przypomniała Elwira. - Eric nas o nie nagabuje.

- Przyniesiemy - obiecała Regan.

Regan i Jack wsiedli do windy, a pozostali ruszyli do jadalni. Piętnaście minut później Regan z Jackiem podeszli spieszenie do stolika.

- I co? - chciała wiedzieć Elwira, jeszcze zanim usiedli. Głos Regan był przytłumiony.

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że istnieje bliski związek między Tonym Pinto a Barronem Highbridge'em, przestępcą z Greenwich, który popełnił oszustwo finansowe na wielką skalę i oczekiwał na wyrok. Highbridge zniknął w zeszłym tygodniu, a jego była dziewczyna twierdzi, że dzwonił do niej z Miami. Łączy go znajomość z Bingo Mullensem, który według policji z całą pewnością zorganizował ucieczkę Dziesiątki.

- Jak wygląda ten Highbridge? - zainteresowała się Elwira.

- Jest wysoki i szczupły - powiedziała Regan.

- Jak ten Mikołaj, który zostawił mnie na pastwę losu na pokładzie! - wykrzyknęła.

Jack wyjął z kieszeni karty i podał przez stół Elwirze.

- Możesz je oddać Ericowi. Moi ludzie sądzą, że to numery szwajcarskich kont bankowych. Pracują nad tym i wkrótce będziemy wiedzieli na pewno.

- Pozostaje pytanie: skąd się wzięły te karty w sypialni Erica? - rozważała ponuro Elwira.

Eric nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Statek zupełnie się zatrzymał i wkrótce będą zawracać tam, skąd wypłynęli! Jestem skończony, pomyślał z rozpaczą. Jeśli nie uda mi się pozbyć tych dwóch oprychów ze statku i złapią ich, kiedy przybijemy do portu, Dziesiątka z pewnością mnie zabije. Znajdzie sposób, dopadnie mnie nawet w więzieniu... Eric nie mógł się nadziwić własnej głupocie. Gdybym po prostu pomógł wujkowi Randolphowi dopilnować, żeby rejs się udał, mógłbym wieść wygodne, dostatnie życie, myślał. Jestem przecież jego jedynym spadkobiercą. Zараbialbym mnóstwo pieniędzy, poznawałbym mnóstwo dziewczyn - mógłbym mieć wszystko.

Trzeba się pozbyć tych bandziorów ze statku, choćby nie wiem co.

Pobiegł na górę do swojej kajuty. Nie miał pojęcia, co powiedzieć lokatorom z szafy. Usłyszał dźwięk otwieranych drzwi do apartamentu. Komandor musiał za nim iść.

- Wujku Randolphie - zwrócił się do niego - trudno wyrazić, jak bardzo żałuję, że musimy wracać do Miami. Wiem, jakie to dla ciebie przykre, szczególnie przy tej złej prasie, którą mieliśmy.

Komandor usiadł ciężko na kanapie i ukrył twarz w dłoniach.
- Mój chłopcze - odezwał się - jest jeszcze gorzej. Dużo gorzej.

Co mogło być gorszego? Eric oblał się zimnym potem.

- Co takiego? - wychrypiął.

- Istnieje uzasadnione przekonanie, że na statku ukrywa się przestępca, gangster znany jako Tony Pinto czy też Dziesiątka.

- C... c... coo? - wyjąkał Eric.

- Nie ma żadnej usterki silnika. Powiedzieliśmy tak, żeby nie wywoływać paniki wśród pasażerów. Jack jest szefem Głównej Grupy Dochodzeniowej w Nowym Jorku, zapewne wiesz o tym. Stosujemy się do jego wskazówek. Wrócimy do Miami i policja przetrząśnie cały statek. Niech się tylko dowiem, kto i gdzie go ukrywał. - Komandor podniósł głos. - Daj mi dwie minuty z tym oprychem w zamkniętym pokoju! Już ja mu pokażę „strzał w Dziesiątkę”!

Eric zadrzał. Dziesiątka i Highbridge słyszeli każde słowo.

Przynajmniej nie musiał im przekazywać złych wieści. Przypomniał sobie powiedzenie babci: „W każdej sytuacji można znaleźć jakieś dobre strony”. Eric popatrzył na szklaną kasetkę, gdzie spoczywały prochy babki w srebrnej szkatułce. Nigdy mnie nie lubiłaś, pomyślał. To dlatego stałem się tym, kim jestem.

Komandor wstał.

- Ceremonia zacznie się lada chwila. Będzie krótka, ale wzruszająca. Po niej kapitan włączy silniki i ruszamy do domu. Spędź te ostatnie cenne chwile z babcią w kaplicy.

Natychmiast po wyjściu wuja Eric wszedł do swojej kajuty i zatrzasnął drzwi. Ręce miał tak spocone, że ledwie zdołał otworzyć szafę, gałka wyślizgiwała mu się z rąk. Przygotował się na najgorsze.

- Zabiłbym cię w tej chwili, ale jeszcze jesteś nam potrzebny poinformował go beznamytnie Dziesiątka.

- Musimy wyskoczyć, póki statek jeszcze stoi - powiedział Highbridge. - Daj mi swój telefon. Sprawdź obecną długość i szerokość geograficzną. Zadzwonimy do naszych ludzi, przybędą po nas i zabiorą z pontonu. Obliczą, jak daleko mogło nas znieść.

Dziesiątka sięgnął do kieszeni bluzy Świętego Mikołaja i wyciągnął pistolet Cratera. - Cała gotówka, którą ci daliśmy, płynie z nami.

Eric spojrzął na pawlacz ponad ich głowami i zobaczył swoją walizkę, otwartą i pustą.

- Szukaliśmy swoich ubrań - wyjaśnił Dziesiątka. - Szkoda, że nie pomyślałeś, żeby wpłacić zaliczkę, którą od nas dostałeś, do banku. Zapomnij o forsie. Łatwiej by było dopłynąć żabką, niż realizować twoje pomysły. I nie rusz się stąd bez kart - dodał z granitową obojętnością.

Eric podbiegł do biurka komandora, sprawdził długość i szerokość geograficzną statku i podał bandytom.

- Kiedy wy będziecie dzwonić, ja pójde po karty - obiecał desperacko.

Zamknął szafę i drzwi do swojej sypialni, przebiegł przez salon i wypadł na korytarz. Już miał pukać do Meehanów, kiedy zerknął w stronę wind. Elwira i Willy właśnie wychodzili z jednej z nich. Zaczekał. Ku swojej niebotycznej uldze nie musiał

nawet prosić o karty.

- O, Eric - przywitała go Elwira. - Mamy karty twojego znajomego.

- Powiedz koledze, że jeśli by zbierał chętnych do gry - wtrącił Willy - z przyjemnością się przyłączę.

Eric ścisnął talię w spoconych dłoniach. - Pewnie, pewnie. Przekażę mu.

Jego wzrok zarejestrował plamy po syropie czekoladowym na koszuli Willy'ego, który się roześmiał.

- Nie myśl, że jestem flejtuchem. Kelner był bardzo szczodry, niestety nie trafił do mojej salaterki z lodami, kiedy rozdzielał polewę czekoladową. Właśnie idę się przebrać.

- Przepraszam za kelnera - powiedział Eric, ściskając karty tak mocno, że wrzynały mu się w skórę.

- Do zobaczenia na ceremonii pożegnania pana babci - powiedziała Elwira na pożegnanie.

Eric poczekał, aż wejdą do kajuty. Potrzebuję trzydziestu sekund na doprowadzenie Dziesiątki i Highbridge'a do schodów dla personelu, uznał. Prowadziły na dół prosto do miejsca, w którym ukrył ponton. Schody co prawda nie były bezpieczne, ale Eric uznał, że nawet jeśli miną się z którymś z członków załogi, nikt nie ośmieli się zastanawiać nad obecnością na nich siostrzeńca komandora ani towarzyszących mu osób. Jedynie Winston mógł przysporzyć im kłopotów - lokaj wuja chodził tymi schodami bardzo często do swojej kabiny i miał denerwujący zwyczaj pojawiania się znikąd. Eric musiał jakoś sprowadzić Dziesiątkę i Highbridge'a na najniższy pokład, do miejsca na rufie, gdzie przechowywano sieci, haki i tym podobny ekwipunek. Nie było tam żadnego schowka ani szafki, gdzie mógłby ukryć niewygodnych pasażerów, dlatego nie pomyślał wcześniej, żeby ich tam sprowadzić. Ale był przecież sufit, a to oznaczało, że nikt z wyższego pokładu ich nie dostrzeże. Ktoś mógłby jednak zauważyć ponton za burtą, skoro musieli opuścić statek w świetle dziennym. Eric przygotował płótno, którym mieli się nakryć. Każdy, kto zauważyłby ponton z pokładu, pomyślałby, że jest pusty. Miejmy nadzieję, że wszyscy będą żegnali babcię Weed...

Eric wrócił do apartamentu i poszedł prosto do swojej sypialni. Wręczył Dziesiątkę karty.

- Idziemy! - warknął.

Pinto przyciskał do piersi walizkę ukradzioną z pokoju Crate-ra, a Highbridge torbę podróżną wypchaną ubraniami i gotówką odebraną Ericowi.

- No już - odwarknął w odpowiedzi Dziesiątka.

Dobrnęli do schodów dla służby, nie wpadając na nikogo. Nie wiedzieli jednak, że Elwira czatuje w swoim pokoju z uchem przystawionym do lekko uchylonych drzwi. Usłyszała dźwięk zamykanych drzwi apartamentu komandora i wystawiła głowę akurat w chwili, gdy Eric z dwoma Mikołajami zniknął za nieoznaczonymi drzwiami na końcu korytarza. Często widziała Winstona korzystającego z tego przejścia, najwyraźniej było przeznaczone tylko dla załogi.

Wielkie nieba!, pomyślała. To musieli być Dziesiątka i Mikołaj, który przede mną uciekał. Eric jest z nimi w zмовie! Nie było ani sekundy do stracenia. Willy brał prysznic, straciłaby za dużo czasu, tłumacząc mu sytuację. Jeszcze ich zgubię, pomyślała. Rzuciła się korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalały jej zreumatyzowane kolana, i ostrożnie otworzyła drzwi, za którymi zniknęli. Usłyszała w oddali kroki odbijające się echem kilka poziomów niżej. Chwyciła się poręczy i ruszyła za uciekinierami.

Na najniższym pokładzie trafiła na metalowe drzwi po swojej lewej stronie. Uchyliła je odrobinę. Dwóch mężczyzn w kamizelkach ratunkowych narzuconych na kostiumy Świętych Mikołajów pompowało ponton.

Muszę sprowadzić pomoc, pomyślała gorączkowo Elwira. Zawróciła i pobiegła z powrotem na górę, jednak nim uszła ze sześć stopni, drzwi za nią otworzyły się cicho. Próbowwała przyspieszyć, ale nie miała najmniej szych szans na ucieczkę. Ktoś zasłonił jej usta i pociągnął ją do tyłu.

- Nie jest pani tak dobrym detektywem, jak się pani zdawało, pani Meehan - usłyszała głos Erica.

Crater wpadł w panikę, kiedy usłyszał od Fredericki i Gwendolyn o ponownym przesunięciu ceremonii. Zaalarmował swoich ludzi.

- Nie możecie się spóźnić - napominał ich gorączkowo.
- Bez obawy. Jesteśmy prawie na miejscu - uspokoili go.

Crater poinformował telefonicznie doktora Gephardta o wezwaniu helikoptera.

- Nie czuję się komfortowo na zepsutym statku. Po prostu wiem, że nadchodzi atak. Oddech mam coraz krótszy. Zawsze tak jest przed atakiem astmy. Chcę do domu, gdzie mam profesjonalną opiekę medyczną.

Co za stek bzdur, podsumował w myślach doktor Gephardt.

Siedział za swoim biurkiem, bawiąc się ołówkiem i słuchając cierpliwie pacjenta.

- Jednak bardzo czekam na uroczystość pożegnania mamy komandora. Słyszałem, że te uroczyste dziewczynki, które były dla mnie takie dobre, zaśpiewają na ceremonii.

- Też o tym słyszałem - potwierdził Gephardt, ciesząc się na myśl o opuszczeniu statku przez Cratera. Ktokolwiek chciał go wtedy wykończyć, mógł spróbować ponownie. Jack Reilly pewnie się tym zainteresuje, pomyślał, kończąc połączenie. Wybrał numer kajuty Reillych, ale nikt się nie zgłosił.

Ludzie już zaczęli się zbierać na najwyższym pokładzie w oczekiwaniu na ceremonię. Załoga rozkładała leżaki po obu stronach zaimprovizowanej nawy, którą mieli przejść komandor z Erikiem w otoczeniu gwardii honorowej Mikołajów. Mały stół z apartamentu komandora posłużył za prowizoryczny ołtarz, znajdował się na nim wazon z kwiatami oraz mikrofon. Z głośników miała wkrótce popłynąć pieśń „Amazing Grace”.

Słońce świeciło jasno, morze było spokojne, statek delikatnie kołysał się na falach. Uwagę zebranych zwrócił dochodzący z oddali warkot helikoptera: Na pokładzie zawrzało i zaroilo się od ludzi. Dudley podbiegł do mikrofonu.

- Nie ma powodu do niepokoju! - zaczął. - Nasz przyjaciel, pan Crater - skinął głową w stronę Harry'ego siedzącego na wózku inwalidzkim na końcu pierwszego rzędu, obok balustrady - musi udać się do domu na konsultację u swojego lekarza.

- Głośniej! - krzyknął ktoś. - Nic nie słyhać!

Dudley przyłożył palce do ust i wskazał na helikopter. Wszyscy obserwowali lądowanie. Ryk silników zagłuszał wszystko wokół.

Fredericka i Gwendolyn, nie odstępujące na krok Cratera, zasłoniły mu uszy rękoma. Pozostałe krzesła w pierwszym rzędzie po lewej stronie zarezerwowane były dla komandora, Erica, Dudleya oraz Winstona. Po prawej mieli siedzieć Mikołajowie.

Ryk silnika urwał się gwałtownie, śmigło zwolniło, zatrzymując się wreszcie zupełnie. Dudley szybko powtórzył, co mówił wcześniej, i dodał:

- Już za moment zaczynamy naszą piękną uroczystość na cześć pani Penelope Weed. Proszę zająć miejsca. Czwooro Reillych, Ivy oraz Maggie zajmowali drugi rząd. Zarezerwowali dwa miejsca dla Meehanów, ale Willy przyszedł sam. Zdziwił się i zaniepokoił, nie widząc żony.

- Gdzie jest Elwira? - spytał.

- Nie widzieliśmy jej - odparła Nora.

- Nie było jej w pokoju, kiedy wyszedłem spod prysznic. Zaskoczyło mnie to, ale pomyślałem, że przyszła tutaj.

- Na pewno zaraz przybiegnie - uspokajała go Nora.

Wszystkie oczy znów zwróciły się w stronę helikoptera, z którego wychodziło trzech mężczyzn w białych uniformach. Dudley pospieszył w ich kierunku.

- Coś mi się tu nie podoba - szepnęła Regan do męża.

Jack obserwował trzech przybyszów spod zmrużonych powiek. Podeszli do Cratera razem z Dudleyem. Pochylili się nad wózkiem i wymienili jakieś uwagi. Jack zauważył, że jeden z pielęgniarzy wymienił spojrzenie z Winstonem. Znają się, wnioskuje. O co tu chodzi?

Pierwsze głośne dźwięki „Amazing Grace” zaskoczyły i przstraszyły wszystkich.

Z kaplicy nadchodziła procesja. Otwierało ją dwóch Mikołajów bez kostiumów, którzy nieśli zapalone świece. Następnie szli Mikołajowie w strojach, za nimi Eric, a na końcu komandor

dzierżący srebrną szkatułę z prochami swojej matki.

Zgromadzeni też śpiewali.

Regan wpatrywała się w Erica.

Willy usiadł, wciąż wyraźnie podenerwowany.

Komandor postawił szkatułę na stoliku pomiędzy dwiema zapalonymi świecami. Członkowie procesji zajęli swoje miejsca w pierwszym rzędzie.

Szczupły mężczyzna w średnim wieku, należący do Klubu Czytelników i Pisarzy wystąpił do przodu. Był pastorem. Sięgnął po mikrofon.

- Litościwy Boże, życie się nie skończyło, weszło jedynie w kolejny etap - zaczął.

Willy obejrzał się do tyłu, w nadziei że zobaczy żonę. Nigdy nie opuściłaby dobrowolnie takiej ceremonii. Nie Elwira. Nie podobało mu się to wszystko. Coś musiało się stać.

Eric powlókł Elwirę w dół, z powrotem na pokład.

Dziesiątka zdjął swoją sztuczną brodę i użył jako knebla, zawiązując białe pasma wokół twarzy kobiety.

Highbridge związał jej ręce z tyłu swoją czapką.

Eric pchnął Elwirę na ścianę obwieszoną sprzętem do łowienia ryb i sieciami, aż upadła na podłogę.

- Muszę iść. Nie mogę się spóźnić na ceremonię. Jeszcze zaczęliby mnie szukać. Zaopiekujcie się nią troskliwie.

- Wykrzywił twarz w ponurym uśmiechu. - Jest zbyt wścibska, żeby mogło się to dla niej dobrze skończyć. Poza tym to przez nią musieliśmy się wynieść z mojej kajuty.

Co za tchórz, pomyślała z pogardą Elwira, patrząc za odchodzącym. Nie chce mnie zabić. Im to zostawi. Dziesiątka skierował na nią lufę pistoletu.

- Skoro jesteś taka mądra, może mi powiesz, co ten dwulicowy gnojek Crater robi na tym rejsie. Nie uczestniczy w nim bez powodu, a powód nie ma nic wspólnego z dobroczynnością. Do niósł na mojego ojca. Co knuje teraz?

- Też chciałabym wiedzieć - odrzekła Elwira.

- Dam ci minutę na zastanowienie, nim z tobą skończę.

Ryk silników nadlatującego helikoptera zaskoczył całą trójkę.

- To mogą być gliny - panikował Highbridge.

Obaj przestępcy zaczęli działać w błyskawicznym tempie. Kiedy wrzucali ponton do wody, Elwira rozpaczliwie próbowała oswobodzić ręce. Wyczuła za sobą jakiś ostry przedmiot, metalowy hak po prawej stronie. Przesunęła się odrobinę, na tyle by sięgnąć do użytecznego kawałka metalu. Może uda mi się przeciąć i rozedrzeć więzy, myślała z nadzieją to cienki tani materiał. Dzwoneczek zdobiący czapkę zabrzączał lekko, jednak Highbridge i Pinto byli zbyt skupieni na swoich działaniach, aby cokolwiek usłyszeć. Dziesiątka wrzucił walizkę do torby podróźnej i zamknął ją dokładnie.

Usiłując zachować spokój, Elwira pocierała materiał o metal wystający ze ściany, aż zrobiło się niewielkie rozdarcie w tkaninie. Wracając pamięcią do czasów, kiedy zajmowała się sprzęta-

niem i często darła na szmaty stare ręczniki, rozdarła czapkę i oswobodziła ręce.

Spojrzała z uwagą na niską barierkę. Dam radę, uznała. Nie mam innego wyjścia. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby zostawić Willy'ego samego. On mnie potrzebuje. Najtrudniej będzie się podnieść. Zajmuje mi to tyle czasu... Mogę nie mieć okazji wyskoczyć. Jednak muszę spróbować.

Highbridge siedział już na barierce, wpatrując się w toń. Dziesiątka podał mu torbę i wiosło.

- Nie upuść niczego. Szczególnie torby. Będę tuż za tobą
- Nie jestem nieostrożny, jeśli chodzi o moje pieniądze - oburzył się Highbridge i skoczył. Dziesiątka, z bronią w prawej dłoni, patrzył w ślad za nim.

Elwira usłyszała głośny plusk, to Highbridge uderzył o tafle wody. Cała uwaga Dziesiątki była skoncentrowana na torbie z pieniędzmi. Chciał być pewien, że znajdzie się bezpiecznie w pontonie.

Teraz albo nigdy, zdała sobie sprawę Elwira. Prawie nie czując bólu w kolanach, poderwała się z podłogi i pognąła do burty, weszła na reling i kiedy oszołomiony Dziesiątka dopiero odwracał głowę w jej stronę, zatkała nos i skoczyła. Sekundę przed zanurzeniem się w falach usłyszała świst kuli nad uchem. Było blisko, pomyślała, ale nie w dziesiątkę. Zaczęła płynąć pod wodą w kierunku dziobu.

Bosley P. Brevers był jednym z niewielu, którzy nie uczestniczyli w ceremonii. Zdenerwował się fiaskiem wykładu. Ci, na których chciał zrobić wrażenie: słynna pisarka i jej mąż, ich córka, będąca prywatnym detektywem, oraz jej małżonek - grupa ryba w nowojorskiej policji - wyszli w trakcie. Starali się zrobić to dyskretnie, jednak widok ich pleców sprawił mu wielką przykrość. Te dwie kobiety z klubu najwyraźniej pozazdrościły mu znalezienia się w centrum uwagi i również opuściły wykład. Zresztą zrobiły to pierwsze. Bardzo złośliwie z ich strony.

Wrócił do swojej kabiny, zamówił kanapkę i zaczął przeglądać notatki. Chciał wprowadzić poprawki do drugiej części wykładu, aby uczynić ją bardziej interesującą niż pierwsza. Odłożył długopis i usłyszał warkot helikoptera. Wyszedł na balkon zobaczyć, co się dzieje, ale szybko stracił zainteresowanie. Wrócił do pokoju i włączył telewizor, żeby sprawdzić, czy pojawiło się coś nowego w sprawie poszukiwań siostrzeńca Louiego Lewego Sierpowego, Tony'ego Pinto. Wiadomość, że go złapali, ożywiłaby nieco jutrzejszy wykład. Zmieniał kanały, słysząc w tle słabe dźwięki „Amazing Grace”. Ceremonia pożegnalna najwidoczniej właśnie się zaczynała.

Na ekranie pojawiła się młoda, ładna prezenterka wiadomości.
- Wiadomość z ostatniej chwili! - mówiła z przejęciem. - Od jakiegoś czasu zdaję wam relacje z „Rejsu ze Świętym Mikołajem” statkiem „Royal Mermaid” należącym niegdyś do niezjącego już Angusa Maca MacDuffiego. Dowiedzieliśmy się ponad wszelką wątpliwość, że jego ojciec kupił wiele lat temu bezcenną szkatułkę, mając świadomość, iż ten antyk pochodził z kradzieży. Należała do Muzeum Bostońskiego. Srebrna szkatułka na biżuterię była niegdyś własnością Kleopatry i jest warta niewyobrażalne miliony. Nie, nie przeszłyszeliście się: do królowej Kleopatry! Dziś rano odwiedziłam ludzi, którzy kupili meble i papiery na wyprzedaży majątku po śmierci Angusa MacDuffiego. Wśród nich znaleźli pamiętnik Angusa, w którym wyjawia, że wiedział o

szkatułce. Szczegółowo przejrzelśmy dziś setki zakurzonych czasopism i listów. Udało nam się znaleźć notatkę, którą MacDuffie zaadresował do matki. Píše w niej, że ukrył kradzioną srebrną szkatułkę w sekretnym schowku w swoim apartamencie na statku. Hańba ojca miała umrzeć wraz z nim. Może komandor Weed powinien wszcząć poszukiwania zaginionego skarbu...

Replika szkatułki pojawiła się na ekranie.

Breversowi oczy wyszły z orbit. Dotarł wczoraj na statek jeden z pierwszych i poszedł do apartamentu komandora, aby mu wręczyć egzemplarz swojej książki, z autografem. Komandor zaprosił go do salonu i rozmawiali przez chwilę. Brevers zwrócił uwagę na niezwykłą srebrną skrzyneczkę w szklanym pudełku stojącym na regale i wyraził swój zachwyt. Komandor wyjaśnił, że zawierała prochy jego matki.

Czy to możliwe?, zastanawiał się Brevers. Nie mógł zebrać myśli. Dziś rano słyszał, że komandor zamierza wrzucić prochy matki do oceanu razem ze szkatułką. Czy ta szkatułka to bezcenny antyk, o którym mówiła dziennikarka? Wyglądała dokładnie jak ta w telewizji...

Nie założył nawet butów. Wybiegł na wyludniony korytarz i rozpoczął wyścig z czasem, by ratować szkatułkę Kleopatry przed zniknięciem na dnie oceanu. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Pożegnania są zawsze trudne, jednak nadszedł czas powiedzieć z miłością „żegnaj” najlepszej matce, jaką syn może sobie wyobrazić. Bardzo się cieszę, że zechcieliście tu przyjść i dzielić ze mną ten piękny aczkolwiek bolesny moment.

Komandor skinął głową Gwendolyn i Frederice, które wystąpiły do przodu i zaczęły śpiewać.

Randolph Weed odwrócił się i podszedł do balustrady ze szkatułką w dłoni.

Elwira wstrzymywała oddech tak długo, jak tylko mogła, ale w końcu musiała zaczerpnąć powietrza. Te wody wcale nie mają tropikalnej temperatury, pomyślała. Dusila ją wciąż ciasno związana na twarzy broda. Chwyciła knebel jedną ręką i zerwała. Szczękając zębami z zimna i sapiąc, obejrzała się za siebie. Teraz ci bandyci mogą myśleć wyłącznie o ucieczce, pomyślała z wdzięcznością. Nie mieli czasu się nią przejmować.

Mimo że silniki nie pracowały, prąd popychał statek nieco do przodu. Odległość wydawała się coraz większa.

Spodnie i sandały ważyły chyba tonę. Próbowiła pozbyć się butów, zaczęła jednak tonąć. Po prostu płyn, powiedziała sobie. Utrzymuj się na powierzchni i płyn.

Fala zalała jej twarz, Elwira zaczęła pluć i kztusić się wodą.

- Willy! - usiłowała krzyżeć.

Na pewno już się o mnie martwi, pomyślała. Nie przyjdzie mi raczej do głowy, żeby mnie szukać za burtą. O, Willy, gdyby ten gamoniowaty kelner nie oblał cię czekoladą, nie byłbyś pod prysznicem, kiedy zobaczyłam tych drani.

Miała takie ciężkie ramiona. Statek chyba naprawdę płynął naprzód. Podobno, kiedy się tonie, całe życie przewija się człowiekowi przed oczyma, a wszystko, o czym potrafiła myśleć Elwira, to nowa błękitna koszula Willy'ego upaprana czekoladą.

Kocham cię, Willy! Ogromnym wysiłkiem woli zmuszała ramiona, by się poruszały, ale coraz wolniej...

To stało się w ułamku sekundy. Komandor wolno mijał Cratera, zмирzając do relingu. Nadbiegł Brevers.

- Niech pan nie wyrzuca tej szkatułki za burtę! - krzyknął. Jest warta miliony!

Crater zerwał się z wózka inwalidzkiego z prędkością błyskawicy.

Jestem coraz bliżej, pocieszała się Elwira, jestem coraz bliżej. Ramiona miała jak z ołowiu. Z coraz większą trudnością przychodziło jej nabieranie powietrza w płuca. Trzęsła się od stóp do głów. Była prawie na wysokości dziobu. Modliła się, aby na górze byli jacyś ludzie. Zobaczyła trzech mężczyzn stojących prawie dokładnie nad nią.

- Ratunku! - chciała krzyżeć, ale z jej ust wydobył się tylko ochryply szept.

Po chwili, kiedy Elwira już miała nadzieję, że ją zauważą, mężczyźni szybko odeszli od barierki.

Szok spowodowany szaleńczym wystąpieniem Breversa natychmiast ustąpił miejsca szokowi na równie zdumiewający widok Cratera, który wyrwał szkatułkę z rąk komandora.

Silnik helikoptera nagle ożył, śmigło zaczęło wirować.

Regan i Jack poderwali się na nogi.

- To oburzające - obruszył się komandor. Crater wszedł w posiadanie prochów jego matki i rzucił nimi niczym piłką w stronę jednego ze swoich pielęgniarzy, który złapał szkatułkę i popędził prosto do maszyny.

Ale Fredericka, wściekła, że przerwano jej występ, podstawiła biegnącemu nogę. Pielęgniarsz przewrócił się i upuścił szkatułkę. Jack, Regan, Luke, Willy i dziesięciu Świętych Mikołajów poderwało się do akcji. Morze czerwonych kostiumów przewróciło Cratera i otoczyło leżącego pielęgniarza. Dwóch pozostałych pobiegło do helikoptera.

- Nic z tego! - krzyknął Jack.

Ted przytrzymał obu mężczyzn.

W czasie trwania tej przepychanki szkatułka leżała przez chwilę bez nadzoru. Chwycił ją Winston i rzucił się biegiem w kierunku śmigłowca. Gwendolyn, wiecznie rywalizująca ze swoją siostrą, najlepsza biegaczka w klasie, była tuż za nim. Dała susa do przodu, złapała Winstona za nogi i powaliła go na deski.

Wyrwała mu szkatułkę i podbiegła do balustrady, krzycząc:

- To nie było mife! Komandor chciał, żeby jego mamusia trafiła do oceanu, o tu!!!

Wysunęła język, podniosła miniaturowy kuferek ponad głowę i z determinacją rzuciła go tak daleko, jak mogła, za burtę.

Regan skoczyła w stronę relingu.

- O mój Boże! - krzyknęła, widząc, że latająca szkatułka może trafić nie tylko do oceanu, ale prosto w głowę Elwiry.

- Uważaj, Elwiro! - wrzasnęła i rozejrzała się w popłochu wokół. Dostrzegła w pobliżu okrągłe białe koło ratunkowe wiszące na haku. Chwyliła je, wdrapała się na barierkę i skoczyła.

- Regan! - wrzasnęła Nora.

- Łap szkatułkę! Jest bezcenna! - wołał Brevers.

Elwira, chociaż wyczerpana, zawsze знаła wartość pieniądza. Wyciągnęła mocno ramiona i złapała skarb, nim sięgnął wody. Chwilę później Regan zbliżyła się do niej z kołem ratunkowym. - Złap się tego, Elwiro - poleciła.

Przyjaciółka podała Regan srebrną szkatułkę i chwyciła koło z napisem „Rejs ze Świętym Mikołajem”.

- Oto, co dostaję za datki na cele dobroczynne - próbowała żartować, z trudem łapiąc oddech. - Mówiłam, że ten rejs będzie ekscytujący. - Ręce miała tak zmarznięte i pozbawione czucia, że koło zaczęło jej się wyślizgiwać z rąk. - Nie wiem, czy dam radę się utrzymać... Silne ramię objęło ją w pasie.

- Trzymam cię, Elwiro - zapewnił ją Jack.

- Wy dwoje nigdy mnie nie zawodziecie - wysapała. - Czy z Willym wszystko w porządku?

- Poczuj się znacznie lepiej, kiedy znajdziesz się z powrotem na pokładzie - odpowiedział rozsądnie Jack.

Elwirze zrobiło się słabo.

- Jeszcze jedno - wykrztusiła. - Dziesiątka i Highbridge są w pontonie za rufą statku. Próbują uciec. Eric jest ich współnikiem.

Uspokojona, że znalazła się w bezpiecznych ramionach przyjaciół, a sprawiedliwości stanie się zadość, Elwira pozwoliła sobie na omdlenie.

54

Piątek, 30 grudnia

Po trzech dniach uczestnicy „Rejsu ze Świętym Mikołajem”, z wyjątkiem wszystkich przestępców, znaleźli się w porcie w Miami.

Elwira i Willy, Regan i Jack, Luke i Nora, Ivy, Maggie, Ted Cannon, Bosley Brevers oraz Gwendolyn i Fredericka w towarzystwie kochających rodziców złożyli pożegnalną wizytę w apartamencie komandora. Uczestniczyli w niej również Dudley i doktor Gephardt.

Komandor spojrział na szklany regał, gdzie ponownie spoczęły prochy jego matki. Znajdowały się teraz w oryginalnej urnie, którą trzymał w srebrnej skrzyneczce. Policjanci wkroczyli na statek godzinę po zamieszanu. Patrolowali okoliczne wody w związku z podejrzeniem przemytu narkotyków. Zorientowali się, że otrzymali fałszywe informacje, i już mieli wracać do Miami, kiedy otrzymali wezwanie na „Royal Mermaid”. Zająli się kryminalistami, ale także szkatułką Kleopatry. Niedługo miała wyruszyć w podróż do Egiptu; okazało się, że kiedy została skradziona, znajdowała się w Muzeum Bostońskim jako część wypożyczonej kolekcji.

- Mama zostanie ze mną do następnego rejsu - powiedział komandor po raz setny w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin. - To oczywiste, że jeszcze nie było jej pisane odejść. Byłaby zachwycona, wiedząc, że spo-

czywała w szkatułce Kleopatry! - Pokręcił głową. - Moja mama nigdy nie przepadała za Erikiem. I szczerze mówiąc, choć ogromnie się starałem, ja również go nie lubiłem. Naprawdę mnie zabolalo, kiedy się dowiedziałem, jak bardzo mnie zdradził. Pobyt w więzieniu uświadomił mu jego błędy. Jednak naprawdę nie mogę uwierzyć, że to moja ekszona Reeney, dla której byłem tak hojny, zaplanowała odebranie mi srebrnej szkatułki. I jeszcze posunęła się tak daleko, by podstawić mi Winstona! To absolutnie nie mieści mi się w głowie! Owszem, lubiła antyki, ale żeby była szefową gangu handlującego kradzionymi eksponatami, i to od lat?! Niewyobrażalne! Nawet nie mrugnęła okiem, kiedy jej pokazywałem szkatułkę jakiś czas temu. Wtedy właśnie ją znalazłem; szukałem czegoś w dolnej szafce regału w swoim apartamencie i natrafiłem na jakąś zapadkę, która ujawniła skrytkę. Reeney powiedziała tylko, że to śliczniutkie pudełeczko. Śliczniutkie! Nazwała je śliczniutkim!

Fredericka podskoczyła i uwiesiła się komandorowi na szyi, skutecznie tamując potok jego narracji, której sedno było już od dawna wszystkim znane.

- Nie bądź smutny, wujku Randolphie! My teraz jesteśmy twoją rodziną.
- Na zawsze! - dodała Gwendolyn.
- Wiem, wiem - zapewnił komandor łamiącym się głosem.

Niektórzy bardziej niż inni, pomyślała Elwira, wnioskuje z czułego spojrzenia, które wymienili z Ivy. Zauważyła również, że palce siedzących obok siebie na kanapie Maggie i Teda spletały się. To prawdziwy statek miłości,

pomyślała radośnie.

Dudley poderwał się, nim komandor znów podjął opowieść. Uniósł swój kieliszek.

- Proponuję toast. Za was wszystkich, bo dzięki wam ten rejs był wyjątkowy i niezapomniany - zaczął.

Willy zerknął podejrzliwie na Elwirę.

- Niezapomniany? - mruknął. - Czy on żartuje?

- Obawiam się, że nie - uśmiechnęła się do niego.

Ani na chwilę nie spuścił jej z oka od trzech dni, od czasu kiedy Regan i Jack wyciągnęli ją z wody.

- Słyszałem to - roześmiał się Dudley. - Naprawdę był niezapomniany. Niezapomniany i wspaniały. Bo wspaniale jest mieć takich przyjaciół jak wy wszyscy. Jestem przekonany, że komandor zgodzi się ze mną, kiedy powiem, iż zawsze będziecie mile widziani na „Royal Mermaid” jako nasi goście.

Znów zaczyna, pomyślał z rozbawieniem Weed. Rozdaje, co nie należy do niego.

- Tylko dajcie znać odpowiednio wcześniej - kontynuował kierownik. - Nie nadążamy z przyjmowaniem rezerwacji. Dzięki naszym przygodom podczas pierwszego rejsu, cztery kolejne są już wyprzedane.

Regan dostrzegła wyraz twarzy ojca i uśmiechnęła się. Wiedziała, co pomyślał: „Na szczęście dla nas”. Spojrzała na Jacka. Mrugnął do niej. Mogła się założyć, że pomyślał dokładnie to samo. Cóż, rzeczywiście mamy

szczęście, uznała Regan. Szczęście w wielu sprawach.

Dwadzieścia minut później stali na zalanym słońcem pokładzie, patrząc na łódź pilotującą ich do portu. Na pasażerów czekała promienna Bianca Garcia. Dzięki relacjom z rejsu trafiła do wiadomości ogólnokrajowych. Jej stacja wynajęła mały zespół muzyczny. Kiedy statek wpływał do portu, muzycy zaczęli grać „Auld Lang Syne” .

Pasażerowie zaśpiewali zgodnym chórem słowa piosenki noworocznej. Wszyscy byli zadowoleni z wycieczki.

Wyprawa „Royal Mermaid” dobiegła końca, za chwilę miał się rozpocząć nowy rok.